



ILUSTRACJE
ANITA
GŁOWIŃSKA

GORZKA CZEKOLADA

I INNE OPWIĄ-
DANIA O WAŻNYCH
SPRAWACH

Paweł Beręsewicz

Wojciech Cesarz

Barbara Kosmowska

Andrzej Maleszka

Katarzyna Ryrych

Katarzyna Terechowicz

Fundacja
ABCXXI
Cała Polska czyta dzieciom

Prószyński i S-ka

ILUSTRACJE ANITA GZOWIŃSKA

GORZKA CZEKOLADA

I INNE OPWI-
DANIA O WAŻNYCH
SPRAWACH

Paweł Beręsewicz

Wojciech Cesarz

Barbara Kosmowska

Andrzej Maleszka

Katarzyna Ryrych

Katarzyna Terechowicz

Fundacja
ABCXXI
Cała Polska czyta dzieciom

Prószyński i S-ka

Copyright © Fundacja „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom”
Copyright © Prószyński Media Sp. z o.o., 2016

Teksty o wartościach:

Irena Koźmińska – prezes Fundacji „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom” i Elżbieta
Olszewska – dyrektor programowa Fundacji

Projekt okładki, ilustracje: Anita Głowińska

Redaktor prowadzący, redakcja: Dorota Koman

Korekta: Irma Iwaszko, Dorota Koman

ISBN 978–83–8097–796-9

Warszawa 2016

Wydawca:

Prószyński Media Sp. z o.o.
02–697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Współwydawca:

Fundacja „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom”
02–786 Warszawa, ul. Rosoła 44a
www.calapolskaczytadzieciom.pl

Żadna część tej publikacji nie może być kopiowana ani powielana w celu
rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie czy w jakikolwiek sposób bez uprzedniej zgody
wydawcy.

„Charakter jest przeznaczeniem”
Heraklit z Efezu
(535–475 p.n.e)

Najpierw powiedzmy sobie, o jakie ważne sprawy chodzi w tej książce.

Dla różnych ludzi różne sprawy są ważne – dla jednych uroda i wysportowane ciało, dla innych posiadanie najnowszego telefonu i pieniędzy, jedni cenią sobie wiedzę, inni żeglowanie, jeszcze inni powiedzą, że najważniejsza jest miłość i rodzina. O rzeczach ważnych mówimy WARTOŚCI. I jak widać – mogą być wartości materialne i niematerialne, a wśród niematerialnych są takie, które bezpośrednio wpływają na nasze relacje z ludźmi. Mają one to do siebie, że – w przeciwieństwie do wartości materialnych – im więcej ich dajemy, tym więcej ich do nas wraca.

W tej książce będziemy mówić właśnie o nich. Kształtują one nasz charakter. Określają to, jak postępujemy, do czego dążymy i w jaki sposób traktujemy innych. Jeśli nasze wartości służą dobru szerszemu niż tylko własne, relacje z innymi ludźmi i z samymi sobą stają się lepsze. Gdy postępujemy egoistycznie czy nieuczciwie, pogarszają się.

Ponieważ wiele nieporozumień między nami bierze się stąd, że mówiąc to samo, mamy na myśli całkiem co innego, warto zastanowić się, co kryje się pod takimi – często używanymi – pojęciami, jak szacunek, przyjaźń, wolność czy przyzwoitość. Co jest ich istotą?

Jest szansa, że jeśli będziemy podobnie pojmować wartości, będzie mniej nieporozumień przy ich praktykowaniu – mniej konfliktów, bólu, rozczarowań i gniewu, a więcej radości, zaufania i dobrych relacji między nami.

Irena Koźmińska

NIE WIEM,
KIEDY
TO
SIĘ STAZO,
ALE
ZACZĘLIŚMY
PRZYPOMINAĆ
POCIĄG
KURSUJĄCY
WEDŁUG
NOWEGO
ROZKŁADU
JAZDY.



SZACUN I GORZKA CZEKOLADA

BARBARA
KOSMOWSKA



SZACUNEK jest to grzeczność, czyli kulturalne zachowanie wobec innych, oraz troska o ich uczucia i dobro. Należy się on każdemu człowiekowi, gdyż wynika z niezbywalnej właściwości każdego z nas – z godności ludzkiej. Szacunek jest podstawą wszystkich innych wartości moralnych: uczciwości, odpowiedzialności, solidarności, przyjaźni itd. Jeśli ktoś okazuje nam szacunek, czujemy się dobrze w jego towarzystwie. Gdy traktuje nas bez szacunku, odczuwamy zakłopotanie, przykrość, czasem gniew. Szacunek powinniśmy okazywać nie tylko innym ludziom – bez względu na ich wiek, pochodzenie, wiedzę czy stan posiadania – ale także sobie. Jest on warunkiem i tworzywem dobrych relacji między ludźmi.

O rany! Jestem zaskoczona... Nie wiedziałam, że jeśli chce się pomagać w waszym Rodzinnym Domu Dziecka, to trzeba przechodzić taki test... Opowiedzieć o sobie... To ma być coś z mojego życia? Co mnie zmieniło albo dało do myślenia? Mhm... Myślę, że najbardziej ta historia z Anielką... Trochę się boję tej opowieści, bo dziś jestem już kim innym... O to właśnie chodzi? Skoro tak, postaram się być szczerą. Nie jest mi łatwo, bo o nieudanych przyjaźniach tyle już pisano i mówiono, że to zgrana płyta. A mimo to do końca wierzyłam, że nas to nie dotyczy. Że jesteśmy wyjątkowe i łączące nas uczucia też...

Zacznę od tego, że Anielkę zna cała szkoła. Nauczyciele podają ją za przykład. Jeśli mówią z dumą „nasza Anielka”, wiadomo, o którą chodzi, chociaż w innych klasach są jeszcze trzy Anielki.

Chyba każda szkoła ma taką swoją Anielkę, reprezentacyjną. Nie muszę więc tłumaczyć, jak to działa, kiedy ktoś jest wyjątkowy.

Im bardziej Anielka dla nauczycieli była „nasza”, tym mniej „nasza” stawała się dla klasy. Wiadomo! Wielka nieobecna, te wszystkie olimpiady, konkursy... W takim życiu nie ma miejsca na koleżeństwo albo przyjaźń. A tu nagle pewnego dnia Anielka dała mi do zrozumienia, że mogłybyśmy razem chodzić do szkoły i z niej wracać. Ależ się cieszyłam! Wprawdzie łatwiej mi się chodziło i wracało ze szkoły z Kaśką, bo mieszkamy na tym samym osiedlu, ale iść u boku najlepszej to była gratka! Potem Anielka usiadła ze mną w ławce. Zastanawiałam się nawet, jak to możliwe, że wybrała kogoś tak przeciętnego i małowównego jak ja. Moje oceny też nie powalały, więc tym bardziej zdumiewało mnie to wyróżnienie. Jedyne, co trochę uwierało, to smutne spojrzenia Kaśki, z którą wcześniej siedziałam. Wprawdzie nic nie powiedziała, bo jest jeszcze bardziej wstydliva ode mnie, ale czasem bez słów można usłyszeć to, czego wolelibyśmy nie słyszeć...

Szybko zrozumiałam, że takiej wyjątkowej przyjaciółki nie można mieć na własność. Moja babcia uważa przyjaźń za sztukę równie trudną jak miłość, bo i ona powinna trwać do końca życia. O niczym innym wtedy nie marzyłam. Wreszcie miałam przyjaciółkę...

Wszelkie wątpliwości co do Kaśki i jej smutnych spojrzeń opuściły mnie ostatecznie na biwaku. Bo właśnie tam stało się coś niezwykłego. Złożyłyśmy sobie z Anielą przysięgę „na śmierć i życie, na dobre i złe, na zawsze razem”. Powtarzałam te słowa, a oczy mi błyszczały. No, wiecie... Przy blasku księżyca, w ciemnym lesie, punktualnie o północy. Przypieczętowałyśmy tę przysięgę dżemem truskawkowym Heli (klasowego łakomczucha), bo prawdziwą krwią jakoś nie miałyśmy odwagi. I jeszcze obiecałyśmy sobie, że moja córka będzie miała na imię Anielka, a Anielki – Marta, jak ja. I że weźmiemy ze schroniska dwa spokrewnione koty. I że chyba raczej nie wyjdziemy nigdy za mąż, choć wówczas z tymi córkami byłby kłopot, co przytomnie zauważyła Anielka.

W naszej klasie zmieniały się dzienniki i listy obecności. Jedni odchodzili, inni dołączali. Kaśka z nikim się nie zaprzyjaźniła. Miała koleżanki. Ja – Anielkę. Oczywiście tylko wtedy, gdy bywała w szkole. Gdy wracała z konkursów, występów i olimpiad, przygotowywała się do następnych. Umiałam na nią czekać. Przyzwyczała mnie, że raczej nie pójdziemy razem na rower czy do kina, nie spędzimy popołudnia na basenie. Ale przecież byłyśmy przyjaciółkami „na dobre i złe, na zawsze razem”... Wystarczyło pamiętać, co jest najważniejsze.

No i któregoś dnia... Wciąż trudno mi o tym opowiadać. Któregoś dnia stało się najgorsze.

Hrabina, moja stara ukochana kotka, nie wróciła z nami do domu po wizycie u weterynarza. Świat się walił, nie mogłam znaleźć sobie miejsca, bo wszędzie, gdzie spojrzałam, widziałam moją Hrabinę. Tu jej obróзка, tam kłębuszek sierści, gdzie indziej poduszka, którą uwielbiała... Czułam się okropnie opuszczona i chyba pierwszy raz zadzwoniłam do Anielki z prośbą, żeby koniecznie do mnie przyszła. Potrzebowałam jej wiedzy i rozsądku, bo Anielka to chodząca „wiedza i rozsądek”, jak mawia dyrektorka naszej szkoły. Jednak gdyby nawet nie znalazła odpowiednich słów, tylko ze mną pomilczała, też poczułabym ulgę...

Miałam pecha. „Wiedza i rozsądek” przygotowywała się do kangurów czy innych konkursów i „choć bardzo by chciała”, jak mnie pośpiesznie telefonicznie zapewniła, nie znalazła czasu, aby się ze mną zobaczyć.

Źle znosiłam pustkę po Hrabinie. Nawet Kaśka wpadła do mnie któregoś dnia z jakąś maskotką, gdy mój brat Antek powiedział jej, co się stało. Anielka wróciła po kilku dniach z nagrodą. O mojej Hrabinie nie pamiętała.

Czekałam, kiedy zapyta albo wygłosi jakąś mądrą sentencję, bo tyle ich znała, nawet po łacinie. Widocznie jednak żadnej pasującej do mojego nastroju nie znalazła. No i temat umarł... jak nasza starusienka kotka. Zastanawiałam się wtedy, czy Aniela w ogóle wie, jak bardzo zmieniło się ostatnio moje życie.

Musiało minąć dużo czasu, bym zrozumiała, że moje życie tak naprawdę wcale jej nie obchodziło...

Od tamtej pory rósł we mnie żal. Jakbym dostała od Anieli w niechcianym prezencie magiczne okulary, przez które wszystko wyglądało inaczej. Przestałam odpisywać od niej zadania. Co z tego, że podsuwała mi zeszyt z gotowymi wynikami, skoro na klasówkach musiałam liczyć wyłącznie na siebie? Ani jedno, ani drugie liczenie nie było moją mocną stroną. Kilka razy poprosiłam, aby wytłumaczyła mi jakieś rachunkowe zawiłości, ale jej „wiedza i rozsądek” znowu były zajęte czymś o wiele ważniejszym. Okropnie się poczułam, gdy dostrzegłam, jak mało znaczę dla Anieli. Nagle zrozumiałam, że przez te wszystkie lata tylko ślepo za nią maszerowałam, godząc się na nasz wspólny rozkład zajęć i uczuć. Jednak przyjaźń to przyjaźń, myślałam. Czasami trzeba na prawdziwą przyjaciółkę poczekać...

...To niełatwe tak siedzieć naprzeciwko was i mówić o sprawach, nooo... bardzo prywatnych. Wolałabym napisać podanie z prośbą o przyjęcie mnie na czas próby. Bardzo chciałabym wreszcie zrobić coś ważnego dla innych i dla siebie, coś, co sama wymyśliłam. Skoro jednak nie da się inaczej zostać wolontariuszką, to trudno. Spróbuję jeszcze raz przejść przez to wszystko...

...Nie pamiętam dokładnie, ale chyba z półtora roku temu dołączyła do naszej klasy Zuzka. Powiedziała o sobie krótko, że pięć lat mieszkała w Londynie, jej rodzice skończyli pracę przy jakimś projekcie i razem z nimi wróciła do Polski. Taka zwyczajna się nam wydała. Właściwie nikt jej początkowo nie zauważał. Zajęła miejsce w ławce, jednak nie w naszych głowach, a o sercach to już w ogóle nie wspomnę... No, co się tak patrzycie?! Mówię, jak było!

Na samym początku Anielka zainteresowała się nową i nawet byłam trochę zazdrosna, kiedy namawiała Zuzkę na warsztaty teatralne. Potem uznałam, że byłoby świetnie kolegować się we trzy. Ale już po tygodniu dowiedziałam się, że Zuzka „jest nudna i do nas nie pasuje”. Moim zdaniem pasowała. Zresztą Zuza to miła dziewczyna, a nie strój kąpielowy. Nie odważyłam się jednak głośno zaprotestować i dałam spokój.

Ale nie całkiem...

Po cichu lubiłam Zuzę. Nawet bardzo. A im bardziej ją lubiłam, tym rzadziej rozmawiałam o niej z Anielką. Bo Zuza wcale nie była taka zwyczajna, a nazwać ją nudną – to niemal jak obraza. Wyobraźcie sobie, że ona ani razu nie zakpiła z Antosi, która okropnie się jąka i na początku, jeśli ktoś nie jest do tego przyzwyczajony, to trudno się nie śmiać. Nie skomentowała głupoty naszych klasowych bliźniaków, które zachowują się jak starszaki z przedszkola. A Heli, temu okrągłemu łakomczuchowi, pożyczyła swoją wypasioną apaszkę, gdy jej pękły spodnie. Żeby mogła jakoś zamaskować dziurę. I natychmiast dziewczyny przestały z Heli drwić, a ich apaszki też wylądowały na biodrach, jakby to był ostatni krzyk mody. Ale chyba najbardziej zapamiętałam tę sprawę z Małym...

Bo Mały, znaczy Robercik, jest najniższy w klasie i Kuba, taki macho całą gębą, uwielbia go lekko dręczyć. Nie żeby Małego prał, ale a to mu nogę podstawia, a to krzesło odsunie i Mały ląduje na ziemi albo łapie dziwne pozy. No i któregoś dnia starym zwyczajem po lekkim pchnięciu przez Kubę Mały wylądował na podłodze u stóp nowej.

– To jest, Mały, zabawa w rycerza! Całuj stopy swojej księżniczce! – rechotał Kuba, a my ze strachem patrzyliśmy, jak Zuzka spokojnie wstaje i pyta klasowego tyrana, dlaczego znęca się nad słabszym. Kuba nadał się i tylko tępo patrzył na nią. Nie wierzył własnym uszom, że ktoś ma czelność pytać go o takie rzeczy! W dodatku jakaś niewydarzona nowa. I do tego dziewczyna! Podszedł do niej z tą swoją miną mordercy, aż się przeraziliśmy. I nagle wielki wysportowany Kuba znalazł się w tym samym miejscu, z którego przed chwilą Robercik ledwo się pozbierał.

– Tylko nie całuj moich stóp, bo sobie nie życzę! – warknęła Zuzka, a my zaczęliśmy bić jej brawo.

Cała klasa, bo wcześniej nikt się nie odważył wejść Kubie w paradę. A Zuzia, jakby nic się nie stało, usiadła na swoim miejscu i dalej wertowała podręcznik do matmy.

Anielka nie klaskała. Pomyślałam, że jest przyzwyczajona do braw, ale nie do klaskania innym. Gdy wracałyśmy do domu, wspomniała o zajściu, mówiąc, że brzydzi ją przemoc. Kiedy próbowałam powiedzieć, że właśnie ktoś jej zapobiegł, i to, jak się okazało, europejska mistrzyni junierek w dzudo, Anielka gniewnie potrząsnęła lokami i upomniała mnie, że wspieram „mordobicie”. Tak powiedziała i już wiedziałam, że właśnie skreśliła Zuzę z listy swoich znajomych. I to skreśliła „na śmierć i życie, na dobre i złe, na zawsze”...

Zuzia nie próbowała kolegować się z nikim na siłę, a mimo to prawie wszyscy się do niej garnęli. Była miła, nikogo nie wyróżniała. Uczyła się dobrze, ale nie człapała za nauczycielami jak nasze prymuski, zebrząc o poprawę sprawdzianu czy klasówki.

– Brakuje jej ambicji! – prychała Anielka. – Pewnie wie, że wyżej nie podskoczy... – mówiła współczująco.

Początkowo przytakiwałam, wreszcie uznałam, że najwyższy czas powiedzieć, co myślę.

– A mnie to imponuje, że jest taka spoko... Ma, co ma, i to jej wystarcza – wzięłam któregoś razu Zuzkę w obronę.

– Równasz do gorszych. – W głosie Anieli wyczułam pogardę. – Ale rozumiem, nie każdy jest stworzony do sukcesów – rzuciła szybko, kończąc rozmowę, bo na korytarzu mignęła Stokrotka, pani od biologii, która po stokroć powtarza, że jesteśmy tumanami.

Anielka pędem ruszyła w jej stronę, bo czwórka z plusem z ostatniego sprawdzianu paskudnie obniżała jej średnią.

...Dlaczego wtedy ucieszyło mnie, że nie gonię za sukcesami? Dlaczego pomyślałam, że przyjemniej jest czasem cieszyć się z tego, co mamy, i nie zebrać o więcej? Moja babcia zawsze mówi, że prawdziwa przyjaźń zamienia nasze nerwy w dobrotliwy uśmiech. A ja nagle odkryłam, że od dawna nie uśmiecham się przy Anieli dobrotliwie! Ba! W ogóle zapomniałam o uśmiechu!

Zuza nie robiła nic, żeby poprawiać swoją pozycję. Czy to w dzienniku, czy w naszym towarzyskim rankingu. Im mniej się starała, tym bardziej my próbowaliśmy się do niej zbliżyć. Każdy chciał zamienić z nią kilka słów, poczęstować ją kanapką, zapytać, skąd ma taki odjazdowy hardcorowy plecak. Niby dalej siedziała sama w ławce, jednak była na ustach wszystkich.

Nie wiem, kiedy to się stało, ale zaczęliśmy przypominać pociąg kursujący według nowego rozkładu jazdy. Coraz chętniej czytaliśmy książki, o których wspomniała, staraliśmy się nie przegapić wybitnego jej zdaniem filmu, biegaliśmy po wystawach, żeby sprawdzić, co ją w tych dziełach sztuki kręci... I co najważniejsze – zaczęliśmy lepiej poznawać nie tylko tę nową, ale i siebie. Nagle okazało się, że w naszej klasie są naprawdę świetni ludzie, prawdziwe osobowości. Nie tylko Anielka, jak niesłusznie uważali nauczyciele.

Anielkę omijały te zmiany i zawirowania, długo ich nie zauważała. Dopóki nową nie zainteresował się Ernest...

Wiecie, który to Ernest? Jak to – nie wiecie????!!! Zagrał kilka scen w serialu *Wolna chata*... W reklamie pizzy też występuje... Nie znacie Ernesta? Wszyscy go znają! Ma już kilka tysięcy lajków na Facebooku, prawdziwa gwiazda! No, nieważne. Chcę tylko powiedzieć, że Ernest, nasze „ciacho tygodnia”, zawsze ubrany jest jak z żurnala i trochę przypomina Biebera. Mógłby sobie znaleźć dziewczynę nawet w ogólniaku! A on podpytywał o naszą Zuzię i poprosił Piotrka o jej numer telefonu.

Wiedziała! Będą kłopoty! Anielka gra z Ernestem w szkolnym teatrze, a na jego widok zapomina, że sama jest chodzącym rozsądkiem. No i stało się! Już nie wiem, co bardziej rozwścieczyło Anielkę – ta prośba Ernesta czy odpowiedź Zuzy. Bo Zuzka oświadczyła Piotrkowi przy wszystkich, że nie ma czasu rozmawiać przez telefon z męskim butikiem dla snobów. Poza tym żeby z kimś rozmawiać, to jeszcze trzeba mieć o czym...

To było mocne! Dotąd żadna dziewczyna nie ośmieliła się odmówić Ernestowi czegokolwiek, a większość marzyła, by je o cokolwiek poprosił!

Na szczęście w tym czasie Aniela zaklasyfikowała się do drugiego etapu olimpiady z angielskiego. Co więcej: wygrała z Zużą, która też świetnie wypadła i do końca nie było wiadomo, która z nich będzie reprezentować szkołę w województwie.

– Przyjedzie taka nie wiadomo skąd i myśli, że jest najmądrzejsza! – triumfowała Anielka. – Gdybym mieszkała tyle lat w Anglii, pisałabym jak Szekspir! – prychała, patrząc na rywalkę z góry.

Za to nasza wychowawczyni, anglistka Beauty, patrzyła na nową z jeszcze większą miłością. Aż Piotrek uznał, że skoro Beauty kocha przegranych, to jego powinna wprost wielbić.

Powoli wszystkie drobne zatargi odeszły w niepamięć i znowu każdy robił swoje. Aż do dnia, gdy na godzinie wychowawczej przyszły dziewczyny ze starszej klasy wtajemniczyć nas w nowy szkolny projekt.

– Będzie konkurs – powiedziały od progu. – Wszyscy biorą w nim udział. Was też prosimy o głosowanie.

Dziewczyny odczytały list nauczycieli, który był długim narzekaniem na powszechny brak szacunku. Ponoć nie szanujemy się wzajemnie i zapomnieliśmy, jak ważny jest szacunek, który powinno się mieć dla innych. No i znaleźli sposób, aby to zmienić. Mają nadzieję, że wybierając szanowane przez nas koleżanki i kolegów, zastanowimy się, jak to właściwie jest z tym szacunkiem. Oczywiście połowa klasy chciała wiedzieć, co można w tym konkursie wygrać, ale nasza anglistka od razu te dyskusje ucięła, mówiąc, że zwycięzca dostanie to, co najważniejsze, bo jeśli cieszy się największym szacunkiem w klasie, to piękniejszej nagrody nie ma. Ona też podpisała się pod tym listem.

Wiem, że to nudne, te moje szkolne smęty... Ale za chwilę zrozumiecie, dlaczego musiałam i o tym opowiedzieć. No więc ten konkurs został nazwany *Szacun dla szacunku*. I każdy biorący w nim udział miał wytypować jedną osobę, która jego zdaniem zasługuje na Szacun.

Tego dnia przez całą drogę do domu Anielka ubolewała, że znowu będzie musiała reprezentować naszą klasę, choć wcale nie chce, bo to się zwyczajnie nie opłaca. Jakiś Szacun zrobiony pewnie na lekcji plastyki z ekologicznego kartonu... „Takich nagród nie można traktować poważnie”, tłumaczyła mi, wyraźnie niepokieszona. Zdziwiłam się, bo ona zazwyczaj, słysząc słowo „konkurs”, już przed oficjalnym ogłoszeniem bierze w nim udział.

– Może cię nie wytypują? – próbowałam uciąć temat.

Miałam dość jej narzekań i wiecznego mówienia tylko o sobie. Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Jak to nie wytypują? – Wytrzeszczyła oczy. – Jeśli nie mnie, to kogo?

Musiałśmy pomyśleć o tym samym, bo nagle Aniela zamilkła i szła z tak naburmuszoną miną, że zatęskniłam za Anielą sprzed chwili.

– To cześć! – Rozstała się ze mną o dwie przecznice wcześniej i nawet nie zdążyłam jej zapewnić, że jak zawsze oddam na nią głos, jeśli tylko zechce wziąć udział w tej zabawie.

Nie tylko chciała, ale wręcz „musiała”, jak mi to wieczorem tłumaczyła przez telefon.

– Muszę dostać tego głupiego Szacuna – oświadczyła na koniec, zapominając, że „to się nie opłaca”, „pomysł jest badziewiarski” i „kto w ogóle słyszał o jakimś Szacunie?”...

Anielka się rozłączyła, a ja nagle zrozumiałam, że jestem w fatalnej sytuacji. Bo szczerze mówiąc, ulżyło mi, że nie chce startować w konkursie. Kiedy zadałam sobie pytanie, kto w naszej klasie budzi największy szacunek, w moich myślach pojawiała się jak zdjęcie na Facebooku pogodna twarz Zuzy. Bo nagle stało się dla mnie oczywiste, że ona jedna nigdy nikogo nie obraziła. I zawsze mówiła prawdę. Nie zdarzyło jej się skomentować złośliwości Anielki, co nawet mnie się czasem zdarzało, choć jesteśmy przyjaciółkami. Wreszcie to Zuzi opowiedziałam o swojej tęsknocie za Hrabinią, po tym jak na głos przeczytała wypracowanie na temat miejsca zwierząt w naszym życiu. Musiała przeczytać, wyrwana do tablicy – sama nigdy nie pchała się do prezentacji swoich świetnych prac. Wiedziałam, że mnie zrozumie i wysłucha.

Im dłużej myślałam o Zuzi, tym bardziej wydawało mi się, że znam ją sto lat. Znam i nie znam. Bo nigdy się nie popisowała, nie ogłasza światu, że zdobyła kolejny medal. A powiem wam, że zdobyła! I nawet mówili o tym w telewizji. Od tej hecy z Kubą rozumiem, dlaczego Robercik jest w nią wpatrzony jak w obraz. Ale nie rozumiem, jak to się stało, że Kuba też jest w nią wpatrzony i sporządził! Aż nasza Beauty wyraźnie się o niego martwi i pyta, czy na pewno dobrze się czuje...

...Rozumiecie, o co mi chodzi? Każdy chce jakoś zaistnieć, pokazać się z dobrej strony, a nowej wcale na tym nie zależało. Robiła, co uważała za słuszne, i zawsze wzbudzała nasz podziw. Choćby sprawa z Kaśką. Utało się, że siedzenie czy rozmawianie z Kaśką to obciach. Było mi z tego powodu przykro, bo wciąż ją lubiłam, ale nie zrobiłam nic, żeby to zmienić. Tymczasem Zuza jakby na przekór klasowej modzie usiadła właśnie z nią. I teraz nie tylko rozmawiają czy śmieją się razem, ale widziano je na deskorolkach, w bibliotece i na koncercie kapeli rockowej.

Muszę wam to powiedzieć! Zazdroszczę im! Jednej i drugiej. I często się zastanawiam nad tym, jak byłoby cudownie móc razem z nimi śmiać się i wywracać na desce, której nie potrafię ujarzmić...

Ale wracam do Anielki... Nie darowała Zuzi i Kaśce tego koleżeństwa, a ja miałam już dość złośliwości pod ich adresem. Plotek i przykrych słów. Po raz pierwszy zapragnęłam przerwać milczenie, bo milcząc, też brałam udział w tych igrzyskach nienawiści. A to nie były moje igrzyska!

Każdego wieczoru przed zaśnięciem wyobrażałam sobie, jak wreszcie przeproszam Kasię za to, że zostawiłam ją kiedyś samą. I dziękuję jej, że postąpiła inaczej, gdy było mi strasznie źle. Aniela powinna usłyszeć ode mnie, jak szanuję Kaśkę i tych, którzy ją szanują... A kiedy już byłam gotowa odważnie ogłosić swoje przemyślenia, milkłam jak tchórz...

Wiem, wiem! Nie powinnam się do tego przyznawać, bo pewnie chcecie poznać moje mocne strony, a nie słabości. Ale nic nie poradzę. Tak właśnie było.

Co do jednego Aniela ma rację: dopóki nie dołączyła do naszej klasy nowa, żyło się normalnie i nikt nie łamał przyjętych zasad. A teraz nawet nasza żelazna zasada – odpisywanie zadań z matmy od Anielki – przestała obowiązywać, bo Zuza nie jeździ wprawdzie na matematyczne kangury, ale za to nieźle nam tłumaczy.

Wreszcie nadszedł dzień głosowania. Dostaliśmy specjalne kartki z napisem „Szacun dla szacunku”, z miejscem, gdzie należało wpisać imię i nazwisko osoby zasługującej na wyróżnienie.

Zapadła cisza, gdy Beauty liczyła nasze głosy. Wygrała Zuza. Kilka osób wytypowało Romeę, która jest najbardziej zaangażowaną animalką i trzeba przyznać, że niejednemu psu czy kotu uratowała życie. Ktoś dla żartu zaproponował Szacun dla Kuby. Ale najbardziej szokujące było to, że Aniela wyprzedziła go tylko jednym głosem.

Nie przełknęła klęski. Uśmiechała się wprawdzie, ale to był uśmiech z epoki lodowcowej, grożący globalnym zamrożeniem świata. Nawet ta pewna siebie mina, jaką przybrała po przegranej, mogła wprowadzić w błąd tylko kogoś, kto jej nie znał. Nie mnie.

Rozpląkała się dopiero w parku, na ławce, gdy zostałyśmy same. Przez łzy podziękowała mi za to jedyne wsparcie.

– Tylko ty się na mnie poznałaś! – rozpaczała. – A ta kupa podłych niewdzięczników już zapomniała, ile mi zawdzięcza!

Wykrzywiła się paskudnie, bo nad rozżaleniem brała już górę wściekłość. Przypomniałam jej, że wcale nie tylko ja!

– Aż dwie osoby przyznały ci Szacun! – zaprzeczałam gorliwie, brnąc w beznadziejne pocieszenia. – Masz powód do radości! Ja w ogóle nie zasłużyłam na szacunek... – tłumaczyłam cierpliwie.

Im bardziej ją pocieszałam, tym głośniejsze łkała.

– Jeden głos, jeden głos... – zawodziła.

– Dwa! – przypominałam niestrudzenie.

– Drugi się nie liczy... – warknęła wściekle, nie patrząc na mnie.

Wreszcie zrozumiałam, skąd wziął się drugi Szacun dla Anieli... Sama go sobie przyznała...

– Powiedz, że to nieprawda... że na siebie nie zagłosowałaś... To... to jest nie fair... – jąkałam się.

Ale Anieli mnie nie słyszała.

Powtarzała tylko, że ten cały konkurs jest nie fair, głupi i niesprawiedliwy. Że Zuza jest nowa, że nie tak dawno do nas dołączyła, nikt jej dobrze nie zna, powinna być wykluczona... Poza tym to przecież ona, Anieli, najlepiej się uczy, dla nas to robi, bo ktoś musi trzymać poziom...

Słuchałam jej ze smutnym zdumieniem. Jak to możliwe – zastanawiałam się – być najmądrzejszą w klasie, a jednocześnie nie rozumieć, że szacunek to nie szkolny przedmiot, z którego piszemy klasówkę na ocenę. I jak można szanować innych, gdy jest się skupionym na miłości do siebie?

Nie wiem, czy Anieli zauważyła, że od jakiegoś czasu jej nie słucham. Może zorientowała się dopiero wieczorem, gdy po raz pierwszy nie odebrałam od niej telefonu i nie oddzwoniłam? To już nie było ważne. Miałam większy problem tego dnia. Musiałam odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego zabrakło mi odwagi, aby uczciwie zagłosować. Na Zuze... Bo to do niej należał mój Szacun, a ja znowu stchórzyłam.

Tam, na ławce, kiedy razem ze łzami Anieli wylewała się jej złość, zrozumiałam, że nawet jako kandydatka do nagrody odebrała sobie do niej prawo. Tak samo jak ja. Przecież też nie mogłam liczyć na szacunek innych, skoro bałam się mówić prawdę. A nawet myśleć po swojemu i bronić własnych racji. Nic dziwnego, że nikt w klasie nie wpadł na pomysł, aby przemycić na tę zaszczytną listę moje nazwisko. Przyjaźnię się z Anielką, ale źle rozumiem przyjaźń. Powinnam jej powiedzieć szczerze, dlaczego przegrała, zamiast przekonywać ją z litości, że zasługuje na nasz

podziw. Ludzie cieszący się szacunkiem są szczerzy i uczciwi. Dziś to wiem.

...No cóż. Sami widzicie, że żaden ze mnie ideał. Ale jak każdy człowiek zasługuję na szacunek. Chcę go mieć także wobec siebie. Dlatego do was przyszedłem. Pierwszy raz zapragnęłam polubić się za coś, zająć się innymi. Wiem już, że aby pomagać samotnym dzieciom, trzeba znaleźć w sobie dobre uczucia. Szacunek wydał mi się najważniejszy. I przyjaźń, ale taka szczerą, prawdziwą.

Teraz, kiedy słucham tego, co mówię, dochodzę do wniosku, że jeszcze nie zasługuję na zaufanie. Ale przynajmniej próbuję być uczciwa wobec innych i samej siebie.

Aniela nie potrafiła. Bo muszę wam jeszcze powiedzieć, że na tę olimpiadę z anglika pojechała tylko dlatego, że Zuza się wycofała; uznała, że było jej łatwiej, bo mieszkała w Londynie i chodziła do angielskiej szkoły.

Ale wróćmy do Szacuna. Beauty pogratulowała Zuzi nagrody, a Aniela pod jakimś pretekstem szybko wybiegła z klasy. Nie widziała, jak „nowa” otrzymuje statuetkę i jak bijemy jej brawo. Pewnie stała za drzwiami jeszcze bardziej rozgoryczona, bo przecież wiadomo, komu dotąd biło się w szkole brawo...

...Dodam tylko, że bardzo chcę tu przychodzić. Opowiedziałam szczerze o swojej porażce i przyznaję, że nie wiem, czy to miejsce dla takich osób jak ja, które się czasami mylą. Ale moja babcia lubi powtarzać, że prawda jest jak czekolada. Gorzka – nawet zdrowsza... I z szacunkiem przyjmę każdą waszą decyzję. Będę szczęśliwa, jeśli się okaże, że wy też wolicie gorzką czekoladę...

WYOBRAZIŁEM
SOBIE CZASY SPRZED
WIELKIEJ REFORMY
I AŻ CIARKI PRZESZŁY
MI PO PLECACH.
JAK CI LUDZIE W OGÓLE
MOGLI ŻYĆ?



PAWEŁ BERĘSEWICZ

SYSTEM



ŻYCZLIWOŚĆ wyraża się dobrą wolą i gotowością do pomocy innym. Wynika z sympatii i zaufania do ludzi, z przekonania, że są dobrzy, a ich potrzeby ważne. W tle tej wartości leży też wiara, że możemy na siebie wzajemnie liczyć. Postawa życzliwości ma swoje źródło w wychowaniu człowieka, w doświadczaniu przez niego w dzieciństwie empatii, szacunku i dobrej woli ze strony bliskich i otoczenia. Uczymy się jej przez obserwację, doświadczanie i naśladowanie. Wchłaniamy ją z klimatu domu, środowiska, z dzieł kultury. Ponieważ w świecie ludzi życzliwych znacznie lepiej się żyje, ważne jest, byśmy świadomie okazywali życzliwość, dostrzegali potrzeby innych i właściwie na nie odpowiadali – z dobrą wolą, taktem i cierpliwością.

Witam szanownego sąsiada! – zawołał przy windzie Kowalski spod osiemnastki.

Uśmiechnąłem się serdecznie i zapytałem o zdrowie żony i dzieci. Żona leżała z grypą, więc wyraziłem współczucie i przekazałem życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Dzieciom na szczęście nic nie było, a jedno nawet ostatnio wygrało zawody w biegach przełajowych.

– Brawo! – pochwaliłem. – Zuch dzieciak! To po tacie taka kondycja?

– No cóż, biegało się kiedyś – rozpromienił się Kowalski, a kiedy przyjechała winda, otworzył drzwi i przytrzymał, żebym mógł wsiąść. – Proszę przodem, sąsiedzie! – powiedział. – Pan z bagażem.

Bagaż składał się tylko z niewielkiej teczki, w której nosiłem papiery do pracy, ale skoro Kowalski był tak uprzejmy, wszedłem pierwszy. Odwdzieczyłem się za to na dole. Przytrzymałem przed nim nie tylko drzwi windy, ale też te przy wyjściu z klatki schodowej.

– Miłego dnia, sąsiedzie – powiedział przed blokiem.

– Panu też – uśmiechnąłem się ciepło. – Tłumu klientów życzę. – Kowalski miał sklep z elektroniką.

Chciał się jeszcze jakoś zrewanżować za moje miłe słowa, ale już szedłem w stronę samochodu, zadowolony, że moja grzeczność na wierzchu.

– Halo, panie sąsiedzie! – usłyszałem nagle, a kiedy się odwróciłem, Kowalski biegł w moją stronę. Rzucił mi się niemal do stóp i lekko zdyszany podniósł z ziemi kluczyki do samochodu. – Wypadły panu – wysapał.

Teraz ja miałem u niego dług. Podziękowałem wylewnie, uśmiechając się przy tym jak najserdeczniej.

– A może pana podwieźć? – zaproponowałem.

Wykręcał się, że ma swój samochód i nie chce sprawiać kłopotów.

– Żaden kłopot – nalegałem. – W miłym towarzystwie zawsze przyjemniej.

Nie chciał odmawiać mi przyjemności. Poza tym, jak powiedział, po co jechać w dwa auta, skoro można w jedno. Mniejszy ruch w mieście i od razu wszystkim lepiej się żyje.

– Piękny wóz – pochwalił uprzejmie, siadając obok mnie.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością i poradziłem, żeby cofnął sobie fotel.

– Będzie miał pan więcej miejsca na nogi – dodałem.

Kiedy Kowalski majstrował przy dźwigni pod siedzeniem, włożyłem kluczyk do stacyjki i przekręciłem. Silnik ani drgnął.

– Ojojjoj! – zatroskał się Kowalski. – Coś z akumulatorem chyba. Pan otworzy maskę, sąsiedzie. Zobaczę, co tam się dzieje.

– Ubrudzi się pan – zaprotestowałem. – Zadzwonię po taksówkę, a do naprawy wezwę kogoś po pracy.

Ale Kowalski uparł się, żeby naprawiać. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy, nachylił się nad silnikiem i zaczął coś przy nim dłubać. Dłubał i dłubał, a ja coraz bardziej nerwowo zerkąłem na zegarek. W końcu wychylił się zza kłapy i oświadczył, że musi skoczyć do domu po jakieś narzędzia czy przewód.

– Nie, nie, panie sąsiedzie! – zawołałem trochę zbyt nerwowo i wyskoczyłem z samochodu. Wyglądał na dotkniętego, więc czym prędzej dodałem: – Proszę sobie nie zawracać głowy!

Chciał obśmiać to zawracanie, ale chyba zdał sobie sprawę, która godzina, bo szerokim gestem wskazał drugi koniec parkingu.

– To może pojedźmy moim – zaproponował z zapalem.

Czułem, że zdobywa przewagę, ale było zbyt późno na inne kombinacje. Siadłem w jego sportowym wozie, a na dodatek wziąłem tic-taka, którego mi podsunął, i skorzystałem z klimatyzacji. Jakby mało mu było jeszcze tych wszystkich miłych gestów, Kowalski uparł się, że nie wysadzi mnie przy stacji metra, jak się początkowo umawialiśmy, tylko podwiezie pod samą pracę. Kiedy wysiadałem, podał mi rękę i spytał:

– Podjechać po sąsiada, wracając? O której sąsiad kończy?

– A pan? – upewniłem się.

– O piątej.

Z nieco udawanym żalem powiedziałem, że ja o szóstej, na co on machnął ręką i stwierdził, że chętnie poczeka godzinę.

Do pracy zdążyłem w ostatniej chwili. Recepcjonistka w biurze uśmiechnęła się przyjaźnie i chyba miała ochotę na kilka sympatycznych słówek o pogodzie albo czymś równie nieważnym, ale szybko przemknąłem obok jej lady, żeby na czas być u siebie. Na moim biurku czekała dymiąca herbata. Rozejrzałem się pytająco po pokoju.

– Na dobry początek dnia. – Pomachał mi Michał z działu trzeciego. – Nie byłem tylko pewien, czy słodzisz.

To mi przypomniało, że zostawiłem w domu ciastka, które kupiłem dla kolegów z biura. Fatalnie zaczynał się ten tydzień!

W internetowym wydaniu gazety oczywiście najwięcej miejsca zajmował niedzielny mecz. Analizy, zdjęcia, opinie i słowa otuchy dla naszych. Cóż, przegraliśmy – podsumowywał swój artykuł jeden z dziennikarzy – ale to znaczy, że tamci wygrali. Czyż to nie miłe, że ktoś dzięki nam się cieszy? W komentarzach pod tekstem internauci prześcigali się w serdecznościach. „Każdemu się zdarza, chłopaki”. „Następnym razem wygramy”. „Raz się wygrywa, raz się przegrywa”. „Dzięki za wielkie emocje, kochani piłkarze”, napisałem i poczułem się trochę lepiej.

Szef wezwał mnie koło południa. Szedłem z duszą na ramieniu, ale po drodze udało mi się posłać kilka uśmiechów sekretarce, księgowej i serwisantowi drukarek. Oni odwzajemnili mi się tym samym i w takiej serdecznej eskorcie dotarłem pod słynne brązowe drzwi. Zapukałem nieśmiało i zacisnąłem zęby, żeby nie dzwoniły zbyt głośno.

– Proszę! – usłyszałem i wszedłem.

Za rozległym biurkiem stał tyłem wyściełany fotel, a znad oparcia wystawała dyrektorska łysinka.

– Dzień dobry, panie prezesie – powiedziałem cicho.

– A, to pan! – burknął szef w stronę panoramy miasta za przeszkloną ścianą. – Mamy z panem problem, panie kolego!

Poczułem, jak miękną mi kolana, i już miałem zacząć przeproszać, kiedy fotel obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i popatrzyła na mnie rozpromieniona rumiana twarz.

– Proszę, proszę, niech pan siada, kolego! – serdecznie zaprosił dyrektor, wskazując mi krzesło po bliższej stronie biurka. – Wystraszył się pan? Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Problem jest taki, drogi kolego, że pan ostatnio zbyt ciężko pracuje. Chciałbym to panu jakoś wynagrodzić. Czy tysiąc złotych podwyżki będzie wystarczającą nagrodą za pański trud i poświęcenie?

Wychodząc od szefa, ważyłem tyle co urodzinowy balonik. Gdyby nie klucze i portfel w kieszeni, frunąłbym przez korytarz i trącał głową sufit. Klepnąłem w plecy serwisanta, rzuciłem komplement sekretarce i wpadłem do łazienki, żeby odetchnąć głęboko. Nachyliłem się nad umywalką

i chlapnąłem w twarz zimną wodą. Parsknąłem kilka razy i już miałem sięgać po papierowy ręcznik, kiedy nagle zastygłem zgięty w pół, a prawa ręka bezwiednie powędrowała w okolice krzyża.

– Terminal! – szepnąłem ze zgrozą.

W dyskretnej ciszy łazienki pikanie urządzenia brzmiało jak policyjna syrena na ulicach śpiącego miasta. Nerwowo przebiegłem w myślach cyferki kalendarza. Piętnasty! A głowę bym dał, że dopiero zaczął się miesiąc! Drżącymi palcami wygrzebałem terminal z pokrowca na pasku i spojrzałem na wyświetlacz. Czerwony pulsujący napis: „KONIEC ABONAMENTU!!!” nie pozostawiał złudzeń. Jak mogłem do tego dopuścić? Jeszcze nigdy nie przegapiłem terminu! To przez te stresy w pracy! I co teraz będzie? Poczulem przypływ paniki i dopiero kolejne chluśnięcie w twarz pomogło mi się wziąć w garść.

– Spokojnie! – mówiłem do siebie. – Wszystko będzie dobrze. Pójdiesz do kasy, zapłacisz i po krzyku.

Niestety, rzecz nie była aż tak prosta, jak próbowałem sobie wmówić. Po pierwsze nie miałem pojęcia, gdzie jest najbliższa kasa abonamentowa. Zawsze do tej pory płaciłem w terminie, a do tego wystarczył zwykły przelew z domu. Dlaczego przeterminowani muszą swoje zaległości regulować osobiście, nigdy nie potrafiłem zrozumieć.

Owinąłem terminal kilkoma papierowymi ręcznikami, żeby trochę wyciszyć pikanie, ale całkiem go stłumić nie dałem rady. Zakląłem ze złości, choć oczywiście zdawałem sobie sprawę, że musi pikać. Inaczej przeterminowanych nie dałoby się odróżnić od porządnie płacących. Mógłby taki przeterminowany naciągnąć porządnego na jakieś miłe gesty. Nauśmiechałby się taki porządny, napomagał, nabył sympatyczny, święcie przekonany, że rośnie mu saldo na abonamentowym koncie. A tu nic z tego. Kicha. Zero złotych. Przychodzi termin, porządny myśli, że jest na plusie, i nawet nie sprawdza, a tu nagle jego terminal: Piiip-piiip! Nie miałem wątpliwości, że przeterminowanemu musi pikać. Tylko dlaczego dla mnie nie można było zrobić wyjątku?

Ostrożnie wyszedłem na korytarz. Chciałem ukradkiem przemknąć się do pokoju, ale z pikającym terminalem nie ma co marzyć o żadnych ukradkach.

– Może tak ciszej, co? – warknęła sekretarka.

W pokoju wszyscy podnieśli głowy i łypnęli na mnie ponuro.

– Nie wiecie, gdzie jest najbliższa kasa? – spytałem.

Udali, że nie słyszą.

– Nie wiesz? – Podszedłem do Michała z działu trzeciego.

Wzruszył ramionami i burknął:

– W internecie se sprawdź!

Sprawdziłem. W całym mieście była tylko jedna. Oczywiście tak daleko, że dalej nie można. Nie jeździł tam żaden autobus, niech sobie przeterminowani chodzą piechotą.

– Muszę wyjść – powiedziałem do Michała.

– Całe szczęście, bo wytrzymać się nie da.

– Gdyby szef pytał, to powiedz, że zaraz wrócę – poprosiłem.

– Sam se powiedz!

Cóż było robić, sięgnąłem do portfela i odliczyłem kwotę. Poza abonamentem miłe gesty kosztowały fortunę.

– Trzeba było płacić w terminie – mruknął Michał, chowając banknoty do kieszeni.

Do windy udało mi się wsiąść dopiero za drugim razem. Z pierwszej wypchnął mnie brzuchem jakiś gruby jegomość z trzeciego piętra. Przy wyjściu na ulicę o mało nie rozbiłem sobie nosa o szklane drzwi, które portier puścił, udając, że mnie nie widzi. Na postoju taksówek jakaś kobieta chciała się wepchnąć przede mnie, ale byłem silniejszy i wdarłem się jako pierwszy. Cóż z tego, skoro taksówkarz stwierdził, że „pikaczy nie wozi”, i dość przekonująco doradził „wypad z gabloty”. Wściekły i zawstydzony wsiadłem do autobusu. Kiedy jednak przymierałem się do jednego z wielu wolnych miejsc, miny najbliższych współpasażerów wybiły mi z głowy siadanie. Wcisnąłem się więc jak najgłębiej w kąt z tyłu pojazdu, gdzie silnik warczał najgłośniej i trochę zagłuszał pikanie. Przez chwilę czułem na sobie zgorzony wzrok kierowcy odbity w lusterku na przedniej szybie, ale w końcu syknęły zamykane drzwi i autobus ruszył. Odetchnąłem z ulgą. Jakie to szczęście, że mamy System, myślałem po drodze. Po prostu zapłacę w kasie i cały ten koszmar się skończy.

Wyobraziłem sobie czasy sprzed Wielkiej Reformy i aż ciarki przeszły mi po plecach. Jak ci ludzie w ogóle mogli żyć? Nie było abonamentów, rynek miłych gestów w ogóle niezorganizowany – mogłeś albo płacić gotówką, albo wymieniać gest za gest. Skutki nieraz widziałem w starych dokumentalnych filmach: ponure twarze na ulicach, obelgi w telewizyjnych

dyskusjach, wściekle ujadanie na internetowych forach, zaciśnięte pięści na marszach z pochodniami. Gdyby nie System Abonamentowy, nie wiem, w jakim składzie dotrwalibyśmy do dzisiaj. A tak – wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku. Każdy przy urodzeniu obowiązkowo otrzymuje terminal z przedpłaconą kwotą na dobry początek. To niewielkie urządzenie wycenia i rejestruje wszystkie miłe gesty. Zrobisz dla bliźniego coś miłego i natychmiast z konta bliźniego przepływa na twoje odpowiednia suma. Bliźni się do ciebie uśmiechnie i pieniądze wędrują z powrotem. Raz w miesiącu wystarczy sprawdzić stan konta. Jeśli jesteś na plusie, masz problem z głową. Jeśli na minusie – wystarczy zasilić rachunek brakującą kwotą. I tyle. Spojrzałem przez okno. Autobus mijał właśnie zielony skwer niedaleko dworca. Dwóch jegomościów witało się serdecznie przy kiosku z gazetami, uprzejmy młodzieniec pomagał jakiejś kobiecie wnieść wózek na schody urzędu, a policjant pokazywał uszczęśliwionym dzieciakom, jak z bliska wygląda lizak do zatrzymywania kierowców. Działo? Działo – chyba że jakiś dureń zapomniał o terminie!

Wysiadłem na ostatnim przystanku, a razem ze mną upiorne pikanie. Czyjś pies, najwyraźniej wyprowadzony z równowagi nieprzyjemnym dźwiękiem, rzucił mi się do nogi i obszczekał ze wszystkich stron.

– Co mi pan psa denerwujesz? – oburzyła się właścicielka.

Machnąłem tylko ręką i ruszyłem ulicą, której nazwę, jak mi się wydawało, pamiętałem z mapki w internecie. Pierwszy raz byłem w tej części miasta. Rozglądałem się za jakąś strzałką lub tabliczką, ale niczego takiego nie znalazłem. Wysoka kamienica, za nią druga, trzecia, dziesiąta – wszystkie podobne do siebie, a żadna nie ta co trzeba. Skręciłem w lewo, w prawo, jeszcze w którąś i jeszcze. Po chwili nie byłem pewien, czy wiem, dokąd iść, a po następnej już byłem pewien, że nie wiem.

– Przepraszam, nie orientuje się pan przypadkiem, gdzie jest kasa wpłat przeterminowanych? – zapytałem jakiegoś przechodnia, a ten w dość dosadny sposób dał mi do zrozumienia, jak mało go to obchodzi.

Pokręciłem się jeszcze chwilę po okolicznych uliczkach, aż w końcu zrezygnowany stanąłem na chodniku i rozejrzałem się bezradnie. Od przeraźliwego pikania pulsowało mi w skroniach, a pod granatowym garniturem ściekały strużki potu. Wyciągnąłem komórkę, żeby zadzwonić do pracy i zapytać o drogę, ale porzuciłem ten zamiar, kiedy przypomniałem sobie cenę miłych gestów poza abonamentem. Załamany

przysiadłem na betonowym murku, a resztki energii uchodziły ze mnie jak z dziurawego dmuchanego materaca.

– Coś panu jest? – usłyszałem nagle i poderwałem głowę.

Zatrzymała się przy mnie jakaś starsza pani – małeńka, zasuszone, ubrana w szare palto i czarny kapelusik z filcowym kwiatkiem. Obok niej stała ogromna skórzana waliza, w której kobiecina, odpowiednio zgięta, z powodzeniem by się zmieściła. Patrzyła na mnie uważnie i czekała na odpowiedź.

– Nie widzi pani, że pikam? – burknąłem.

– Widzieć to nie widzę – uśmiechnęła się. – Ale nie słyszeć się nie da. Mogę panu w czymś pomóc?

– Ja pikam! – powtórzyłem dobitnie. – Pikacz jestem! Przeterminowany! Dotarło?

Pokręciła głową niezrażona i tonem cierpliwego nauczyciela powiedziała:

– Nie, nie, kochanieńki. Ja nie pytam, kim pan jest, tylko czy mogę panu pomóc.

Przyjrzałem się jej uważnie. Czyżby chciała mi sprzedać jakiś miły gest? – pomyślałem. Pewnie liczy, spryciara, że uda jej się naciągnąć pikacza. I może nawet ma rację, przyznałem cierpko. Miałem już stanowczo dość szukania.

– Wie pani, gdzie jest kasa wpłat przeterminowanych? – spytałem.

Zmartwiła się. Nie wiedziała. Podobno nie była stąd. Przyjechała tylko na kilka dni. Właśnie szła na postój taksówek, żeby pojechać na dworzec. Aha! – prychnąłem w duchu. Akurat! Próbowwała podbić cenę, byłem tego pewien. Sprytnie się targowała.

– Trudno – mruknąłem i wstałem z murku, licząc, że to odświeży jej pamięć.

Rzeczywiście coś jej się przypomniało. Rozpromieniła się nagle i powiedziała:

– Wiesz co, kochanieńki? Tam za rogiem widziałam jakieś biuro i mnóstwo takich, którym też coś pika. Straszny hałas robili. Może oni pomogą.

A więc tuż za rogiem! – westchnąłem w myślach. Mogłem przejść jeszcze tych parę kroków i sam bym trafił! Trudno, najważniejsze, że w końcu znalazłem.

– Dziękuję – mruknąłem i czekałem, aż poda cenę, ale ona uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

– Nie ma za co, kochanieńki. Powodzenia.

Patrzyłem na nią pytająco, a ona na mnie z coraz bardziej zdziwioną miną, aż w końcu pomachała mi na pożegnanie i odwróciła się na pięcie. Plastikowe kółeczka walizy zaturkotały na płytach chodnika. Osłupiały odprowadzałem ją wzrokiem i za nic nie mogłem pojąć, co się stało. Odeszła z pustymi rękami? Dlaczego? Zapomniała? Ze starości? A może jednak do niej nie dotarło, że jestem przeterminowany i że nic jej ode mnie nie spłynie? Nie chciałem wyjść na oszusta. Kradzież miłych gestów to czyn haniebny, nie mówiąc już o tym, że niezgodny z prawem.

– Proszę pani! – zawołałem i dogoniłem ją czym prędzej.

Zatrzymała się zaskoczona.

– Ja bardzo przepraszam – powiedziałem. – Nie wiem, czy pani sobie zdaje sprawę, że mój terminal jest zablokowany i nic pani nie dostanie.

– Jaki terminal? – zapytała wystraszona, czym jeszcze bardziej zbiła mnie z tropu.

– No... mój terminal – bąknąłem i wyciągnąłem piszczące pudełeczko z pokrowca na pasku. – Zapomniałem go doładować. Dlatego pika. Nie działa. Na pani terminalu nie będzie żadnej wpłaty. Pani miły gest...

– Ja nie mam żadnego terminalu! – przerwała mi takim tonem, jakbym ją oskarżył o jakieś niecne sprawki. – Nie mam pojęcia, o czym pan mówi!

– Jak to nie ma pani terminalu? – zawołałem. – Wszyscy mają!

– Przecież mówiłam panu, że nie jestem stąd.

To jej chyba przypomniało o czekającej ją podróży, bo zerknęła na zegarek i nerwowo szarpnęła walizkę na kółkach.

– Przepraszam, ale trochę się śpieszę – powiedziała. – Nie chciałabym spóźnić się na pociąg.

Do postoju taksówek miała jeszcze dobre sto metrów, a olbrzymi bagaż ledwie toczył się po chodniku. Delikatnie wyjąłem jej z dłoni uchwyt walizki i razem podeszliśmy do taksówki. Podziękowała, podała mi rękę i wsiadła do samochodu. Taksówkarz szamotał się jeszcze z bagażem, chował go z tyłu, zamykał klapę, a ja, choć powinienem już iść, stałem na chodniku i biłem się z myślami. Bardzo mnie korciło, żeby o coś ją spytać, ale nie miałem śmiałości. W końcu zebrałem się na odwagę i zapukałem w okno. Spuściła szybę i popatrzyła pytająco.

- Po co pani mi pomogła? – wypaliłem.
- Nie rozumiem – zdziwiła się.
- Ja bez terminalu, pani bez terminalu. Po co?
- Tak po prostu – powiedziała rozbawiona, jakbym zadał jakieś wyjątkowo dziecinne pytanie.

Tak jak się spodziewałem, biuro, o którym wspomniała staruszka, okazało się tym, czego szukałem. Tłoku w kasie wpłat przeterminowanych na szczęście nie było, ale uporczywe pikanie zwielokrotnione nawet w tak niewielkim stopniu mocno dawało się we znaki. Pobrałem numerek, odczekałem na swoją kolej i wyłuszczyłem sprawę w okienku.

- Co tak zmiął ten numerek? – burknęła do mnie kasjerka.

Zrobiłem przepaszającą minę i cierpliwie czekałem, aż sprawdzi co trzeba w komputerze.

- Piętnaście złotych! – szcęknęła w końcu.

Wyjąłem kartę kredytową i próbowałem ją wetknąć do właściwej szczeliny, ale nie chciała wejść.

- Jak pcha tę kartę? – warknęła pani z okienka.

Włożyłem drugą stronę i tym razem się udało. Wystukałem kod i odetchnąłem z ulgą. Terminal na moim pasku przestał pikać.

– Uprzejmie dziękuję za dokonanie transakcji – zaszczębiotała kasjerka. – Zapraszamy ponownie. Czy wezwać dla szanownego pana taksówkę?

Kowalski, tak jak obiecał, czekał po pracy przed biurem. Podziękowałem serdecznie, że się tak fatygował i tyle czasu przeze mnie zmarnował, ale zapewniał, że się w ogóle nie nudził, a poza tym czego się nie robi dla kochanych sąsiadów. Rozsiadłem się wygodnie w jego sportowej toyocie, oparłem głowę na miękkim zagłówku, zamknąłem oczy i mimowolnie westchnąłem.

- Co? Ciężki dzień w pracy? – zapytał Kowalski.
- Oj, żeby sąsiad wiedział! – mruknąłem. – W życiu by pan nie uwierzył, co mi się dzisiaj przytrafiło.
- No co?
- No, niech pan sobie wyobrazi – zrobiłem krótką pauzę dla lepszego efektu – że spotkałem pewną starszą panią, która nie miała terminalu!

– A co się stało z jej terminalem? – zawołał zdumiony Kowalski.

– Nic się nie stało. Nigdy go nie miała. W ogóle nie wiedziała, co to takiego.

– E, tam! Wszyscy mają terminale.

– A ona nie! – powtórzyłem. – Nie była stąd po prostu.

– I co sąsiad zrobił?

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Odprowadziłem ją na postój taksówek, pomogłem nieść walizkę i zatrzasnąłem za nią drzwi.

Kowalski łypnął na mnie zza kierownicy i z politowaniem pokręcił głową.

– Wie pan co, sąsiedzie? – powiedział. – Ja już sobie w tym miesiącu tyle napykałem na konto, że stać mnie na szczerść. Zmyśla pan jak, za przeproszeniem, ten pajac z nosem. Ona nie ma terminalu, a pan jej walizkę niesie? Panie sąsiedzie! To się przecież w ogóle kupy nie trzyma!

KATARZYNA RYRYCH

NIEBIESKA KREDKA

PO CO MI TO
POWIEDZIAŁ?

ŻEBY
ZATRUĆ MI
CHWILĘ
TRIUMFU?



UCZCIWOŚĆ to mówienie prawdy i jej poszanowanie, przyznawanie się do błędu lub winy, nieprzywłaszczanie sobie cudzej własności, to rzetelność w wykonywaniu swoich obowiązków – między innymi w ramach nauki i pracy – to także bezstronność, czyli traktowanie ludzi równoprawnie, bez faworyzowania. Uczciwość często jest trudna. Wymaga odwagi cywilnej, gdy mamy przyznać się do kłamstwa czy kradzieży lub ujawnić złe praktyki innych, narażając się na ich gniew. Wymaga także mądrości i sumienia – namysłu, czy w danej sytuacji uczciwość przyniesie dobro, czy zło. Czasem powiedzenie komuś prawdy, choćby na temat jego wyglądu lub sytuacji majątkowej jego rodziny, jest zwykłym nietaktem lub okrucieństwem wynikającym ze złych intencji, a czasem – głupotą, gdy na przykład złodziej pyta, gdzie mamy schowane pieniądze. Jednak poza sytuacjami wyjątkowymi uczciwość w codziennym życiu buduje wzajemne zaufanie, które jest podstawą ładu społecznego i dobrych relacji między ludźmi.

W naszym domu najczęściej słyhać „bo nie stać nas” albo „przecież nas na to nie stać”. Aż się dziwię, że moim pierwszym słowem było „mama”.

Ale może wtedy było nas na coś stać, kto wie.

Od dawna nie zadawałem głupich pytań w rodzaju „Dlaczego nie pojedziemy na wakacje nad morze? ”. Albo „Czemu nie kupimy sobie porządnego telewizora? ”.

Nie pamiętam, kiedy przestałem je zadawać. Chyba w końcu zrozumiałem, że nie należy zadawać pytań, na które nie dostanie się odpowiedzi. Albo gdy zna się odpowiedź.

No więc znam odpowiedź.

I nie pytam.

Myślę, że chyba wyrosłem też z wieku, kiedy zadaje się pytania. Jestem natomiast w wieku, w którym samemu szuka się odpowiedzi. A ponieważ mama jest cały dzień zajęta, obowiązek odpowiadania na pytania spadł na mnie.

Kto pyta?

Julia O., lat siedem.

Zamieszkała: ulica Ogrodowa 9/4.

Wzrost: krasnal.

Oczy: takie dziwne, jak oczy kociaka. Trochę niebieskie, trochę zielone. Trochę szare. Jak woda w szklance, kiedy się w niej płucze pędzelki. Szarobure.

Włosy: bez koloru. To znaczy takie mysie.

Znaki szczególne: rozbite kolana. Raz lewe, raz prawe. Zależy, na które się przewróci.

Zainteresowania: sztuka. Ciągłe coś bazgrze albo lepi. Albo coś do czegoś przykleja.

Cechy charakteru: uparta. Tak uparta, że nie rozumie, co do niej mówię.

– Paweł... Dlaczego ja nie mam Barbie?

No i co jej odpowiedzieć? Że nas nie stać? Nie, to nie powinno tak być.

– A widziałaś, jak potem wygląda Barbie? Jakie ma włosy? Jeden wielki kołtun.

– Paweł... Dlaczego mama kupuje mi ubrania po kimś?

To akurat proste.

– Nie po kimś, tylko vintage. Wiesz, co to znaczy vintage? Albo second hand? No widzisz, tępoto. Wszystkie gwiazdy filmowe ubierają się teraz w second handach. A może wolisz chiński dresik? A wiesz, że w Chinach dzieciaki w twoim wieku szyją te dresiki?

Przesadziłem, ale chyba pomogło. Fakt, od tej pory zawsze pyta, czy ta koszulka jest chińska. Bo ona, Julia, nie chce popierać pracy dzieci. I ogólnie jest przeciw wyzyskowi.

– *Made in China.*

Julia czyta napis na metce i już za nic nie założy tej koszulki. Oczywiście czyta to tak, jak jest napisane: „MADE IN CHINA”.

Nawet mama nie może jej przekonać. Nie i już.

Ale ja wiem, że Julia ma swoje marzenia. Rysuje je na kartkach z bloku, które chowa pod szafą. Na tych rysunkach są sukienki z falbankami, lalki, które wyglądają jak dorosłe kobiety, wielopiętrowe domki z kolorowego plastiku.

Oprócz mamy, Julii i mnie mieszka z nami babcia. To dzięki babci codziennie jest domowy obiad i wszystko pachnie tak, jakby wkrótce miały nadejść święta. Babcia walczy z brakiem pieniędzy czystością. Kiedy mama przynosi wypłatę, siadają w kuchni i zaczynają liczyć. To na mieszkanie, to na prąd, to na gaz. Na resztę, czyli na życie, zostaje niewiele.

– Miesiąc szybko zleci – mówi babcia.

Albo wzdycha:

– Trzeba przebiedować.

Spokojnie, są tacy, co mają jeszcze gorzej. Co nie znaczy, że się na to wszystko godzę. O nie. Babcia może sobie walczyć z życiem miotłą i szmatą do podłogi, ale ja mam inne sposoby.

Na przykład wiosną wpadłem na pomysł, żeby wyprowadzać psa sąsiadki. Dostaję za to pięć złotych dziennie. Na pierwszy spacer wychodzę przed szkołą. Idziemy na skwerek, gdzie pies podnosi nogę siedem razy i siedem razy obwąchuje jedno i to samo drzewo. To jest jakiś punkt kontaktowy. Same ważne informacje.

Na drugi spacer idziemy po szkole. Zostawiam plecak i schodzę piętro niżej, gdzie pies już czeka w przedpokoju.

Sąsiadka myśli, że jestem taki odpowiedzialny, ale to nie do końca jest prawda. Po prostu potrzebuję pieniędzy. To przecież nie jest nieuczciwe, w dodatku broni mnie to, że lubię psy.

Na ostatni spacer idziemy wieczorem. Czasami przyczepia się do mnie Julia i pozwalam jej poprowadzić psa. Idzie obok taka dumna, jakby to ona była dogsitterem.

Kiedy odprowadzam psa, dostaję wypłatę.

Czasami oprócz piątała pani wręcza mi też czekoladę. A ponieważ nie jadam słodczy, dostaje ją Julia. W sumie powinienem powiedzieć, że to nagroda za jej pomoc, ale wtedy już bym się od niej nie opędził. Nie mogę wiecznie ciągnąć za sobą siedmioletniej smarkuli. Nawet jeśli jest moją siostrą.

Zresztą ja też nie wpycham się w jej sprawy, a rysunki pod szafą znalazłem przypadkiem, kiedy szukałem guzika od kurtki. I odtąd przynajmniej wiem, o czym marzy Julia. Może kiedyś, kiedy będę naprawdę bogaty, kupię jej to wszystko.

Tylko nie wiem, o czym będzie marzyć, będąc w moim wieku, bo chyba na lalkę Barbie (mimo wszystko) będzie za stara... No bo trzeba to przyznać, że raczej nieprędko zostanę bogaty.

W soboty i niedziele do staruszki przychodzi zazwyczaj wnuczka i wtedy to ona wyprowadza psa. Wydaje mi się, że nie lubi psów, bo kiedy Sosydz zatrzymuje się przy każdym napotkanym krzaczku, dziewczucha ciągnie go za smycz albo krzyczy. Dlatego Sosydz woli spacerować ze mną.

Sosydz to po angielsku „kiełbasa”, bo starsza pani dawno temu uczyła angielskiego. No i jakie inne imię byłoby tak odpowiednie dla jamnika? Czasami Sosydz ma zadyszkę i wtedy trzeba go nieść do Drzewa Informacji. To zdarza się w upalne dni.

Zatem w soboty i niedziele najczęściej nie pracuję.

Pięć razy pięć daje w sumie dwadzieścia pięć złotych, co pomnożone przez cztery tygodnie daje sto na miesiąc, czyli tysiąc dwieście złotych rocznie.

Kiedy człowiek myśli, może znaleźć sobie miejsce w świecie, nawet nie będąc bogaty.

W weekendy, kiedy Sosydz tęskni za spacerami ze mną, chodzę na basen. Od kiedy wybudowali nam basen, wszyscy chłopcy z osiedla tam chodzą, bo mamy wstęp za darmo. Lubię pływać. Zauważył to nawet trener. Mam nadzieję, że jeżeli będę się starał, zapisze mnie do klubu i będę mógł pojechać latem na obóz. Kiedy płynę, wyobrażam sobie, że to zawody olimpijskie i za chwilę zdobędę złoty medal.

– Po kim ten chłopak jest taki uparty? – zastanawia się babcia.

A bo ja wiem, czy jestem taki uparty? Po prostu myślę. Gdybym był starszy, mógłbym nawet chodzić do kina za darmo, bo w poniedziałkowe wieczory organizują bezpłatne seanse. Kiedyś próbowałem wejść na coś takiego, ale jeden z organizatorów poprosił, żebym pokazał legitymację szkolną. Legitymacji nie miałem, jednak wystarczyło na mnie spojrzeć, żeby się domyślić, że mają przed sobą maślaka.

– Nie wpuszczamy dzieciaków – powiedział. – Obejrysz horror i będziesz sikać do łóżka.

Myślę, że mógłbym pokazać mu coś lepszego, choćby niektóre kreskówki dla dzieciaków, tego naprawdę można się przestraszyć, ale wiedziałem, że dyskusja jest bezsensowna.

– Jak będę w twoim wieku, nie będą mnie interesowały horrory – wycedziłem i poszedłem sobie.

Za to z biblioteki publicznej mogłem korzystać w sposób nieograniczony. Na dodatek obok biblioteki jest coś w rodzaju ogrodu – trzy wielkie drzewa, kilka ławek i jakieś kwiatki. Tam można sobie usiąść i poczytać, jeśli ktoś nie ma spokoju w domu.

Ludzie często biorą z czytelnicy gazety i wychodzą na świeże powietrze, żeby poczytać, a czasami niektórzy z nich zwyczajnie wyrwywają strony z tym, co ich zainteresowało, i pewnie dlatego przeczytałem tylko początek artykułu o fokach bałtyckich, bo reszta gdzieś zniknęła.

To trochę nie w porządku, prawda?

Kiedyś, gdy szukałem na regale książki, zauważyłem, jak chłopak, trochę starszy ode mnie, chowa coś pod kurtkę. Spojrzałem na niego, ale nawet się nie zaczerwienił. Ba, mrugnął do mnie jak do swojego współnika i wyszedł.

Kradzież to paskudna rzecz. Nie mówię tak dlatego, że jestem taki pozytywny, ale dlatego, że dawno temu sam zostałem okradziony. Czapka z daszkiem, nic wielkiego, ale byłem do niej przywiązany. Po co komuś była moja czapka, przekonałem się następnego dnia. Po prostu ten ktoś

świsnął mi czapkę, oderwał naszywkę, a resztę wyrzucił. Czapka bez naszywki nie była już taka sama. Schowałem ją do szuflady, bo ze śladem po naszywce nie nadawała się już do noszenia.

– Paweł...

Julia przerwała moje rozmyślenia.

– Co jest?

– Paweł, temperówka mi zginęła.

Temperówka znalazła się pod stertą papierów na stoliku, przy którym Julia odrabiała lekcje.

– Zatemperujesz mi?

Kredka (a raczej resztki kredki), którą podała mi Julia, była niebieska.

– Chyba nic z tego nie będzie – zauważyłem, oglądając ten kawałek. – Spróbuję jeszcze nożem.

Udało mi się trochę zastrugać to coś.

– Masz, ale długo nie porysujesz.

Julia spojrzała na czystą kartkę leżącą na stole.

– To będzie niebo – powiedziała. – A morze musi być niebieskie?

Pomyślałem o bałtyckich fokach i przed moimi oczyma pojawiły się szare fale z białymi kołnierzami piany na szczycie.

– Nie musi – odparłem i wysypałem z jej piórnika wszystkie kredki. – Może być szare albo zielone.

– Ty wszystko wiesz! – Zademonstrowała szczerbaty uśmiech.

Nagle poczułem się ważny i mądry.

– Piasek może być... – rozejrzałem się za odpowiednim kolorem – żółty. Narysuj jeszcze białe muszelki.

Julia wyciągnęła spod wersalki swoje pudełko ze skarbami i podała mi stożkową muszlę z napisem „Pamiętka znad Bałtyku”.

– Przyłóż do ucha – poprosiła. – Słyszysz, jak szumi?

– Uhm – mruknąłem.

– To morze szumi – ciągnęła. – Ta muszla pamięta, skąd się wzięła. Z morza, wiesz?

Pomyślałem, że gdyby nie szpecący ją napis dałoby się od biedy uwierzyć, że to szumi morze. Dlaczego, myślałem, ludzie muszą mieć pamiętki? Pamiętka stąd, pamiętka stamtąd. Przecież nie zapomina się miejsc, w których się było.

W tym czasie Julia zabrała się do rysowania.

Niebieskiej kredki starczyło jedynie na niebo.

Wrzuciłem do plecaka ręcznik, klapki, kąpielówki i szampon i wyszedłem na basen.

– Jest Wojtek, wiesz? – szepnął z przejęciem jakiś smarkacz z podstawówki.

Wojtek, wysoki, jasnowłosy, w firmowych ciuchach, ścigany spojrzeniami dziewczyn, był gwiazdą basenu i czołowym zawodnikiem klubu. Ci, którzy bywali u niego w domu, opowiadali o półce pełnej pucharów i dyplomach wiszących rzędem na ścianie. Każdy chciał być tak dobry jak on.

Wtedy wstęp do klubu byłby łatwy jak bułka z masłem.

Tego dnia wziąłem sobie za punkt honoru wygrać z Wojtkiem. Jak dotąd nikt tego nie dokonał, a próbowali wszyscy, trener bowiem, niby zajęty rozmową z ratownikiem, bacznie obserwował, co się dzieje.

– Pościgamy się? – zaproponowałem, wieszając ręcznik na haczyku.

Wojtek spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Czemu nie – odpowiedział. – To będzie wyzwanie! – dodał.

Kiedy weszliśmy do basenu, trener wstał ze swojego miejsca.

Wybiłem się silnie i natychmiast rzutem ramion pociągnąłem do przodu. Wiedziałem, że jest za mną. Nie zdziwiło mnie to. To była taktyka Wojtka. Zmęczyć przeciwnika, pomachać mu przed nosem perspektywą zwycięstwa jak głodnemu psu kiełbasą i... zdystansować go tuż przed metą.

Płynąłem, starannie synchronizując oddech i ruchy ramion. Byłem rybą ściganą przez głodnego przeciwnika. Ziemno-wodnym stworzeniem szukającym schronienia.

Do końca pasa dotarliśmy jednocześnie, ale nie miałem czasu zastanawiać się nad sposobem, jaki wymyślił Wojtek.

Parę następnych metrów płynęliśmy ramię w ramię. Nabierając powietrza, widziałem jego twarz, jadowniczo zielony czepek i otwarte usta. Zaraz przyśpieszy! W płucach miałem żywy ogień. Walczyć do samego końca. Wiedziałem, że wszyscy na nas patrzą. Że stoją na niebieskich kafelkach wokół basenu. Może właśnie robili zakłady?

Dotarłem do celu i chwyciłem najbliższy szczebel drabinki. Ktoś podał mi rękę i pomógł wyjść z wody. Ktoś inny cisnął mi ręcznik. Niebieski. To przez tę nieszczęsną kredkę jego kolor rzucił mi się w oczy.

– Witaj w klubie.

Ręka trenera uścisnęła moją dłoń. Ale nadal nie wiedziałem, co się dzieje. Miałem tylko ochotę usiąść i napić się czegoś innego niż chlorowana woda z basenu.

– Szacun, stary – powiedział Wojtek.

Stał naprzeciw mnie, wysoki, szczupły, opalony. Czego mógł ode mnie chcieć?

– Mieliście taki sam czas – powiedział trener.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, co się stało. Przyплыliśmy do mety jednocześnie. Ja i wielki Wojtek zwany Rekinem Basenu. To było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

– Zawiesiłeś się? – zapytał Wojtek. – Zrób reset, bracie.

– Mieliście taki sam czas – cierpliwie powtórzył trener. – Obserwowałem cię od dawna. Ale do klubu nie bierzemy za piękne oczy. Jutro przyniesiesz kartkę od rodziców, że się zgadzają.

Z basenu wyszedłem razem z Wojtkiem.

– Zależało ci na wygranej, prawda? – zapytał.

– Na klubie – odparłem zgodnie z prawdą. – Nie na tym, żeby cię prześcignąć.

– Jak dobrze pójdzie, trener zapisze cię na obóz.

Poczułem, jak mocno zabiło mi serce. O obozach treningowych krążyły legendy. Jeziora lub morze. Namioty albo niewielkie domki. Wieczorne ogniska.

– Zaczynałem tak jak ty – opowiadał Wojtek. – Biegałem jak psiak za trenerem, żeby tylko mnie zauważył. I też był ktoś, z kim chciałem wygrać.

Od wysiłku drżały mi mięśnie i Wojtek musiał to zauważyć, bo zaproponował, byśmy na chwilę usiedli na starej, przerdzewiałej karuzeli.

– Był taki jeden... Prawdziwy gość. Nie tylko na basenie. W budzie, na boisku. W życiu. Wiedział, jak bardzo zależy mi na klubie. Pewnego dnia podszedł do mnie i zaproponował, żebyśmy się ścigali. Odpadłem na pierwszych metrach. Ale dopłynąłem do końca. „Musisz jeszcze długo ćwiczyć”, powiedział trener. Zawzięłem się. Naprawdę się zawzięłem. Ważne było tylko jedno. Pokonać Mateusza.

Powoli wracałem do życia. Niebo nad moją głową było jaskrawo niebieskie, zupełnie jakby pomalowała je Julia.

– Zawałałem szkołę. Otrząsnąłem się, kiedy ojciec zapowiedział, że albo poprawię wyniki, albo koniec z pływaniem. Wtedy dostałem od

Mateusza... – Wojtek odetchnął głęboko – propozycję. Jeżeli dam mu kasę, pozwoli mi wygrać.

Zapadła cisza. Gdzieś za blokami przejechał tramwaj.

– Zrobiłem to – dokończył. – Kupiłem sobie wejście do klubu. Od czasu do czasu Mateusz mrugał do mnie porozumiewawczo. Pewnego dnia znowu zażądał kasy. Bo inaczej opowie, w jaki sposób wygrałem. Gdyby nie wyjechał z rodzicami na Wybrzeże, płaciłbym mu do dziś. Taka historia.

Przed oczyma pojawiły mi się wszystkie moje próby zwrócenia na siebie uwagi trenera, który choć obserwował mnie, przez tyle tygodni nie zamienił ze mną ani słowa. Dopiero dzisiaj, kiedy pół żywy gramoliłem się na brzeg... Miałem zamęt w głowie.

– Wojtek – powiedziałem nieswoim głosem. – Czego ty ode mnie chcesz? Czemu mi to wszystko mówisz? Dałeś mi wygrać? Chcesz coś za to?

Wojtek spojrzał dziwnie, podniósł plecak i otrzepał go z ziemi.

– Sorry. Po prostu chciałem ci to opowiedzieć. Myślałem, że zrozumiesz. To gryzie, wiesz? Nie wiem, czy pewnego dnia nie odezwie się Mateusz... A wtedy...

Zarzucił plecak na ramię i skierował się w stronę osiedla. Na środku chodnika odwrócił się i spojrzał gdzieś wysoko ponad moją głowę, w niebo, które nagle wydało mi się mniej błękitne.

– Jesteś tak samo dobry jak ja. To była uczciwa walka. Serio.

Patrzyłem, jak idzie alejką krokiem zmęczonego człowieka. Miałem ochotę pobiec za nim, powiedzieć, że jednak mu wierzę, ale nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Po co mi to powiedział? Żeby zatruć mi chwilę triumfu? A może oczekiwał, że będę wdzięczny?

I nie dotarła do mnie ta najprostsza prawda, że potraktował mnie jak kumpla, jak równego sobie, powierzył tajemnicę, która zapewne męczyła go, ile razy pojawiał się na basenie. Chciał mnie ostrzec, pokazać, jak daleko sięga nieuczciwość. Poza klub, poza basen. Że jeżeli raz ulegniesz, możesz nie mieć szansy, aby się wycofać. Ale zrozumiałem to wtedy, kiedy nie miałem już okazji stanąć z nim twarzą w twarz.

Rysunek leżał na stoliku: szare morze, żółty piasek i białe kropki, które – jak się domyśliłem – miały być muszlami. I niebieskie niebo.

Julia kręciła się koło mnie jak psiak.

– Fajny? Paweł, powiedz, że fajny...

– Fajny – przytaknąłem.

W łazience zmyłem z siebie zapach chloru i poszedłem do kuchni. Byłem głodny jak wilk.

– Będę pływał w klubie – poinformowałem. – Podpiszesz zgodę, mam?

– Podpiszę – odparła matka.

Zjadłem kolację i pobiegłem odrobić swój psi spacer wyjątkowo również w sobotę. Starsza pani powitała mnie uśmiechem, a Sosydz obślinił mi łydki.

– Pawełku – powiedziała – mam do ciebie ogromną prośbę. Jutro niedziela i wybieram się na działkę. Czy mógłbyś pojechać z nami i przekopać jedną grządkę? Jeżeli chcesz, możesz zabrać Julię. Dojrzały truskawki...

Wyjazd na działkę oznaczał rezygnację z porannego basenu, ale się zgodziłem. Pomyślałem, że nie tylko wpadną mi dodatkowe pieniądze – przed moimi oczyma zamajaczył firmowy czepek kąpielowy i naprawdę porządne okulary Adidas, nie jakieś tam badziewie z bazaru – ale Julia nie spędzi całego dnia na placu zabaw, który bardziej przypina złomowisko niż teren rekreacyjny.

– Nie ma sprawy – zgodziłem się i zapiąłem jamnikowi smycz.

W parku panował miły półmrok, uliczkami spacerowały zakochane pary, a Sosydz pracowicie odczytywał pozostawione przez inne psy wiadomości. Spacerowaliśmy dłużej niż zwykle i zawróciłem dopiero wtedy, gdy pies wyraźnie zwolnił kroku.

– Jutro jadę na działkę – powiedziałem matce. – Pani Zofia poprosiła, żebym skopał jej jakąś grządkę. I mogę zabrać Julkę.

Na szczęście Julka była w łazience i nie słyszała, bo z pewnością nie spałaby całą noc.

Kiedy położyłem się do łóżka, cały czas miałem przed sobą głowę Wojtka. Wynurzała się z wody i znikwała pod powierzchnią. Nie, to niemożliwe, aby chciał oddać mi wygraną. Nie on. Nie Wojtek. Zasnąłem z mocnym postanowieniem, że porozmawiam z nim jutro wieczorem.

Obudziłem się znacznie wcześniej, niż zadzwonił budzik. Otworzyłem okno i wyjrzałem na zewnątrz. Zapowiadał się naprawdę piękny dzień. Z trudem dobudziłem Julkę. Była na mnie zła, ale kiedy dowiedziała się, że jedziemy na działkę, zebrała się błyskawicznie.

Zjedliśmy śniadanie, a kiedy robiłem w kuchni porządek, spakowała blok rysunkowy i blaszane pudełko z kredkami. Byliśmy gotowi w pół godziny.

Zostawiłem Julię na ławce i pobiegłem do sąsiadki. Starsza pani już na nas czekała. Miała na głowie śmieszny słomkowy kapelusz, a w przedpokoju stał ogromny piknikowy koszyk. Zapiąłem psu smycz, wziąłem koszyk i poszliśmy do windy.

Parę minut później przed blokiem pojawiła się czerwona skoda, w której poza kierowcą siedziała wnuczka sąsiadki. Na nasz widok lekko się skrzywiła.

– A mamy tyle miejsca? – zapytała, patrząc na mnie i na Julkę.

– Zmieścimy się wszyscy. Ilonko, weź koszyk i jakoś się ulokujcie z tyłu – odpowiedział jej ojciec. – A więc to ty jesteś Paweł.

– Dzień dobry – przywitałem się. – To jest Julia, moja siostra.

Wnuczka sąsiadki demonstracyjnie się odsunęła. Rzuciłem okiem na Julię. Była tak zaaferowana wyjazdem na działkę, że nawet tego nie zauważyła.

Dobra, pomyślałem. Zarobię parę groszy, Julka naje się truskawek. Nie takie żaby się jadało.

Działka znajdowała się parę kilometrów za miastem. Poczuję się jak na wsi.

– Przyjadę po was po południu – powiedział ojciec Ilonki.

Chwała Bogu, pomyślałem i zabrałem się do kopania grządki. Towarzyszył mi Sosydz, który w ułamku sekundy zamienił się w koparkę i swoimi krótkimi łopami wyrzucał w powietrze fontanny ziemi.

Julia rozłożyła blok rysunkowy na drewnianym stoliku, a nieopodal rozsiadła się Ilona. Chyba była w moim wieku, ale w swoich markowych ciuchach wyglądała na znacznie starszą. Na kolanach miała ostatni hit: mandalę-kolorowanekę i całe pudełko nowych kredek. Widziałem, jak Julia spogląda na nie z zazdrością i ledwie się powstrzymuje, aby nie wstać i nie zajrzeć jej przez ramię.

Gdy tylko kupię czepek, okulary, kąpielówki i porządną torbę, myślałem, zabiorę Julkę do empiku i wyjdziemy z największym pudełkiem kredek, jakie będą tam mieli.

Kiedy skończyłem kopać, miałem na dłoniach pęcherze. Ale grządka wyglądała imponująco – równiutka, bez ani jednej trawki.

Odłożyłem łopatę i grabki i umyłem ręce pod pompą.

W altance, która bardziej przypominała niewielki letniskowy domek, czekały już umyte truskawki – świeże, pachnące, prosto z grządki.

– Jakie to ładne. – Starsza pani przyjrzała się rysunkowi Julii, na którym czarny jamnik polował na motyla.

– Niebo powinno być niebieskie – zauważyła Ilona.

– To białe chmury – odparła Julka, patrząc tęsknie w stronę jej pudełka z kredkami.

Ale Ilona nie dostrzegła – bądź nie chciała dostrzec – tego spojrzenia. Kredki leżały na stoliku – grube, kolorowe, starannie zatemperowane – mieniając się wszystkimi kolorami tęczy.

Zebraliśmy resztę truskawek do koszyka i ledwie skończyliśmy, a już przed bramką pojawił się czerwony samochód. Ilona zgarnęła kredki do pudełka, po czym razem z kolorowanką wrzuciła je do plecaka. I podobnie jak rankiem odsunęła się demonstracyjnie.

Wysiedliśmy przed blokiem.

– Poradzisz sobie, mamó? – zapytał ojciec Ilonki.

– Mam pomocnika – uśmiechnęła się starsza pani.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, odsypała sporą porcję truskawek i wręczyła je Julii.

– A to dla ciebie. – Z uśmiechem podała mi kopertę.

Schowałem ją do kieszeni, ale chyba to nie było w porządku. Spędziliśmy kilka godzin na świeżym powietrzu, na dodatek objedliśmy się truskawek za wszystkie czasy.

– No i co, fajnie było? – zapytałem, kiedy wyszliśmy na klatkę schodową.

Julia skinęła głową. Nie wyglądała na zachwyconą, ale widocznie czuła się zmęczona.

Zanim wyszedłem na basen, przeliczyłem wszystkie swoje pieniądze. Naprawdę było tego sporo. Nie pojedę na obóz jak dziad, myślałem, idąc na pływalnię.

Wszedłem do środka. Było dziwnie pusto jak na tę porę. Po szatni kręciło się parę dzieciaków, ale nie zauważyłem nikogo ze znajomych. Może gdzieś wyjechali, pomyślałem, wieszając ręcznik na haczyku.

– Jest pan Jurek? – zapytałem siedzącego przy stoliku ratownika.

– Nie – odpowiedział. – Mieliśmy rano wypadek.

Poczułem, jak robi mi się zimno.

– Wypadek? – wykrztusiłem.

– Wojtek – powiedział ratownik.

Pociemniało mi w oczach.

– Złamał regulamin. Wiesz, że nie wolno skakać, prawda?

A. O to chodzi. Odetchnąłem z ulgą. Po raz kolejny wylazł z Wojtka showman, więc wyleciał z klubu.

– No pewnie. Stoi czarno na białym.

– Właśnie. Wojtek to zignorował. Doznał urazu kręgosłupa...

Niemożliwe, pomyślałem. Niemożliwe. Przed moimi oczyma przesunął się jakiś przypadkowo obejrzany film. Książka, którą podsunęła mi pani z biblioteki.

– Żyje? – wyrzuciłem z siebie.

– Tak – odparł ratownik. – Ale...

Nie musiał kończyć. Oparłem się rękoma o stolik. Czułem się jak ostatni kretyn. Wojtek miał rację. Potraktował mnie jak równego sobie, a ja... zachowałem się jak smarkacz. Tajemnica, którą mi powierzył, nagle zaczęła uwierać mnie jak kamień w bucie.

– Zajęcia klubu są zawieszane do odwołania. Dopóki nie wyjaśni się sprawa Wojtka. Ale oczywiście możesz pływać. Od tego jest basen.

Zszedłem po drabince do wody. Była niebieska jak kredka Julii. Do tego samego basenu skoczył Wojtek.

Klub, obóz treningowy. Wiedziałem, że wszystko przepadło. Przepadło, gdy było już w zasięgu mojej ręki.

Płynąłem na plecach, gapiąc się w przeszklony sufit, przez który wpadały promienie zachodzącego słońca.

Zrobiłem cztery dystanse i wyszedłem na brzeg.

Przy stoliku obok ratownika siedział jakiś obcy chłopak. Na oko miał ze dwadzieścia lat, na ramieniu – barwny tatuaż przedstawiający karpia koi, a włosy związane w kitkę.

– Oczywiście, że trener zmuszał chłopaków do współzawodnictwa – dobiegło do moich uszu. – To nie było w porządku.

Odpowiedź chłopaka utonęła w krzyku dzieciaków bawiących się w brodziku.

– Dawał im wycisk.

Znowu krzyki i śmiech.

– Ten tam, na brzegu – domyśliłem się, że mówią o mnie – prawie zdystansował Wojtka...

Kolorowa piłka walnęła mnie w głowę. Odrzuciłem ją do brodzika. Nie miałem tu już nic do roboty. Wstałem i powlokłem się pod prysznic.

– Hej – usłyszałem poprzez szum wody. Otworzyłem oczy.

Przede mną stał chłopak z tatuażem.

– Jestem Marek – powiedział. – Prowadzę sekcję pływacką na AWF-ie.

– Gdzie? – zapytałem, wytrząsając wodę z lewego, a potem z prawego ucha.

– Na Akademii Wychowania Fizycznego. Zajmuję się młodzieżą. Może chciałbyś...

– Nie wiem – odpowiedziałem.

– Rozumiem. Jeżeli się zdecydujesz, mój numer jest u Michała. Albo poszukaj nas na fejsie.

– Dobrze.

– Poza prowadzeniem sekcji pływackiej zajmuję się też rehabilitacją. Takich jak Wojtek.

– Czy to w ogóle możliwe? – Pytanie wyrwało mi się samo.

– Czasem można pomóc – odparł. – Jeżeli uszkodzenie nie jest poważne... choć w większości przypadków jest.

– Zadzwoń – obiecałem, wycierając twarz.

Wychodząc z budynku, czułem się jak stary człowiek. Gdzieś tam w szpitalu leżał Wojtek, który już nigdy nie skoczy do wody. Wojtek, przy którym zachowałem się jak palant... Szkoda słów.

– Przyniosłeś te dokumenty do podpisania? – zapytała matka, kiedy wszedłem do domu.

– Nie. Jeszcze ich nie ma – skłamałem.

Nie chciałem nikomu opowiadać o tym, co się stało. To było życie Wojtka i sprawa między mną a nim. Wojtkiem, do którego musiałem pójść, aby spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że mu wierzę. Że ktoś taki jak on nie zrobiłby nikomu tego, w co sam się wpakował. Że dzięki niemu dowiedziałem się, czym pachnie nieuczciwość. Jeden fałszywy krok i całe życie zostaje podporządkowane głupio podjętej decyzji... Wtedy, w parku, nie wiedziałem, co powiedzieć. Zachłysnąłem się swoim sukcesem, myślałem tylko o sobie. Tak bardzo pragnąłem znaleźć się w klubie, że przestałem słuchać. Ale dzisiaj rozumiem, dlaczego mi to wszystko opowiedział, dlaczego chciał się tym ze mną podzielić. I doceniam to.

Wrzuciłem mokry ręcznik i kąpielówki do pralki i poszedłem do sąsiadki zabrać na spacer psa. Ilona na pewno już dziś po niego nie przyjdzie. Gdy zakładałem mu obrozę, w głębi domu zadzwonił telefon.

– Pewnie wpadła w trawę – dobiegło do moich uszu. – Znajdziemy, nie masz się czym przejmować.

Park jak zawsze powitał nas tajemniczym zielonym półmrokiem. Sosydz najwyraźniej miał dość po wizycie na działce, bo szybko załatwił sprawy i zawrócił w stronę klatki. Prawdę powiedziawszy, ja też nie miałem ochoty na długi spacer. Po prostu chciałem znaleźć się u siebie.

Postanowiłem, że dowiem się, w którym szpitalu leży Wojtek, i odwiedzę go.

Starsza pani nadal rozmawiała przez telefon. Usiadłem na niewielkim krzeselku w przedpokoju, czekając, aż skończy.

– Nie przejmuj się tak – powiedziała – to tylko kredka. Co mówisz? Nie, to niemożliwe.

Kredka, pomyślałem. Dlaczego kredka? Przed moimi oczyma pojawiły się tęczowe, lśniące metalicznie kredki rozłożone na stoliku i mieniąca się kolorami mandala.

Julka jak zwykle okupowała łazienkę. Zza zamkniętych drzwi dobiegał szum wody.

Westchnąłem ciężko i poszedłem do pokoju, żeby wypakować książki i zeszyty.

Na stoliku Julii leżał blok, z którego wystawała jedna z kartek. Przypomniał mi się rysunek, jaki zrobiła na działce.

Otworzyłem blok. Spojrzałem na ogromne, czerwone truskawki leżące na... niebieskim półmisku. Wysunąłem szufladę. Na kartkach, naklejkach, zeszytach leżała gruba, metalicznie połyskująca kredka.

– Julia – odezwałem się, gdy weszła do pokoju.

Wystarczył rzut oka na otwartą szufladę, aby zrozumiała wszystko. Popatrzyłem na jej mokre bose stopy.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytałem.

Odpowiedź miałem gotową. Przecież niebo nie mogło być szare. Jeżeli raz stałoby się szare, już nigdy nie byłoby niebieskie...

– Nie miałam... – odpowiedziała cicho. – Wiesz, że nie miałam...

Po jej buzi popłynęły łzy.

– Mogłaś poprosić, żeby ci pożyczyła na chwilę.

– Nie pożyczyłaby. Widziałeś, jak na nas patrzyła?

– Będziesz musiała ją oddać – ciągnąłem. – To, że nie miałaś swojej kredki, niczego nie tłumaczy. Podobnie jak to, w jaki sposób na nas patrzyła. Nie ma żadnej różnicy między tym, że zabierzesz coś komuś, kogo nie lubisz, a komuś innemu. To zawsze jest nieuczciwe.

Julka stała naprzeciwko mnie, a na stoliku pomiędzy nami leżała niebieska kredka.

Już nigdy więcej spacerów z psem, którego zdążyłem polubić, pomyślałem. Już nigdy więcej drobnych, które w szufladzie mojego biurka zamieniały się w naprawdę realne sumy...

– Paweł – wykrztusiła. – Ale ona miała ich tyle...

– To nic. Kredki należały do niej. Musisz oddać to, co zabrałaś.

Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę. Jednego dnia zawalił się cały mój świat.

Zamknąłem oczy. Słyszałem, jak Julka kładzie się do łóżka, pochlipując. Wyszedłem z pokoju. Matka z babcią oglądały kolejny odcinek jakiegoś niekończącego się serialu.

To sprawa między mną, Julką a... Iloną. Albo raczej babcią Ilony. I należało to załatwić. Kiedy wróciłem do pokoju, Julka już spała. Od czasu do czasu wstrząsał nią dreszcz i mamrotała coś niezrozumiałego. Usiadłem na wersalce i zacząłem się zastanawiać, co zrobić, a raczej jak to zrobić.

Gdyby matka zobaczyła, że zasnąłem w ubraniu, oberwałoby mi się porządnie. Rozprostowałem ścierpnięte nogi. Na palcach poszedłem do kuchni. Pusta szklanka w zlewie świadczyła o tym, że matka wyszła już do pracy. Zrobiłem śniadanie i wróciłem do pokoju. Spojrzałem na zegar – dochodziła pora spaceru z psem. Lekko potrząsnąłem śpiącą Julką.

– Musimy to zrobić zaraz – powiedziałem.

– Co? – zapytała sennie.

– Oddasz tę kredkę. Musisz zrobić to sama.

– A czy ty...

Byłem nieugięty.

– Nie zrobię tego za ciebie. To ty ją wzięłaś, nie ja. I przez to... – Machnąłem ręką.

Julia powlekła się za mną, ściskając w ręce dowód swojej winy.

Nie musiałem dzwonić do drzwi, bo Sosydz już warował w przedpokoju i gdy tylko stanąłem na wycieracze, zaczął szczekać.

– Dzień dobry – powiedziałem, walcząc z czymś, co utkwilo mi w gardle.

– Dzisiaj we dwoje? – uśmiechnęła się starsza pani.

– Tak. – Trąciłem Julkę łokciem. Rzuciła mi przestraszone błagalne spojrzenie. – Moja siostra...

– Coś się stało? – zaniepokoiła się staruszka.

Julia wysunęła rękę i położyła na stole kredkę.

– Ja to zabrałam – powiedziała, wbijając oczy w podłogę.

Starsza pani dziwnie posmutniała. Jedynie Sosydz nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje, i raz po raz trącał mnie w łydkę mokrym nosem.

– Dlatego to jest nasz ostatni spacer. – Spojrzałem w ukryte za okularami oczy starszej pani. – Jest mi naprawdę przykro.

– Przepraszam – odezwała się cicho Julka.

– Nie wolno tak robić. – Starsza pani spojrzała na Julkę uważnie. – Poza tym sprawiłaś przykrość Pawłowi. Nawet taka mała rzecz jak kredka potrafi czasami zrobić wiele złego. O wiele więcej niż ci się wydaje.

Sosydz wyrwał na korytarz z siłą psa pociągowego.

– Julka – powiedziałem, gdy zatrzymaliśmy się obok drzewa – a co by było, gdybym nie znalazł u ciebie tej kredki?

Bure oczy mojej siostry nagle stały się bardzo poważne.

– Ja bym nią nie rysowała – szepnęła. – Bałabym się, że ją znajdziesz.

– A widzisz. Co komu z kredki, którą nie można rysować? Po prostu leżałaby w twojej szufladzie i cały czas bałabyś się, że ktoś ją znajdzie. Ceną za nieuczciwość jest strach.

Stałem jak wryty na środku klatki schodowej. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że bezwiednie przywołałem historię Wojtka. Popatrzyłem na Julkę. Szła po schodach ze spuszczoną głową.

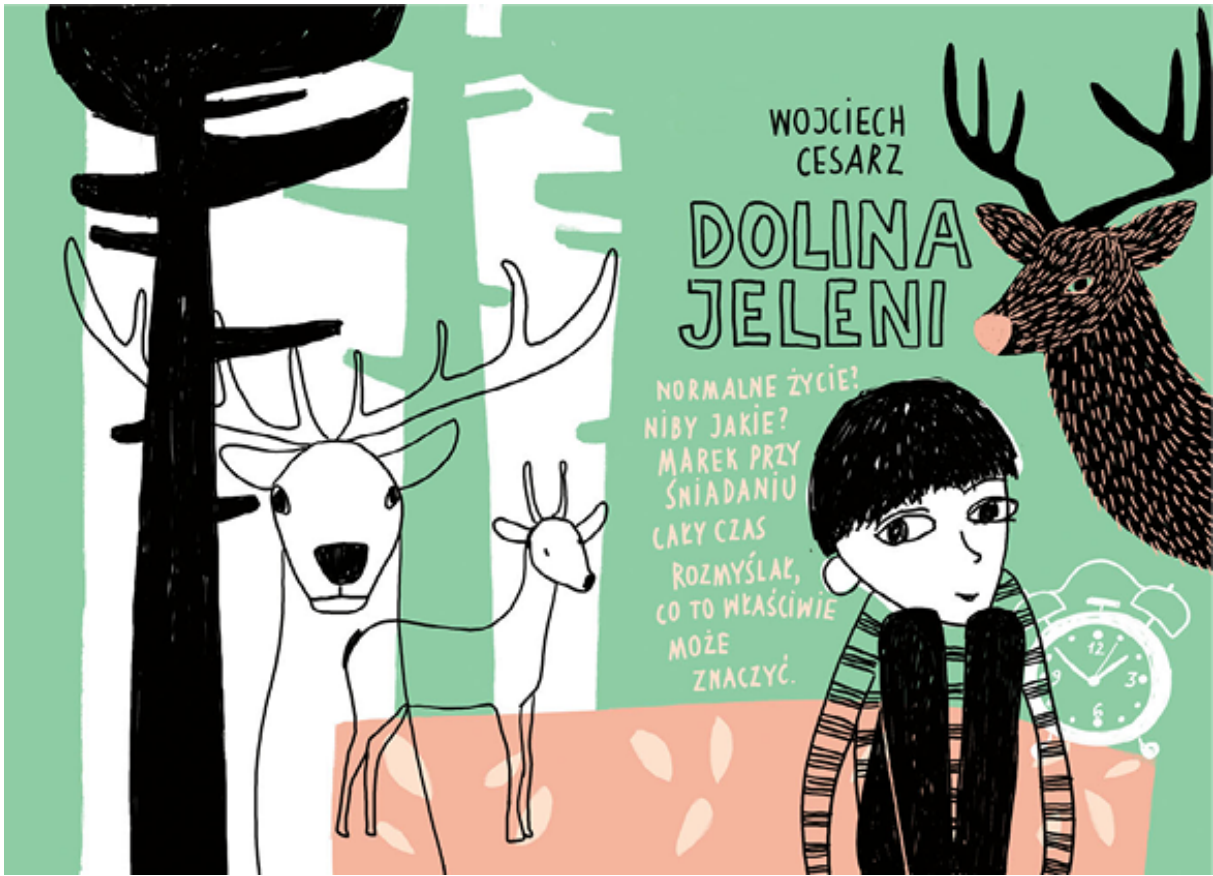
– A gdybym, tak jak chciałaś, załatwił to za ciebie – dodałem, gdy wchodziliśmy do mieszkania – już nigdy nie czułabyś się dobrze. Rozumiesz?

– Wiem – odpowiedziała, a na jej buzi pojawił się cień uśmiechu.

Wracając ze szkoły, myślałem o Wojtku i o psie nadaremnie czekającym, aż wyprowadzę go na spacer.

Gdy tylko wszedłem do mieszkania i zacząłem rozpakowywać plecak, odezwał się dzwonek u drzwi. Na korytarzu stała sąsiadka, a obok niej Sosydz.

– Pies prosi, żebyś zabrał go do parku – powiedziała. – Naprawdę nie mam siły, aby biegać za nim od drzewa do drzewa.



WOJCIECH
CESARZ

DOLINA JELENI

NORMALNE ŻYCIE?
NIBY JAKIE?
MAREK PRZY
ŚNIADANIU
CAŁY CZAS
ROZMYŚLAŁ,
CO TO WŁAŚCIWIE
MOŻE
ZNACZYĆ.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ to wypełnianie swoich obowiązków, dotrzymanie słowa, gotowość do ponoszenia konsekwencji własnych wyborów i zachowań. Jesteśmy odpowiedzialni za siebie – swoje myśli i emocje, gospodarowanie własnym czasem, wyznaczanie sobie celów i priorytetów, wybór przyjaciół, za swój rozwój, zdrowie, bezpieczeństwo. Odpowiedzialność to także postawa aktywnej troski o los innych – rodziny, grupy, społeczeństwa, środowiska i świata. Bywa ona trudna. Czasem wymaga przedłożenia dobra jakiejś sprawy lub interesu innych osób nad dobro i interes własny, a czasem odwagi, gdy sprzeciwiamy się złu lub ratujemy kogoś z narażeniem własnego życia. Odpowiedzialne zachowanie poprawia samoocenę, buduje naszą pozycję jako osoby wiarygodnej i rzetelnej, a także daje nam bardzo potrzebne poczucie sprawowania kontroli nad własnym życiem.

Posępne czarne chmury kłębiły się nad głową Marka, gdy zbiegał z piaszczystego, urwistego brzegu strumienia. Kiedy przekraczał wąski mostek, ciężki grzmot rozdarł ciszę i pierwsze krople deszczu zabębniły o kładkę. Do domu miał jeszcze około kilometra. Czasem, wracając z miasta, wybierał drogę przez Nowe Osiedle, gdzie był przystanek autobusowy, ale tym razem zrobił to, co lubił najbardziej, czyli ruszył piechotą przez las.

Był to jeden z pierwszych dni wakacji, nic nie zapowiadało burzy, tak jak nic nie zapowiadało tego, co miało się wkrótce wydarzyć. Deszcz się nasilał i chłopiec przyśpieszył. Gdy mijał kępę krzaków rosnącą w małej dolince, usłyszał jakiś niepokojący dźwięk i trzask gałęzi. Do dzisiaj nie wie, jak to się stało, że wpakował się w sam środek zwartej gęstwiny. A gdy z trudem przedarł się na małą polankę, zobaczył szamoczącego się jelonka. Pętla z drutu zaciskała się na jego tylnej nodze. Wyglądał żałośnie – wielkie, przerażone oczy, skulone uszy, no, obraz nędzy i rozpaczy... Markowi zrobiło się żal małego. Schylił się i obejrzał jego zakrwawioną nogę, a potem zaczął odplątywać drut. Od razu wiedział, że to pułapka kłusowników.

Deszcz zmienił się w gwałtowną ulewę, wiatr szarpał koronami drzew, a grzmoty przybierały na sile. Dziwna sprawa – jelonek stał spokojnie, jak gdyby ufał chłopcu, wiedząc, że to jego ostatnia nadzieja. Wreszcie Marek ostrożnie uwolnił zranioną nogę.

Mały jeleń przez chwilę stał spokojnie, a potem zaczął niezgrabnie podskakiwać na trzech nogach i w końcu się przewrócił. Marek, nie namyślając się długo, delikatnie podniósł jelonka i zgięty pod jego ciężarem powoli ruszył do domu.

To nie była łatwa droga, na szczęście burza powoli się oddalała i przestało padać. Odpoczywali kilka razy, a jelonek, dziwnie odrętwiały, nie sprawiał większych kłopotów. Marek też był odrętwiały, ale z zupełnie innego powodu – z każdym krokiem jelonek ciążył mu coraz bardziej. Słońce już zachodziło, gdy dotarli na skraj lasu, do leśniczówki. Na podwórku

przywitały ich psy. Jelonek szarpnął się przestraszony i otworzył szeroko swoje smutne oczy. Ale psy tylko obwąchały go zaciekawione i poszły. Został jedynie Kudłaty, który pomachał ogonem i szorstkim jęzorem oblizał pyszczek jelonka. A potem z domu wyjrzał ojciec i się zaczęło.

– Co znów przydzwigales? Tyle razy mówiłem, że nie zabiera się młodych od matki!

– Tym razem to on nie może chodzić! – zdenerwował się Marek. – Obejrzyj go, proszę.

– Za mały, ma niewielkie szanse na przeżycie. – Ojciec spojrzał na jelonka. – Gdzie go znalazłeś?

– Niedaleko starego mostku.

Ojciec się wściekł. Od lat walczył z kłusownikami, ale jeszcze nigdy nie weszli na teren tak blisko leśniczówki.

– Co za bestie, bydlaki – mrucał, oglądając nogę zwierzęcia.

– Wylize się z tego?

– Zobaczymy... – Ojciec spojrzał poważnie na syna i położył mu dłoń na ramieniu. – Pamiętaj, że to teraz twój Jelonek. Ty jesteś za niego odpowiedzialny i ty go karmisz.

– Ja?

– Przygotuj mu zagrodę po kozach.

Marek powlókł się do zagrody. Był bardzo zmęczony i trochę zły, bo miał ochotę pograć na komputerze, ale dość szybko uwinął się ze sprzątaniami. Na koniec wysypał jeszcze ogrodzony teren świeżym sianem.

Wieczorem chłopiec próbował nakarmić Jelonka kozim mlekiem z butelki, ale mały odwracał łeppek i uparcie odmawiał jedzenia. Przy wejściu do zagrody leżał Kudłaty i machał ogonem.

W nocy Markowi śniło się, że galopuje na ogromnym jeleniu przez las, a przed nimi uciekają jakieś potworne człekokształtne stwory. Obudził się z krzykiem – ktoś szarpał go za ramię. Była druga w nocy.

– Co? Co się stało?

– Pora nakarmić pacjenta. – Ojciec podał mu ciepłą butelkę z mlekiem. – Musi jeść co cztery godziny, potem masz spokój do szóstej rano.

– Ale on nie ma apetytu. Wieczorem wcale nie chciał jeść!

– Może spróbuj nalać mu mleka do pyszczka? Tylko delikatnie.

Marek zamknął jeszcze na chwilę oczy i... obudził się gwałtownie.

Zobaczył pełną butelkę na stoliku nocnym, a potem spojrział na zegarek. Było już po czwartej, za oknem witał go wschód słońca.

Gdy dotarł do zagrody, ujrzał dziwny widok. Kudłaty, który nie wiadomo jakim cudem znalazł się w środku, leżał przytulony do malucha i pracowicie lizał go po główce. Jelonek z godnością znosił te natrętne objawy czułości, mrużąc oczy jak kot.

Czy ten pies zwariował? – pomyślał Marek, wchodząc do zagrody.

Jelonek znowu nie chciał pić, to było denerwujące, ale Markowi udało się wlać mu na język trochę mleka. Za to Kudłaty wykazał się apetytem i szybko rozprawił się ze śniadaniem kumpla. Gdy chłopiec wracał do łóżka, jakiś kogut głośnym pianiem obwieścił, że wstał w złym humorze. Gniewne kukuuryyykuuu zmąciło poranną ciszę. Zirykowało to Kudłatego, który pogonił go, głośno ujadając.

Marek wrócił do łóżka. A rano, niestety, znowu zasnął. Gdy zbiegł na dół, rodzice jedli już śniadanie.

– Dlaczego mnie nie obudziliście?

– A ile masz lat?

– Prawie czternaście, a co?

– To chyba już pora, żebyś pamiętał o swoich obowiązkach?

– Ale ja mam wakacje.

– Jelonka nie obchodzą twoje wakacje. Jak chcesz, to zawiozę go do lecznicy i będziesz miał problem z głowy... – Ojciec spojrział na Marka uważnie.

Chłopak podszedł do okna, żeby zyskać na czasie. Prawdę powiedziawszy, sam nie wiedział, jaką podjąć decyzję.

– Żartujesz? Nie chcę – mruknął po chwili niepewnie.

– Na pewno?

– Na pewno. Co tak patrzysz? – zdenerwował się i nalał mleka do butelki.

– I pamiętaj, że powinien jeść co cztery godziny – wtrąciła mama. – To bardzo ważne.

– Jasne, rozumiem, nie jestem dzieckiem – burknął i ruszył z butelką do drzwi.

– Marek?

Odwrócił się i spojrział ponuro na ojca.

– Jeszcze jedno. Nie zapuszczaj się tam gdzie wczoraj.

– Ja się nie boję – rzucił buńczucznie Marek.

– Proszę, żebyś tam nie chodził. Umowa stoi?

Marek skinął głową.

Jelonek znowu nie chciał jeść – osowiały leżał w rogu zagrody i uparcie odwracał głowę. Marek próbował różnych sposobów, ale całe mleko wylało się na trawę. W końcu chłopiec się poddał i wrócił do domu.

Usiadł do śniadania bardzo głodny i zły. Też mi wakacje, pomyślał przygnębiony, nie można się wyspać, nie można chodzić, gdzie się chce. W dodatku ten głupi Mały nie chce jeść. Czy ja jestem niańka? Ciekawe, jak długo to potrwa? Gorzkie myśli chodziły mu po głowie, przecież niedługo mieli się wybrać z chłopakami nad rzekę. A co z wyjazdem na obóz? Może Jelonek miałby lepiej w lecznicy? Na tych ponurych rozmyśleniach zszedł mu cały ranek. Punkt dziesiąta znowu powłókł się do zagrody.

Kudłaty pilnował teraz wejścia. Jelonek nadal leżał w rogu przy płocie. Na widok butelki z mlekiem pies zerwał się i zaczął radośnie szczekać.

– Spadaj, to nie dla ciebie – mruknął Marek do psa.

Ale nic nie mogło zmącić ogromnej psiej radości. Kudłaty skakał do góry i kręcił się wokół niego. W końcu chłopcu udało się wyrzucić go na podwórze. Zauważył ze zdziwieniem, że mały jeleń ma starannie wylizane i lśniące futerko. Leżał nieruchomo i obserwował świat szeroko otwartymi wielkimi oczami.

– Będzie dobrze, ziomal. Jeszcze będziesz fikał!

Tym razem pacjent przyssał się do butelki i dla Kudłatego zostało mniej niż pół porcji. Po posiłku Jelonek próbował nawet wstać, ale był jeszcze za słaby. Marek delikatnie pogłaskał go po grzbiecie i poszedł po świeże siano, które potem rozrzucił w zagrodzie.

Przedpołudnie minęło błyskawicznie. Ledwo usiadł do komputera, przejrzał pocztę, zajrzał na Facebook i właśnie miał włączyć swoją ulubioną grę, gdy... usłyszał, jak bije zegar w jadalni.

Jelonek leżał w zacienionej części zagrody, ale w innym miejscu, czyli musiał jakoś przejść kilka kroków. Na widok butelki ożywił się trochę i tym razem zjadł wszystko. Nagle nadbiegł Kudłaty i zniecierpliwiony skoczył na Marka, przewracając go na siano. Tarzali się radośnie obok Jelonka, który przyglądał im się lekko zdziwiony.

Ojciec nie pojawił się na obiedzie, pojechał podobno na jakąś akcję. Marek był pewien, że ma to związek z kłusownikami, i poczuł zazdrość, że

go tam nie ma. Po południu przyjechał na rowerze Jacek i poszli na ryby nad pobliski staw. Jackowi dopisywało szczęście, za to Marek nie złowił ani jednej sztuki, bo zaprzątnięty myślami zapomniał, że trzeba patrzeć na spławik. Zresztą wkrótce musiał się już zwijać – nadchodziła pora karmienia.

– A ty co się tak śpieszysz? – zdziwił się Jacek.

– Mam... coś do załatwienia – powiedział wymijająco.

– Ściemniasz, idę z tobą.

Jacek ryknął śmiechem, widząc w zagrodzie Jelonka.

– Tuczysz go na obiad?

– A jak myślisz?

– No to po co go tu trzymasz?

– Był w sidłach i... Mam zamiar go wyleczyć i... Zresztą sam nie wiem.

– No żenada, będziesz go karmił i na rączkach nosił? Człowieku, na jelenie to się poluje. Mój stary jest myśliwym.

– I co z tego? – zdenerwował się Marek. – Takie to fajne walić ze strzelby do bezbronnego zwierzaka?

Jacek się obraził i pojechał, ale Marek wcale się tym nie przejął.

Ojciec wrócił późno. Był przygaszony i nie miał ochoty na rozmowę. Marek przez cały wieczór próbował coś z niego wyciągnąć i podpytywał o kłusowników, ale niczego się nie dowiedział. Wywnioskował, że ojciec jest zły, bo znalazł jakieś nowe wnyki.

Przed snem chłopiec jeszcze trochę poczytał, po czym przypomniał sobie, że trzeba nastawić budzik na drugą w nocy.

Gdy wstał, było jeszcze ciemno. Poszedł po rower i w świetle księżycy ruszył przez las, do ruin starego domu. Droga wyglądała inaczej niż zwykle. Konary drzew zagradzały mu drogę, ogromne pnącza zdawały się łapać go i oplątywać rower. Nagle zauważył, że zgubił drogę. To nie był las, który znał – otaczał go tajemniczy mrok, wokół robiło się coraz bardziej gęsto i dziko. Jechał starą, zarośniętą drogą, a wysoka trawa wkręcała się w szprychy roweru. Kiedy zaczęło świtać, zobaczył odcisnięte na drodze w mchu ślady kół jakiegoś pojazdu. Serce mu zabiło. Jechał w kierunku samego środka puszczy. Za zakrętem zaskoczył go widok starego auta stojącego pod wielkim wiązem, kilka metrów od drogi. Zsiadł z roweru i podszedł do częściowo zamaskowanego samochodu. Przez okno zobaczył wiązki drutów na tylnym siedzeniu. Rozejrzał się gorączkowo, ale nikogo

nie było w pobliżu. Wyjął telefon i skierował obiektyw na tablicę rejestracyjną. Nagle usłyszał krzyk i w bladym świetle poranka zobaczył dwie ogromne postacie biegnące w jego kierunku. Jedna z nich nagle uniosła do ramienia dziwny podłużny przedmiot i... wielki huk wstrząsnął całym lasem, coś świsnęło obok jego głowy, a potem... obudził się gwałtownie zlany potem. Przez chwilę uspokajał oddech i dochodził do siebie.

Gdy zadzwonił budzik, na dworze była jeszcze noc. W zagrodzie nastąpiła lekka zmiana – Jelonek leżał teraz przytulony do Kudłatego, który otworzył oko i oblizał się na widok butelki.

– To nie dla ciebie, pasibrzuchu. – Marek z uśmiechem pokręcił głową.

A potem mały jeleń spokojnie, głośno cmokając, wypił calutką porcję mleka.

Przed południem przyjechali na rowerach koledzy. Czekali przy bramie. Marek zupełnie zapomniał o wyprawie nad rzekę.

– Jedziesz z nami czy nie? – spytał Jacek.

– Jasne, że jadę, czekajcie!

Marek popędził po rower do garażu. Na podwórku wpadł na ojca.

– Jadę z chłopakami nad rzekę! – rzucił w biegu.

– Zaraz, a karmienie? Zapomniałeś? – zdziwił się ojciec.

– Nie, skąd – powiedział niepewnie. – A nie mógłbyś... ty?

– Nic z tego, zaraz jadę w teren. – Ojciec ruszył do samochodu.

Marek pobiegł do domu.

– Mamo, nakarmisz Jelonka? – krzyknął od progu. – Dziękuję!

Po chwili pojawił się przy bramie z rowerem i niewielkim plecakiem. Przechodząc, przystanął jeszcze przy zagrodzie dla kóz. Jelonek nie spuszczał z niego wzroku, patrząc jakoś tak pytająco. Miał smutne oczy. Kudłaty też wodził za nim wzrokiem i nie machał jak zawsze ogonem. Marek poczuł dziwną suchość w gardle, ale szybko opanował się i czym prędzej dołączył do kolegów.

Ruszyli leśną drogą. Chłopcy byli w świetnych humorach, tylko Marek jechał coraz wolniej, a w końcu się zatrzymał.

– Co jest, zmęczyłeś się? – zakpił Jacek.

– Noga mnie boli – skłamał.

– Nie gadaj, poważnie?

– Umhm...

Pochylił się i zaczął masować kolano. Koledzy popatrzyli na siebie niepewnie.

– To jedziesz czy nie?

– Sorki, nie dam rady, jedźcie beze mnie. – Marek zawrócił i powoli ruszył w stronę domu.

Czuł się dziwnie lekko. Gdy wpadł do zagrody, Jelonek właśnie usiłował wstać, a Kudłaty szalał z zachwytu.

Minęły kolejne dni. Któregoś poranka, gdy Marek jak zwykle zerwał się z łóżka i popędził do zagrody, zobaczył stojącego na szeroko rozstawionych nogach Jelonka. Kudłaty kręcił się podniecony obok i wyraźnie próbował zachęcić go szczekaniem do spaceru.

– Mamo, tato! – wrzasnął Marek.

– Co się dzieje? – Rodzice pojawili się na progu.

Kudłaty biegał dookoła Jelonka i uparcie go obszczekiwał.

– Czy ten pies jest normalny? – westchnęła mama, patrząc na niego – Całymi dniami tu przesiaduje.

– To instynkt macierzyński – zażartował ojciec. – Myślę, że Kudłaty bardzo temu małemu pomaga.

Jelonek zachęcany przez psa zrobił kilka niepewnych kroków.

– Zobaczcie, on jest już zdrowy! – ucieszył się Marek.

Ojciec wszedł do zagrody i uważnie obejrzał nogę Jelonka.

– Jest całkiem dobrze. Teraz musi się jeszcze na nowo nauczyć chodzić.

A potem...

– Co potem? – zaniepokoił się chłopiec.

– Może... damy mu szansę na normalne życie?

Normalne życie? Niby jakie? Marek przy śniadaniu cały czas rozmyślał, co to właściwie może znaczyć. Gdzie taki Jelonek miałby lepiej? Tu jest bezpieczny, ma swoją zagrodę, jedzenie, kumpla Kudłatego... nie mówiąc już o tym, że ma jego, Marka. No nie, o czym ten ojciec w ogóle mówi?

– Co miałeś na myśli? – zapytał w końcu zaniepokojony.

Ojciec popatrzył na niego poważnie.

– Może po obiedzie pojedziemy na wycieczkę? Chciałbym ci pokazać... pewne miejsce. Nigdy tam ze mną nie byłeś.

– Super! – Marek aż podskoczył z radości.

Wyprawy z ojcem były zawsze niesamowite. Nikt nie znał lasu tak jak on.

– A teraz, jak wyjadę, zamknij dobrze bramę i otwórz zagrodę, niech Mały ma więcej swobody.

Całe przedpołudnie Jelonek kręcił się po podwórzu. Kudłaty biegał przed nim i odganiał kury, koguty i inne psy, a nawet próbował pogonić Marka.

Gdy chłopak kończył sprzątać zagrodę, pojawił się na rowerze Jacek z kolegą.

– Jedziesz z nami na lody?

Marek dawno nie ruszał się z leśniczówki i miał wielką ochotę na przejażdżkę. Zawahał się i odruchowo spojrzął na zegarek. Odpada, zaraz pora karmienia.

– Nie dam rady, chłopaki – mruknął z westchnieniem.

– A co, kolano cię boli? – wyszczerzył się Jacek.

– Nie twoja sprawa – odburknął.

– Nie bądź taka jelenia mama – rzucił jeszcze szyderczo Jacek i chłopcy pomknęli w stronę miasta.

Trochę im zazdrościł, ale po chwili zapomniał o kolegach, bo Jelonek się rozbrykał i biegał z Kudłatym po całym podwórku. Aż żal było zaganiać go z powrotem do zagrody.

W czasie obiadu Marek prawie nic nie zjadł, tylko próbował wyciągnąć z ojca, dokąd jadą i co to za miejsce. Po obiedzie, gdy już zbierali się do wyjazdu, zadzwoniła komórka. Ojciec rozmawiał krótko, a potem spojrzął na niego wyraźnie zakłopotany.

– Przepraszam, synu. Niestety, musimy to przełożyć.

– Tato? Ale obiecałeś...

– Mam coś bardzo ważnego do zrobienia. – Ojciec zmierzwił mu włosy i ruszył pośpiesznie do samochodu. – Ale nie bój się, wycieczka nam nie przepadnie.

Bardzo rozczarowany patrzył na tuman kurzu pozostawiony przez terenówkę ojca. Dziwne myśli przemknęły mu przez głowę i nagle pod wpływem impulsu pobiegł do garażu i wyprowadził rower. Ruszył śladami terenówki.

Pedałował co sił, ale szybko ją zgubił. Skręcił na ścieżkę, która prowadziła w zakazane rejony. Gdy zbliżał się do zarośniętej doliny, zwolnił i rozejrzał się dokoła. Las wydawał się zupełnie spokojny i przyjazny, tylko z oddali słychać było przez chwilę warkot silnika samochodu. Oparł rower o drzewo na skraju ścieżki, przypadł do ziemi i długo nasłuchiwał, ale niczego podejrzanego nie usłyszał. Bardzo ostrożnie zaczął się skradać w kierunku miejsca, gdzie znalazł Jelonka.

Gdy był już blisko, usłyszał przytłumione głosy. Żołądek ścisnął mu się w jednej chwili, a serce zaczęło walić jak oszalałe. Ogarnęła go panika i już-już miał się zerwać do ucieczki, gdy nagle ogarnął go potężny gniew. To nie jest sen, tam są prawdziwi kłusownicy, którzy zabijają zwierzęta! To oni chcieli zabić jego Jelonka! Położył się na brzuchu i wyjął komórkę. Podczołgał się do ciernistego krzaka i... wyjrzał ostrożnie. Przed sobą, w odległości kilkunastu metrów, zobaczył wielkiego mężczyznę ze strzelbą myśliwską na ramieniu. Kucnął na polanie i przyglądał się czemuś z zainteresowaniem. Wyglądał bardzo groźnie. Mam cię, pomyślał z satysfakcją chłopak i pstryknął zdjęcie.

Zrobił tylko jeden niewybaczalny błąd.

Na odgłos spustu migawki mężczyzna odwrócił się i... Marek rozpoznał pana Stefana z nadleśnictwa, kolegę taty. A potem... było już tylko gorzej.

– Co ty tu robisz? – usłyszał nad sobą zirytowany znajomy głos.

Wracali razem terenówką ojca. Rower objął się w bagażniku. Jechali w milczeniu, nawet pan Stefan nic nie mówił, chociaż widać było, że coś go męczy, bo jakoś dziwnie zatykał usta i prychał.

– Co jest, Stefan? – zapytał w końcu ojciec, a potem nagle obaj parsknęli śmiechem i rechotali tak przez kilka minut.

– ŚmieJCie się, śmieJCie, ale ja mam zdjęcie kłusownika – wypalił przekornie Marek i wyjął z kieszeni komórkę.

Tata zahamował i stanął na skraju drogi, łzy ciekły mu z oczu.

– Pokaż... Ooo... tak, poznaję go...

Śmiali się jeszcze długo, a potem Stefan wysiadł przed swoim domem, a tata spoważniał.

– Chcesz coś powiedzieć? – zapytał.

Marek siedział zgarbiony, czuł się niepewnie, i to nie dlatego, że bał się ojca.

– Nawaliłem. Nawet nie wiesz, jak mi głupio. Chciałem tylko...

– Wiem, że chciałeś jak najlepiej i byłeś bardzo odważny, ale... umowa to umowa.

– Już nigdy... – zaczął Marek.

– W porządku – przerwał mu ojciec. – Trzymam cię za słowo.

Po powrocie do domu Marek chciał jeszcze porozmawiać z tatą o kłusownikach, ale zrobiło się zamieszanie, bo Kudłaty skoczył na furtkę zagrody, która otworzyła się z trzaskiem i Jelonek wybiegł na podwórze.

Kilka dni później mały jelen, brykając po podwórku, nagle przeskoczył z gracją szeroki karmnik dla kur. Marek patrzył na niego z prawdziwą dumą.

Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Jutro jedziemy.

– Ekstra! – ucieszył się chłopiec. – Co to za miejsce?

– Kotlina w ścisłym rezerwacie, do której nie prowadzą żadne szlaki.

– A co tam zobaczymy?

– Zobaczymy albo i nie... – Ojciec uśmiechnął się tajemniczo. – Musimy mieć trochę szczęścia.

Od rana Marek chodził podniecony, a nawet biegał za Jelonkiem, który w towarzystwie Kudłatego nabrał animuszu. Wyglądał już o niebo lepiej i nawet podgryzał liście mleczu, który rósł pod płotem.

Pojechali wczesnym wieczorem. Zostawili samochód na końcu leśnej drogi i zagłębili się w podmokłe rejony puszczy. Marek był tu po raz pierwszy. Wielkie zwalone omszałe drzewa zagraadzały im drogę, nad głowami darły się ptaki, a stare dęby zastygły w milczeniu. Po pewnym czasie teren zaczął się obniżać. Gdy wyszli z gęstwiny młodych brzózek, zobaczył niewielką dolinę zamkniętą z jednej strony ścianą lasu, a z boku wąską rzeczka.

– Tu zwierzęta schodzą do wodopoju – szepnął ojciec.

Zajęli miejsce za spróchniałym pniem zwalonego grabu. Byli dobrze ukryci i starali się prawie nie oddychać. Minęła może godzina i nic się nie działo. Pojawiły się tylko komary, uprzykrzając im oczekiwanie. Marek ziewnął głośno.

– Ciii – syknął tata i zaczął nasłuchiwać.

Marek skulił się i usiłował stać się niewidzialny. W dolince poruszyły się gałęzie krzaków. Między drzewami przesunęło się coś szarego i ogromnego. Gdy Marek wyostrzył soczewki lornetki, zobaczył potężnego jelenia. Jego wielkie poroże dumnie sterczało ponad zaroślami. Przez chwilę byk stał nieruchomo, tylko jego nozdrza drżały nerwowo. Potem poruszył się i wyszedł na środek doliny. Wyglądał majestatycznie. Marek jeszcze nigdy nie widział tak wspaniałego zwierzęcia. Nagle jeleni głośno beknął, podbiegł do rzeczki i zaczął pić. Po chwili z pobliskich chaszczki wyszły trzy samice z młodymi jelenkami i też zbliżyły się do wodopoju. Jeleń, ugasiwszy pragnienie, zaczął dumnie i wyniośle rozglądać się dokoła. Wreszcie prychnął i dostojnie ruszył w stronę lasu. Stado natychmiast poszło jego śladem. Po chwili dolina była już pusta i nie został żaden ślad po tej urzekającej chwili.

W drodze powrotnej Marek cały czas milczał, smutny i zamyślony. Gdy wysiadali przed domem z samochodu, spytał cicho:

– Czy to, co chciałeś mi pokazać, to jest właśnie... to, o czym myślę?

– Tak, synku. Myślę, że to jest właśnie rodzina twojego Jelonka. To jest jego życie.

– Ale... on jest mój. Uratowałem go – powiedział chłopiec przez zaciśnięte gardło.

Odwrócił się gwałtownie. Nie chciał pokazać, że łzy cisną mu się do oczu. Przecież nie jest jakimś mazgajem.

– Wiem, że to trudna decyzja... Przemyśl to i zadecyduj sam.

– Ja nie chcę go oddać. On ma u nas najlepiej – wykrzyknął i pobiegł w mrok.

W kolejnych dniach nadleśnictwo przeprowadziło przygotowaną w tajemnicy akcję przeciw kłusownikom. Złapano ojca Jacka i kilku innych przestępców. Jacek przestał pojawiać się w leśniczówce.

Marek podjął trudną decyzję. A potem ustalili z ojcem, kiedy to się stanie.

W przeddzień po kolacji chłopiec długo przyglądał się młodemu jeleniowi, który nie sprawiał już wrażenia chorego, z apetytem zjadał mlecze, a mleka wypijał ostatnio tylko trochę. Jego oczy błyszczały radośnie i wyczuwało się jakąś magiczną energię, jaką emanował. Gwiazdy na niebie mrugały porozumiewawczo, wiał lekki, ciepły wiatr i świat wyglądał jak w bajce, ale chłopcu nie było lekko na sercu tego wieczoru. Spojrzał na Kudłatego, który nie odstępował Jelonka na krok, i zrozumiał, że będą cierpieli obaj. Wiedział też, że odtąd nic już nie będzie takie jak dawniej.

Kilka dni później stary dzięcioł Tuktuk, który mieszkał na skraju doliny, zobaczył w świetle zachodu słońca znajome stado jeleni. Na czele dostojnie kroczył potężny byk, łanie spokojnie podążały za nim, ale jelonków szło chyba więcej niż poprzednio. Jednak Tuktuk nie dałby za to głowy, bo trochę niedowidział, a zresztą i tak było mu właściwie wszystko jedno.



ODWAGA – tu rozumiana jako odwaga cywilna – to wewnętrzna siła, która pozwala nam wypowiadać swoje zdanie i bronić własnych racji, przyznać się do błędu lub winy, wstawić się za słabszymi. Wykazujemy się nią, podejmując trudne, służące dobru decyzje i sprzeciwiając się złu. Odwaga cywilna nie ma nic wspólnego z brawurą ani fałszywą odwagą tych, którzy – zwłaszcza w grupie – wykorzystują swoją przewagę i siłę, by zastraszać lub krzywdzić innych. Prawdziwa odwaga służy dobru, fałszywa – popisom i udowadnianiu braku lęku, co często bywa przejawem niedostatku rozumu i wyobraźni.

Prawdziwa odwaga nie oznacza braku lęku, lecz zdolność do jego pokonania w obliczu ważnej potrzeby. Odmowa ryzykownych niemądrych zachowań nie jest tchórzostwem, lecz wyrazem rozsądku. Odwaga jest bardzo trudna, gdy postępując właściwie, ryzykujemy przykre konsekwencje: przydomek tchórza, wykluczenie z grupy, zemstę, a nawet utratę życia i zdrowia, kiedy na przykład ratujemy kogoś z pożaru.

Odwaga zjednuje nam szacunek i buduje autorytet, jest przejawem naszej dojrzałości, mądrości i siły. Każdą siłę możemy ćwiczyć. Odwagę cywilną również.

Kacper ostrożnie przylepiał koło ratunkowe do burty torpedowca, ale ześliznęło się i wylądowało nie w tym miejscu, co trzeba. Próbował je szybko odlepić, ale tylko pobrudził burtę klejem. Zniechęcony odstawił okręt na półkę. Dzień był do bani. Jego starszy brat Maciek potraktował go wyjątkowo wrednie. Przecież Kacper chciał tylko popatrzeć, jak grają w piłkę, a tymczasem Maciek i jego koledzy przegonili go z boiska. Rudy, najstarszy i najsilniejszy, podstawił mu nogę. Chłopiec upadł jak długi i rozbił sobie kolano. Zabolało, ale Kacper nawet się nie skrzywił. Wstał bez słowa i kulejąc, ruszył w stronę domu.

– Co? Idziesz się poskarżyć mamusi? – zaśmiał się Rudy.

– Mały Kacperek zaraz się rozpłacze... – dodał inny.

– Odczepcie się – burknął Kacper. – Mam was gdzieś! – dodał, chociaż nie była to prawda.

Bo prawda wyglądała tak, że z jednej strony był na nich wściekły, a z drugiej – starsi chłopcy, a zwłaszcza jego brat, strasznie mu imponowali i bardzo chciał się z nimi zakumplować.

W klasie nie miał lekko. Koledzy się z niego śmiali, z jego koślawych butów, poprzecieranej, przyciasnej kurtki. Nie miał komórki, roweru ani żadnych modnych gadżetów. I zawsze zadawał na lekcjach mnóstwo dziwnych, niepotrzebnych pytań. Na przykład co by było, gdyby słońce nagle zgasło, albo czy nieskończoność istnieje naprawdę, albo kim byłby Tomek Sawyer, gdyby chodził z nimi do szkoły – pewnie chuliganem...

Poza tym Kacper był najniższy w klasie i koledzy nazywali go lekceważąco Kurczakiem. Początkowo próbował się bronić, wdał się w kilka bójek, ale nie umiał się ani bić, ani złośliwie odszczeknąć, więc tylko obrywał. Stopniowo zamykał się w sobie i obojętniał. Udawał, że nie zwraca na nich uwagi, i chodził własnymi ścieżkami. Po szkole nie zostawał na boisku jak większość chłopaków z jego klasy, tylko szedł do domu, gdzie zwykle całe popołudnia zajmował się sklejaniami modeli żaglowców i okrętów. Miał ich już całą kolekcję na szafie, a ostatnio zabrał się do torpedowca, który dostał od mamy na urodziny. Kacper chciał zostać

marynarzem, marzył o dalekich rejsach i o Akademii Morskiej w Gdyni, chociaż nikomu o tym nie mówił. A z takich mniejszych marzeń – to chciał pojechać nad morze. Wyobrażał je sobie jako żywą istotę, która oddycha i zmienia kolory – potężną, ale przyjazną. Położy się na piasku i posłucha szumu fal, wdychając zapach wodorostów. A potem zanurzy się w spienione grzywy i będzie nurkował tak długo, aż mu się znudzi.

Mieszkał z bratem i mamą w najbardziej zaniedbanej części miasteczka, w osiedlu starych dwupiętrowych bloków. Mama pracowała w sklepie i dodatkowo dorabiała sprzątniem, więc zazwyczaj nie było jej w domu.

Chłopcy radzili sobie sami. Po szkole zawsze czekał na kuchni obiad do podgrzania, a w lodówce stos kanapek. Naczynia zwykle zmywał Kacper, bo Maciek miał ważniejsze sprawy na głowie i w ogóle twierdził, że nudzą go takie przyziemne zajęcia. Kacper podziwiał Maćka za to, że jest wygadany, niczym się nie przejmuje, świetnie gra w piłkę i biega najszybciej ze wszystkich chłopaków z podwórka. Wcale się nie uczył, a przechodził bez trudu z klasy do klasy. No i miał swoje tajemnicze męskie sprawy – po szkole całymi dniami włóczył się gdzieś z kolegami i robili na pewno mnóstwo ciekawych rzeczy, a Kacper tylko tkwił w domu ze swoimi okrętami.

Gdy Maciek wrócił wieczorem do domu, Kacper pilnie pracował nad modelem i nie zaszczycił brata ani jednym spojrzeniem. Maciek zjadł obiad i kanapki, a potem hałaśliwie przeszukiwał wszystkie szafki w poszukiwaniu jeszcze czegoś do jedzenia.

– Kacper, jesteś tam?

Kacper ani myślał się ruszyć. Kolano wciąż go bolało i był wściekły na brata. Maciek zajrzał do pokoju.

– Co jest, ogłuchłeś?

– A co? – odburknął.

– Może byś sprzątnął kuchnię? – Maciek ziewnął szeroko. – Jestem skonany.

– Jeszcze czego, sam sobie sprzątnij!

– A co ty taki nabzdyczony? – Brat przyjacielsko klepnął Kacpra w plecy.

– Rusz trochę mózgownicą – burknął Kacper i odruchowo spojrzął na rozbite kolano.

– Na żartach się nie znasz? – zaśmiał się Maciek. – Nie wygłupiaj się i zmiataj do kuchni.

Kacper nie odpowiedział, ale nie patrząc na brata, wziął w dwa palce szalupę, po czym zaczął ją starannie smarować klejem.

– No, Kacper, wyluzuj... – Maciek zrobił się nagle bardzo miły. – Jak sprzątniesz, to zabiorę cię kiedyś nad glinianki.

– Kiedy?

– No... jutro idziemy – zająknął się Maciek.

– Kończę lekcje o drugiej. Czekał przed szkołą.

– Ale... – Maciek próbował się wykręcić.

– Jak chcesz, żebym sprzątnął... – przerwał mu Kacper.

– Dobra, umowa stoi.

Kacper wytarł powoli ręce i poszedł do kuchni, niby niechętnie, ale w gruncie rzeczy był zadowolony.

Maciek dotrzymał słowa i następnego dnia po szkole zabrał brata nad wodę. Jego kumple już tam byli: wesołkowaty Bartek, chudy jak patyk Arek, no i Rudy, którego Kacper z wiadomych powodów nie lubił. Powitały go drwiące pogwizdywania i zaczepki, ale Maciek ich usadził:

– Dajcie spokój, chłopaki. On jest w porządku.

Kacper usiadł z boku, na piasku, i z ciekawością przysłuchiwał się ich rozmowom. Gadali o motorach, dziewczynach i różnych innych sprawach, których Kacper nie rozumiał. Potem Rudy wyjął z kieszeni papierosy i poczęstował kolegów. Wyciągnął też paczkę w kierunku Kacpra, uśmiechając się złośliwie.

– Co robisz? – mruknął Maciek.

– Nie szkoda dla niego? – Bartek zaśmiał się.

– Ile masz lat, Kacperek? – Rudy wciąż trzymał papierosy przed nosem Kacpra.

– Jedenaście skończyłem, a co? – burknął.

– I jeszcze nie jarasz? Ja zacząłem, jak byłem młodszy, i co? Duży wyrosłem.

Wszyscy patrzyli na Kacpra, który z kolei gapił się na papierosy z niewyraźną miną.

– Zobaczcie, boi się. – Arek parsknął śmiechem. – Mały Kacperek zaraz się zsiąka w majtki!

Kacper, upokorzony, zaczerwienił się, po czym automatycznie, niewiele myśląc, sięgnął po papierosa. Zapalili. Kacper patrzył na innych i próbował robić to, co oni. Już po pierwszym zaciągnięciu się zbladł i dostał ataku kaszlu. Ogłuszył go gromki śmiech. Zaciągnął się jeszcze raz, ale zakręciło mu się w głowie i zgięty wpół zniknął w zaroślach. Gdy po chwili wyszedł z krzaków – zielony na twarzy – powitały go ironiczne komentarze.

– I co, żyjesz?

– Zobaczcie, wygląda jak ufoludek.

– Nie, jak pokemon. Taki trawiasty.

Kacper trzymał się za brzuch i skręcały go mdłości.

– Dobra, chłopaki, kąpiemy się?

Maciek pierwszy zaczął ściągać ubranie, a po chwili już wszyscy na wyścigi skakali do wody. Parskając i prychnając, kolejno wynurzali się na powierzchnię.

– Skaczesz? – rzucił do Kacpra Bartek.

Kacper podszedł do brzegu, zanurzył nogę i lekko się skrzywił, czując lodowatą wodę, jak to w maju. Zawahał się, wciąż było mu niedobrze.

– Lepiej zostań i ubrań nam popilnuj! – krzyknął Maciek i popłynął kraulem na drugi brzeg.

Siedzieli nad stawem do wieczora. Gdy się ściemniło, rozpalili ognisko, a Kacper przynosił z pobliskiego zagajnika wciąż nowe gałęzie. Upiekli kielbasę i kromki chleba, Maciek podzielił jedzenie na pięć równych części. Kacper wcześniej nawet nie czuł, jak bardzo jest głodny. Jeszcze nigdy nic mu tak nie smakowało. Po całym dniu był już tak zmęczony, że zwinął się na zimnym piasku i coraz bardziej zamglonym wzrokiem wpatrywał się w migoczący ogień. Nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Obudził go chóralny wybuch śmiechu. Rozejrzył się nieprzytomnie, było mu zimno, a na policzku miał pełno piachu.

– Co się dzieje? – wymamrotał.

– Idziemy do domu, zbieraj się! – Maciek szturchnął go.

Kacper wstał i powłókł się za bratem.

– No to cześć – rzucił chłopakom na pożegnanie.

– Szuraj, młody, do jutra – usłyszał w odpowiedzi i jakoś tak mu się zrobiło ciepło na sercu.

Odtąd życie Kacpra bardzo się zmieniło i nabrało zdecydowanych barw. Już nie siedział całymi dniami sam w domu. Niedokończony torpedowiec stał na półce, bo Kacper miał mnóstwo nowych ekscytujących zajęć – popołudnia spędzał z Maćkiem i jego kolegami. Gdy było ładnie, chodzili nad glinianki albo grali w piłkę. W czasie deszczu siedzieli w małym warsztacie samochodowym, w którym dorabiał Rudy, i Kacper asystował przy tak ciekawych i skomplikowanych pracach, jak naprawa traktora czy remont silnika zdezelowanego motocykla. Mógł podawać chłopakom narzędzia i szukał brakujących części. Szybko się uczył, a czasem nawet sam podsuwał jakieś sprytne rozwiązania, czym zyskał sobie pewne uznanie w oczach starszych kolegów. Nie żeby traktowali go jak kumpla, ale przyzwyczaili się do jego milczącej obecności i do tego, że zawsze jest chętny do pomocy.

Któregoś dnia, gdy siedzieli nad gliniankami, Rudy posłał go do sklepu po papierosy.

– Tylko szybko wracaj, bo palić mi się chce!

Kacper biegł całą drogę, więc wpadł do sklepu ledwo żywy i zasapany. Sklepowa pogoniła go z hukiem.

– Umiesz czytać? – zapytała surowo.

– Oczywiście – odparł urażony.

– To czytaj! – Pokazała mu tabliczkę.

– Młodzieży do lat osiemnastu alkoholu i wyrobów tytoniowych nie sprzedajemy – przeczytał Kacper i popatrzył na sklepową smutnym wzrokiem.

– I co? Dotarło?

– Ale te papierosy to dla dorosłego.

– Uciekaj mi stąd, ale już! – ucięła dyskusję sklepowa.

Kacper wyszedł ze sklepu podłamany, ale postanowił się nie poddawać i zaczepił jakąś panią.

– Papierosy to straszna trucizna, synku – zmartwiła się, a Kacper autentycznie się zawstydził.

Jeszcze gorzej poszło mu ze starszym panem.

– Zmykaj, gówniarzu, bo policję zawołam! – Pogroził mu palcem.

Wreszcie pojawił się znajomy sąsiad i wybawił Kacpra z kłopotu.

– W fabryce tytoniu byłeś czy co? – powitał go zniecierpliwiony Rudy i od razu otworzył paczkę.

Tym razem nikt już go nie częstował, i całe szczęście, bo nie miał ochoty palić. Siedzieli nad gliniankami aż do zachodu słońca. Kacper jak zwykle trochę na uboczu. Starsi chłopcy toczyli leniwe rozmowy, a on tylko się przysłuchiwał. Chłód ciągnął już od wody, gdy przyjechały na rowerach dwie dziewczyny z klasy Maćka – Martyna i Asia.

– Chodźcie do nas – zawołał Arek z przyjacielskim uśmiechem.

Dziewczyny niepewnie zeszły na brzeg.

– A co?

– A nic! – Arek i Rudy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Macie ochotę na kąpiel? – zapytał Arek.

– Wypchaj się!

– A może jednak?

– Spadaj na drzewo!

Martyna ruszyła do roweru, ale było już za późno. Arek chwycił ją wpół, a Rudy złapał Asię, po czym obaj pociągnęli piszczące dziewczyny w stronę wody. Bartek, pokładając się ze śmiechu, ruszył na pomoc chłopakom. Nagle Martyna z całej siły kopnęła Arka w kostkę, aż ten zwinął się z bólu i wrzasnął do Maćka:

– A ty co się tak gapisz, lepiej pomóż!

Maciek zawahał się, ale po chwili – głupio uśmiechnięty – przyłączył się do zabawy. We dwóch z Arkiem wlekli Martynę do stawu. Dziewczyna, czerwona ze wściekłości, próbowała im się wyrwać. Była bliska łez. Kacper obserwował całą sytuację z niepokojem. Asia, popchnięta przez Rudego, wpadła do wody z głośnym pluskiem. Po chwili w wodzie znalazła się też Martyna, a czwórka kumpli pokładała się ze śmiechu. Kacper wstał i podszedł bliżej. Z każdą chwilą czuł się bardziej nieswojo. Dziewczyny krzyczały, a tamci blokowali brzeg, uniemożliwiając im wyjście. Asia była bliska płaczu.

– Puszczajcie, wy gnojki, padalce!

– Słyszeliście? – zarechotał Rudy.

Kacper nie wytrzymał i mocno szarpnął brata za kurtkę.

– Maciek! Przestańcie!

– Jak ci się nie podoba, to zmiataj do domu – syknął zniecierpliwiony brat.

– Mówiłem, że to szczył? – Rudy spojrział na Kacpra pogardliwie.

W tym momencie Asia mocno popchnęła Maćka, ten stracił równowagę, zamachał rękami i wpadł do jeziora, wzbijając fontannę wody.

Kumple zaśmiali się jeszcze głośniej. Dziewczyny uciekły, a Maciek wściekły, unurzany w błocie wyszedł ze stawu i bez słowa ruszył do domu. Kacper pobiegł za nim.

– No co ty, Maciek, zły na mnie jesteś?

– Po coś się wtrącał? – burknął Maciek. – Na żartach się nie znasz?

Kacper zerknął badawczo na brata. Sam już nie wiedział, co myśleć.

– To były żarty? – spytał niepewnie.

– A co myślałeś?

– Nie wiem... – Spuścił głowę.

– Przecież nic im się nie stało! O co tyle hałasu?

Kacper nie odpowiedział, ale cała ta sprawa nie dawała mu spokoju. W nocy długo nie mógł zasnąć. Myślał i myślał, aż wreszcie doszedł do wniosku, że może Maciek ma rację, nic się przecież takiego nie stało... W końcu jest starszy i mądrzejszy.

Zresztą szybko przestał sobie zaprzętać tym głowę, bo następnego dnia brat wziął go na mecz do miejscowego baru i mieli własny stół, zupełnie jak dorośli faceci. Kacper był podekscytowany i nie mógł doczekać się meczu. W barze panował nieopisany hałas. Kątem oka zobaczył wchodzącego do baru Sebastiana, chłopaka ze swojej klasy, który zawsze najbardziej mu dokuczał. Sebastian przyszedł do ojca, siedzącego teraz z kolegami przy sąsiednim stoliku. Kacper udał, że nie widzi kolegi, ale poczuł na sobie jego pełne niedowierzania spojrzenie i od razu poczuł się lepiej. Sebastian chciał zostać na mecz, ale ojciec kazał mu natychmiast zmiatać do domu i chłopiec odszedł ze spuszczoną głową, upokorzony. Kacprowi zrobiło się go nawet trochę żal, ale nie miał czasu o tym myśleć, bo akurat zaczynał się mecz. Po chwili zapomniał o wszystkim, wpatrzony w ekran i ogłuszony zrywającymi się raz po raz okrzykami kibiców. To był naprawdę niesamowity, pełen emocji wieczór.

Drużyna polskich siatkarzy wygrała i Kacper wracał do domu jakby niesiony na fali zwycięstwa. Było późno, miasteczko już spało, tylko

rozbawiona grupka młodych kibiców zakłócała ciszę. Wśród nich był Kacper. Senny i zmęczony, ale szczęśliwy.

Od tego dnia w szkole coś się zmieniło. Sebastian już go nie zaczepiał, skończyły się złośliwe żarty pod jego adresem. Inne dzieciaki też przestały mu dokuczać i w krótkim czasie pozycja Kacpra w klasie znacząco wzrosła. Dla wszystkich stało się jasne, że Kacper się zmienił i nie jest już tym samym zahukanym Kurczakiem.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany przez wszystkich koniec roku szkolnego. Żeby uczcić początek wakacji, Maciek z kolegami urządzili imprezę u Bartka na działce. Było bardzo gorąco, więc najpierw ganiali się po półdzikim, zarośniętym wysoką trawą ogrodzie, polewając się wodą ze szlauchu. Gdy zaszło słońce, Maciek zabrał się do rozpalania grilla, a Kacper, siedząc na trawie, wycinał zgrabną kratkę na każdej porcji kiełbasy, którą przygotowywał do pieczenia. Odkładał ją za siebie, do stojącej w trawie miski. Już kończył, kiedy usłyszał za sobą jakiś podejrzany szelest, mlaskanie i głośne przekleństwo Rudego. Zerwał się przestraszony. Za nim stał Rudy, trzymając za kark średniej wielkości psa – czarnego kundelka w białe łaty. Pies szczekał, szarpał się i usiłował dosięgnąć Rudego zębami. Ten uderzył go po uszach, a pies capnął go w palec. Rudy zaklął pod nosem i przydusił psa mocno do ziemi.

– Chłopaki, sznurek!

– Ale po co? – burknął Maciek.

– Zamknij się, dawaj!

Po chwili sznurek się znalazł i Rudy obwiązał go psu wokół szyi, a potem przywiązał go do drzewa.

– Zginiesz, zarazo! – Znów mocno trzepnął psa po uszach.

Pies zaskomlał i przypadł do ziemi przerażony.

– Co z nim zrobisz? – zapytał ktoś.

– A co się głupio pytasz? Może na grill go wrzucę, moja sprawa – roześmiał się Rudy.

Potem już nikt o nic nie pytał. Oszalały ze strachu pies długo szarpał się na sznurku, ale w końcu osłabł, wyczerpany i spragniony. Od czasu do

czasu piszczał cicho, a wtedy Rudy szturchnął go kijem. Gdy tylko pies pokazywał zęby, dostawał kijem po grzbiecie.

Zabawa powoli się rozkręcała, ktoś włączył muzykę. Wszyscy zapomnieli o psie. Wszyscy oprócz Kacpra. Gdy zrobiło się ciemno i towarzystwo rozeszło się po ogrodzie, Kacper ukradkiem postawił przed psem miskę wody. Psiak pił tak łapczywie, jakby nie widział wody od tygodnia. Wypił wszystko i wylizał dokładnie miskę. Chłopiec już chciał iść po dolewkę, kiedy osadził go w miejscu groźny krzyk Rudego:

– Kto dał kundlowi wody?

Zapadła cisza. Ktoś wyłączył radio i słychać było tylko cichutkie popiskiwanie psa. Rudy przyglądał się każdej twarzy.

– No co, przymuły?

Milczeli i patrzyli jeden na drugiego, wzruszając tylko ramionami. Rudy odwiązał sznurek od drzewa i mocno szarpnął psa.

– Żaden nie chce się przyznać?

Sznurek zacisnął się na szyi psa, który głośno i żałośnie zaskomlał, a potem przypadł do ziemi. Ktoś zaśmiał się nerwowo. Rudy kopnął psa w bok, lecz pies tym razem nie zareagował. Było mu już wszystko jedno. Popatrzył na Kacpra z bezbrzeżnym smutkiem.

Kacper był bardzo blady. Coraz szybciej oddychał, w gardle go dusiło, nieświadomie zaciskał pięści... Zrobiło się cicho. Sam nie wiedział, jak to się stało, że chwycił scyzoryk leżący obok na stoliku, doskoczył do psa, błyskawicznie przeciął sznurek, po czym z furią ruszył na Rudego, który – kompletnie zaskoczony – stracił na moment równowagę. Przerażony pies natychmiast czmychnął w krzaki. Rudy chwycił Kacpra za nadgarstki i mocno wykręcił mu ręce, po czym rzucił chłopca na ziemię.

– Wynocha stąd, ty mały, głupi szczyłu! Nie chcę cię więcej widzieć!

Rudy odwrócił się i zapalił papierosa. Kacper podniósł się z ziemi. Był brudny, nawet w zębach miał piasek. Wytał twarz rękawem i ze spuszczoną głową poszedł do wyjścia. Przy furtce odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na Rudego.

– Ja też cię nie chcę widzieć.

Wyszedł. Wszyscy patrzyli za nim w milczeniu. Nikt się nie ruszył, nikt nic nie powiedział.

Kacprowi było smutno, bo wiedział, że znowu będzie sam, że stracił przyjaciół, jedynych, jakich kiedykolwiek miał. Ale wiedział też w głębi

serca, że to nie byli prawdziwi przyjaciele.

Szedł powoli aleją między drzewami. Księżyc oświetlał drogę. Do domu miał parę kilometrów, ale nigdzie mu się nie śpieszyło. Mama pewnie wróci późno i będzie jak zwykle zmęczona. Przypomniało mu się, że na półce czeka na niego torpedowiec, pomyślał, że wreszcie go skończy. Myślał też o psie – zastanawiał się, czy uciekł daleko i czy sznurek nie będzie mu przeszkadzać; może się przecież gdzieś zaczepić, zaplątać o jakieś krzaki...

Nagle poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Odwrócił się gwałtownie, zaskoczony. Obok niego szedł Maciek. Nic nie mówił, ale patrzył na Kacpra jakoś inaczej. Szli w milczeniu.

Za nimi, w bezpiecznej odległości, chowając się w trawie, biegł jeszcze ktoś. Kudłaty, czarny w białe łaty.

Wracali do domu już we trzech.



SAMODYSCYPLINA, czyli dyscyplina wewnętrzna, to samokontrola, umiejętność uporządkowania swoich myśli i powściągnięcia impulsów, umiar – w jedzeniu, zakupach czy rozrywkach, a także praca nad sobą i rozwijanie własnego potencjału. To umiejętność kierowania własnym zachowaniem i znakomite narzędzie osiągnięcia życiowych celów. Samodyscyplina wymaga motywacji, planowania, silnej woli i wytrwałości. Do tego – wraz z rozwojem naszego mózgu – stopniowo dorastamy, ale wymaga to ciągłych ćwiczeń, praktykowania.

Samodyscyplina ma początek w dyscyplinie nałożonej z zewnątrz, gdy to rodzice i wychowawcy wyznaczają obowiązki oraz granice dopuszczalnych zachowań. Osoba, która nie kontroluje swojego zachowania, nie wypełnia zadań, nie przestrzega obowiązujących reguł – nie osiąga sukcesów i utrudnia życie innym.

Samodyscyplina wywodzi się z szacunku do siebie, do innych ludzi, a także do mądrych zasad, które organizują życie danej zbiorowości. Nagrodą za jej stosowanie jest satysfakcja z osiągnięcia zaplanowanych celów i dobre relacje z ludźmi.

Siedziałam na parapecie i patrzyłam, jak na nocnym niebie jeden za drugim wybuchają sztuczne ognie. Leciąły ze świstem w górę i zamieniały się w kwiaty, palmy, barwne wodotryski, gwiazdy, kolorowe węże.

Gdzieś za rzeką, w której odbijało się to wszystko, bawiła się moja matka. Cóż, byłam już na tyle duża, aby wybrać się na sylwestrową zabawę do przyjaciółki – zapewne mama tak myślała.

A moja przyjaciółka była przekonana, że spędzam tę noc z tatą w górach i po całym dniu szaleństwa na stoku siedzimy w przytulnym schronisku, w kominku radośnie trzeszczą polana, a gdzieś z boku dziarsko przygrywa góralska kapela. Nie miałam pojęcia, o czym w tej chwili myślał mój tata, o ile w ogóle zaprzętał sobie głowę kimś takim jak ja...

I, pomyślałam z goryczą, nawet nie ma pojęcia, że wszystko zaczęło się właśnie od niego.

Za każdym razem, gdy za oknem wybuchała petarda, Kufel piszczał i próbował schować się pod fotel.

– Nikt nie czuje się dzisiaj dobrze – szepnęłam do swojego odbicia w oknie.

Na szybie pojawił się obłoczek pary, przesłonił na chwilę kawałek nieba i zniknął.

Raz jeszcze spojrzałam w ciemność. W bloku naprzeciwko świeciło się w wielu oknach, a na balkonie na pierwszym piętrze stało kilka osób. To właśnie stamtąd leciały te wstrętne petardy. Tak właśnie bawili się u Goški.

– Uważajcie na sztuczne ognie – powiedziała babcia, kiedy mama poinformowała ją, że po raz pierwszy spędzam sylwestra poza domem.

Na szczęście babcia mieszkała na drugim końcu miasta i nie miała najmniejszego zamiaru sprawdzać, czy zachowujemy należyta ostrożność.

– Nie włożysz czegoś bardziej... – zaczęła mama, patrząc na moje stare dzinsy.

– Mamo – jęknęłam – to tylko spotkanie u koleżanki.

Mama miała na sobie elegancką czarną sukienkę, a na szyi sznureczek pereł. To były prawdziwe perełki, które kupiła z jakąś gazetą dla kobiet. Wyglądała wystrzałowo i gdyby na co dzień tak dbała o siebie, nie byłaby samotną matką. A ja miałabym ojca. Co prawda udawanego, ale zawsze

mogłabym powiedzieć... że wrócił. Znudziły go podróże dookoła świata. Doszedł do wniosku, że najważniejszy jest dom.

– Pamiętaj, aby przed wyjściem podać Kufłowi tę tabletkę. – Mama wcisnęła mi w rękę małe pudełeczko.

Kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły, wyrzuciłam tabletkę do ubikacji i spuściłam wodę.

– Nic się nie bój – powiedziałam, a Kufel zamachał ogonem – nie zostaniesz sam.

Ale Kufel bał się i koło północy zrobiło mi się głupio, że nie dałam mu tej tabletki.

Sztuczne ognie na chwilę zgasły. Wyciągnęłam Kufła spod fotela i położyłam się z nim na wersalce.

Pies wsunął mi nos pod ramię, drząc leciutko. Nagle pomyślałam o piwnicznych kotach, bezdomnych psach, którym nikt nie podał tabletki na uspokojenie i nie mają nawet fotela, pod który mogłyby się schować. Wyobraziłam sobie, jak kulą się w zaroślach albo biegną przed siebie, nie zważając na nadjeżdżające samochody.

– Ludzie w ten sposób pokazują, że się cieszą – powiedziałam. – Podejmują różne ważne decyzje i wierzą, że następnego dnia wszystko się zmieni. A tak naprawdę nie zmienia się nic.

Przypomniałam sobie wszystkie życzenia, które wypowiadałam w Nowy Rok, wszystkie prócz jednego, którego nie ośmieliłam się powiedzieć głośno.

Sąsiadom najwyraźniej skończyły się zapasy petard, bo nagle zrobiło się całkiem cicho. Oczywiście z kilku otwartych okien dobiegała głośna muzyka, ale to nic w porównaniu z tym, co działo się wcześniej. Kufel doszedł widać do tego samego wniosku, bo zeskoczył z wersalki i pobiegł do kuchni napić się wody.

Pomyślałam, że będę musiała się bardzo pilnować, aby nie pomylić się w zeznaniach, jak to ironicznie mawiał doktor Marcin.

Czyli:

1. Uważać, aby nie wkopać się przed Goską.
2. Sprawdzić, jakie były warunki narciarskie w Krościenku, i ustalić, jak nazywają się tamtejsze schroniska.
3. Wymyślić kilka zabawnych sytuacji, które zdarzyły się na prywatce u Gośki, żeby mieć co opowiedzieć mamie.

To akurat było proste. Budowałam już bardziej zawile scenariusze.

Wstałam z wersalki i ponownie podeszłam do okna. U Gośki nadal trwała zabawa.

Psie pazury zastukały o podłogę. Kufel trącił mnie nosem i upuścił zwiniętą w kulkę starą skarpetkę. Rzuciłam mu ją raz, drugi i trzeci, dopóki nie poturlała się pod szafę.

Zegar wskazywał pierwszą. Pomyślałam, że minęła już godzina nowego roku i że wszystko, tak jak przypuszczałam, toczy się po staremu.

Gdy przyszło mi do głowy, że jestem jedyną osobą, której nikt nie życzył szczęśliwego Nowego Roku, przypomniałam sobie o doktorze Marcinie.

Doktor Marcin nie jest doktorem, który leczy ludzi, ale doktorem matematyki, i mieszka piętro wyżej. Od kiedy zmarła jego żona, żyje zupełnie sam. To dziwne, ale ze wszystkich dorosłych najbardziej lubiłam właśnie doktora Marcina. Może dlatego, że rozmawiał ze mną tak, jakbym była dorosła.

– Chodź – powiedziałam do Kufla i zapięłam mu smycz.

Pewnie sądził, że zabieram go na spacer, i wcale mu się to nie podobało, bo wciąż podejrzliwie spoglądał w stronę okna.

– Pójdziemy złożyć życzenia.

Pociągnęłam za smycz i Kufel przejechał parę metrów po podłodze. Kiedy udało mi się wypchnąć go na korytarz, miał bardzo nieszczęśliwą minę, ale gdy odkrył, że idziemy w górę, a nie w dół, uspokoił się.

Zatrzymałam się przed drzwiami doktora Marcina i zaczęłam nasłuchiwać. A jeśli śpi? – pomyślałam. Bo co miałyby lepszego do roboty? Wstrzymałam oddech. Za drzwiami cicho grało radio.

Nacisnęłam dzwonek. W przedpokoju rozległy się nieśpieszne kroki.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziałam, gdy drzwi się uchyliły.

– No proszę! – Doktor Marcin odparł frontalny atak Kufla, który zaczął składać mu własne życzenia. – Nie spodziewałem się tak miłych gości.

Zauważyłam, że jest w szarym garniturze, białej koszuli i krawacie. Ma gości, pomyślałam i zrobiło mi się głupio. Ale w mieszkaniu nie było nikogo. Na stole stał półmisek z ciastkami i karafka, a obok niej fotografia w drewnianej ramce.

– Tak sobie świętujemy – wyjaśnił.

Nie musiałam przyglądać się fotografii, aby domyślić się, kto na niej jest.

– Siadajcie, proszę.

To był właśnie cały doktor Marcin. Kufel rozwalił się obok mojego krzesła, skąd raz po raz łypał w stronę stołu, od czasu do czasu głośno przełykając ślinę. Pomyślałam, że teraz nie zareagowałby na żadną petardę.

Doktor Marcin poszedł do kuchni i przyniósł Kufłowi kilka plasterków szynki.

– Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku – powiedział. Plasterk szynki błyskawicznie zniknął w paszczy Kufla. – Herbata czarna czy owocowa? – zapytał, stawiając przede mną filiżankę.

– Owocowa – zdecydowałam.

Po chwili zapachniało mandarynką i imbirem.

– Czego mógłbym ci życzyć w Nowym Roku? – Uśmiechnął się, częstując mnie piernikiem.

Westchnęłam. Gdyby życzenia rzeczywiście się spełniały...

– Nie wierzę w noworoczne życzenia – powiedziałam i zrobiło mi się trochę głupio.

– Poniekąd masz rację – odparł. – To my mamy moc spełniania swoich życzeń. Ale przyjście do kogoś z życzeniami oznacza, że życzymy temu komuś dobrze. Mam nadzieję, że to nie jest bardzo skomplikowane.

– Nie jest – przyznałam po chwili.

– Życzenia – ciągnął – są głównie po to, aby ustalić, co tak naprawdę jest dla nas ważne. Zatem życzymy komuś tego, co według nas ma jakieś znaczenie.

Pomyślałam o tym, że ludziom starszym zazwyczaj życzy się zdrowia, bo właśnie zaczęli chorować, dzieciom życzy się dobrych wyników w nauce, dorośli życzą sobie nawzajem pieniędzy, a ogólnie wszyscy razem życzą sobie spełnienia marzeń.

– Moje życzenie właśnie się spełniło – powiedział doktor Marcin. – Wyobraź sobie, że zadzwoniła moja córka, życząc mi, abym nie spędził świąt samotnie.

– I co? – wyrwało mi się.

– Przyszliście złożyć mi życzenia.

„Przyszliście”, zupełnie jakby Kufel był osobą, a nie czarnym kudłatym psem, w którym zmieszały się wszystkie rasy.

– A ja nadal zastanawiam się, czego powinienem ci życzyć – ciągnął.

Doktor Marcin wiedział o mnie więcej niż ktokolwiek inny. Wiedział, że mój tata wcale nie jest podróżnikiem, i wiedział o moich wszystkich

kombinacjach, ale taktownie nie poruszył tego tematu.

– Ludzie uważają, że Nowy Rok załatwi za nich wszystko. Zupełnie jakby umowna data mogła cokolwiek zmienić.

– Szkoda, że tak nie jest – westchnęłam.

– Ależ nie jest aż tak źle. Przecież tą umowną datą może być jakikolwiek dzień. To my decydujemy o zmianach, oczywiście jeżeli mamy na nie wpływ. Z pewnością nie możemy zmienić wielu rzeczy, ale możemy popracować nad sobą. To znaczy zmienić siebie – dodał lekko zakłopotany.

Na przykład przestać kłamać, pomyślałam i zdziwiłam się, bo po raz pierwszy w życiu przyznałam się przed sobą do tego, że kłamię.

Doktor Marcin oczywiście dobrze o tym wiedział i dlatego często mawiał, że pewnego dnia pomylę się w zeznaniach.

– Pójdę już... – Czułam się trochę zmieszana.

Kufel natomiast wcale nie miał ochoty się ruszyć. A ruszenie z miejsca czterdziestokilogramowego potwora naprawdę graniczyło z cudem. Doktor Marcin podał mu kolejny plasterek szynki i spojrzął na mnie ciepło.

– Wielu ludzi w tym dniu podejmuje różne postanowienia. Jedni dotrzymują danego sobie słowa, inni nie. Ci pierwsi starają się, robią coś, a ci drudzy czekają, aż nadejdzie jakiś magiczny moment, który zmieni wszystko. Praca nad sobą... wymaga samodyscypliny, a to naprawdę trudne. Życzę ci powodzenia – powiedział, zapalając światło na korytarzu.

Wróciłam do domu, zamknęłam drzwi na oba zamki. Dochodziła druga.

Pościeliłam łóżko i włożyłam piżamę. Było późno, ale nie chciało mi się spać. Pomyślałam o mamie – z pewnością bawiła się doskonale, skoro nawet nie zadzwoniła do mnie. Czyżby zapomniała?

Zaraz, zaraz. Przecież sama prosiłam, żeby nie dzwoniła, bo będę się tak wspaniale bawić u Gośki... A mama uszanowała moją prośbę i pewnie też było jej głupio, że nie możemy złożyć sobie życzeń...

Sięgnęłam po komórkę.

Najpierw usłyszałam muzykę, a potem głos mamy:

– Czy coś się stało?

– Chciałam życzyć ci... – Urwałam. Czego właściwie mogłam życzyć swojej mamie? Powrotu taty, którego nigdy nie widziałam na oczy? I czy mama naprawdę chciałaby, żeby wrócił? – Życzę ci, żebyś zawsze była ze mnie zadowolona – wypaliłam.

– Bardzo cię kocham, córeczko.

Mama wydawała się naprawdę wzruszona.

– Jak się bawisz? – zapytała.

– Doskonale – odpowiedziałam i w tej samej chwili Kufel zaszczeakał donośnie.

– Wróciłaś już do domu?

Basowy szczek Kufła był jedyny w swoim rodzaju.

– Na chwilę – skłamałam gładko. – Przyszłam zobaczyć, jak się miewa Kufel.

– Chwała Bogu już po kanonadzie! – roześmiała się mama. – Nie zapomnij zamknąć drzwi.

– Nie zapomnę – odpowiedziałam, poprawiając poduszkę.

Poleżałam chwilę, a potem wstałam i rozrzuciłam złożone starannie ubranie, żeby wszystko wyglądało tak, jakbym wróciła porządnie zmęczona.

A potem znów padłam na łóżko.

Dziwne. Przed chwilą rozmawiałam z doktorem Marcinem i chociaż nie powiedział mi tego wprost, to mówiąc o zmianach, miał na myśli moje kłamstwa. Te większe i te mniejsze. A w obydwu osiągnęłam prawdziwe mistrzostwo.

Z trudem wyrwałam kołdrę spod Kufła, który tymczasem zdążył zająć połowę łóżka. Zamknęłam oczy, ale nie chciało mi się spać.

Czy są kłamstwa większe i mniejsze?

Myślałam o tych wszystkich chwilach, kiedy kłamałam z premedytacją lub odruchowo. Muszę przypomnieć sobie, jak to się zaczęło, postanowiłam w chwili, gdy ogromny psi łeb znalazł się na poduszce.

Kufel też był owocem kłamstwa, ale na szczęście nie mojego. Pewnego dnia poszłyśmy z mamą na zakupy i obok stoiska z warzywami stał chłopak z koszykiem pełnym szceniąt. To znaczy, na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że jest ich tam wiele. To, co wzięłyśmy za kilka psiaków, było jednym wielkim czarnym szczeniakiem, który zajmował się zjadaniem koszyka.

Przystanęłyśmy na chwilę, a chłopak zaczął zachęcać nas do kupna psa.

– Mamy za małe mieszkanie. – Mama użyła argumentu według niej nie do odparcia.

– On jest dorosły – oznajmił chłopak. – Większy nie będzie.

Odeszłyśmy parę kroków i wróciłyśmy.

- Zachowuje się jak szczeniak – powiedziała mama, obserwując koszyk.
- Bo jest niedojrzały emocjonalnie – padła sprytna odpowiedź.

W ten sposób Kufel został członkiem naszej rodziny i w ciągu następnych kilku miesięcy zamienił się w kudłatego potwora.

Dlaczego chłopak nas okłamał? – zastanawiałam się, słuchając Kufłowego chrapania. Może musiał go sprzedać, odpowiedziałam sobie. Może rodzice mu kazali?

Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam kudłaty łeb.

– To jest chiński owczarek – odpowiedziałam, kiedy Gośka zapytała, jakiej rasy jest nasz pies.

– Nie ma chińskich owczarków – stwierdziła.

– Są – uparłam się. – To jest bardzo rzadka rasa.

A Kufel jakby na potwierdzenie moich słów pomachał ogonem.

– W Polsce są tylko trzy takie psy – ciągnęłam. – On wcale nie nazywa się Kufel od kufla, tylko... – Pochyliłam się i napisałam palcem na piasku „COO-FEL”. – Tak ma napisane w rodowodzie, ale po chińsku.

Gdyby Gośka była naprawdę bystra, chciałaby zobaczyć ten rodowód, ale nie przyszło jej to do głowy.

Usiadłam na łóżku. Kufel spał jak zabity, zupełnie nieświadomy swojego arystokratycznego pochodzenia.

Potem wszyscy dowiedzieli się, że Kufel to prezent od mojego taty i że przysłał mi go samolotem, bo nie mógł przywieźć sam, będąc w podróży dookoła świata.

– Twoja mama mówiła, że kupiłyście go pod halą targową – przypomniała pewnego dnia Dorota.

Była twardą zawodniczką. Zazwyczaj drążyła temat, dopóki nie poznała odpowiedzi.

– Oczywiście, że tak mówi – odparłam. – Gdyby ktoś dowiedział się, jaka to rzadka rasa, z pewnością Kufel zostałby wcześniej czy później ukradziony. No, sama popatrz, widziałaś takiego drugiego?

I Dorota dała mi spokój.

Kłamanie nigdy nie sprawiało mi trudności. Doszłam do takiej wprawy, że kłamałam nawet wtedy, gdy nie musiałam. Odkryłam to z przerażeniem.

Ściskając w ręce łąpsko Kufla, poczułam, że już sama nie wiem, co w moim życiu jest prawdą, a co nie. Po raz kolejny wstałam i poszłam do kuchni. Wyjęłam z szafki gorzką czekoladę i zjadłam parę kostek.

U Goški nadal trwała noworoczna zabawa i nic nie wskazywało na to, by jej goście wybierali się do domu. Nad moją głową panowała cisza, widać doktor Marcin skończył witać nowy rok.

I tylko ja jedna byłam sama. To znaczy nie byłam sama. Towarzyszyły mi mniejsze i większe kłamstwa, w których osiągnęłam prawdziwe mistrzostwo.

Nagle zrobiło mi się zimno. Wróciłam do łóżka i wsunęłam zziębnięte stopy pod psa. Zasnęłam tak mocno, że nie usłyszałam klucza w zamku ani szumu wody w łazience.

Obudziłam się w południe. Mama jeszcze spała. Na poręczy krzesła wisiała czarna sukienka, a na stole leżał sznureczek pereł.

Bez makijażu mama wyglądała prawie jak nastolatka. Gdzie ten tata miał oczy, pomyślałam.

Za moimi plecami rozległo się zniecierpliwione sapnięcie. To Kufel dopominał się o spacer.

Zrobiło mi się gorąco. Tak, będę musiała z nim wyjść, ryzykując spotkanie kogoś z ekipy Goški...

Już prawie słyszałam, jak Dorota pyta: „Tak szybko wróciliście z tego Krościenka?”. Ale nie mogłam wytłumaczyć Kufłowi, że nie powinniśmy wychodzić. Bo Kufel musiał wyjść.

W pośpiechu włożyłam dzinsy i sweter, naciągnęłam czapkę i postawiłam do góry kołnierz kurtki. Ale – dotarło do mnie – nawet gdybym zasłoniła twarz maską, Kufel i tak był rozpoznawalny.

Na podwórku na szczęście nie było nikogo. W śniegu poniewierało się kilka kartonowych tulejek po petardach, parę puszek i dwie butelki po rosyjskim szampanie. Było cicho, jedynie z parku dobiegało krakanie wron.

Przystanęliśmy pod ulubionym drzewem Kufla, a potem dałam się pociągnąć alejką w stronę kępy krzewów. Powietrze było rześkie i mroźne, a z gałęzi osypywały się drobne igielki szadzi. Tu na szczęście nie naśmiecono, na śniegu widać było jedynie ślady ptasich łapek.

Na niewielkim pagórku pośrodku parku jakieś dziecko zjeżdżało na sankach. Kto puścił takiego malucha samego na sanki? – pomyślałam i wtedy dostrzegłam chłopaka w zielonej kurtce. Lepił kule i rzucał nimi w pobliskie drzewo.

Kufel ruszył nagle do przodu jak koń wyścigowy. Nie mogłam wypuścić z ręki smyczy, bo okręciłam ją wokół dłoni, zatem parę metrów

przeszorowałam na brzuchu. Kufel skoczył w górę, złapał kulę i szczeknął, aż echo poniosło.

– Jakaś nowa dyscyplina sportowa? – zapytał chłopak, pomagając mi wstać.

Na głowie miał czarną czapkę i wydawał się szczerze rozbawiony tym, co zobaczył. Wytrzepałam z butów śnieg, a uwolniony Kufel szczekał na siedzące na drzewie wrony.

– Masz fajnego psa. – Chłopak rzucił Kufłowi następną kulę.

Chiński owczarek, przemknęło mi przez myśl, ale chłopaka wcale nie obchodził Kufłowy rodowód lub brak rodowodu.

– Ma na imię Kufel – powiedziałam.

– Poczekaj. – Chłopak pobiegł na górkę, aby podnieść leżącego na śniegu malucha.

Poszłam za nim.

– To jest mój brat. – Chłopak otrzepał malca ze śniegu, poprawił mu szalik i pchnął sanki.

Dzieciak, piszcząc z radości, pomknął w dół. Kufel pobiegł za sankami w radosnych podskokach.

– Ciekawe, czy pociągnąłby sanki – powiedział chłopak.

– Nie mam pojęcia – odparłam. – Ale zawsze można spróbować.

Niestety, Kufel nie nadawał się na psa pociągowego... Zaprzęgnięty do sanek rzucił mi pełne wyrzutu spojrzenie i położył się na śniegu. A dzieciak położył się na Kuflu.

– Jestem Maciek – przedstawił się chłopak. – A ty jak masz na imię?

– Magda.

Mroźne powietrze zatykało dech w piersiach.

– Wszyscy odsypiają sylwestra w Nowy Rok. – Chłopak wyciągnął spod psa moją ośnieżoną rękawiczkę.

– Wygląda na to, że nie wszyscy – zauważyłam.

– Zabrałem Kubę na sanki. – Chłopak odwiązał smycz Kufla od sanek.

– Tak sam z siebie?

Nie mieściło mi się w głowie, że chłopak w moim wieku z własnej woli zajmuje się młodszym bratem! Większość kolegów z mojej klasy zrobiłaby wszystko, aby nie pokazać się z maluchem w parku... Taki ktoś zaraz otrzymałby etykietkę niani Frani.

A Maciek tak prosto z mostu: „Zabrałem Kubę na sanki”.

– A co w tym dziwnego? – zdziwił się chłopak. – To przecież fajna zabawa. Przy okazji robię sobie trening.

– Trening?

Chłopak położył się na śniegu i bez wysiłku wykonał kilkanaście pompek.

– Trenuję džudo – wyjaśnił. – To taka sztuka...

– Wiem – przerwałam mu.

– Dżudo to nie tylko sztuka walki, ale też sposób bycia.

Nagle poczułam się nijako i szaro. No tak, trenując džudo, mógł pozwolić sobie na spacer z bratem...

– Chcesz? – Maciek podsunął mi tabliczkę czekolady. – Porcja energii.

Czekolada jedzona na mrozie była naprawdę pyszna.

– A ty? – zapytał.

– Co ja? – Zabrzmiało to trochę bez sensu.

– Trenujesz coś? Ćwiczysz?

Przed moimi oczyma pojawiła się sala pełna luster, tiulowa spódniczka i lśniąca, gładka podłoga. Balet, tak to brzmiałoby ciekawie.

Córka podróżnika ćwicząca balet... i chiński owczarek, zadźwięczało w moich uszach.

„Wielu ludzi podejmuje w tym dniu różne postanowienia” – przypomniałam sobie słowa doktora Marcina.

Co zrobiłoby wrażenie na Maćku? Przecież z jakiegoś powodu zwrócił na mnie uwagę... A może po prostu nudziło mu się i chciał z kimś pogadać?

Wzięłam głęboki oddech i...

– Nie – odpowiedziałam. – Chyba jestem leniwa.

Maciek wybuchnął śmiechem.

– Nowy Rok to najlepsza pora, żeby coś zacząć. Umiesz pływać?

Pokręciłam głową.

– Żartujesz?!

Na twarzy Maćka pojawił się wyraz wielkiego zaskoczenia. Natychmiast pożałowałam, że nie opowiedziałam mu o balecie, ale było już za późno.

– To powinnaś się nauczyć.

Poczułam, że się czerwienię. Podniosłam ze śniegu smycz Kufła i spojrzałam na niebo.

– Muszę już iść – powiedziałam.

Naprawdę chciałam odejść stąd jak najszybciej, żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

– Szkoda – rzucił, a potem... – Odprowadzić cię? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, chwycił sznurek sanek. – W którą stronę idziemy?

Nie miałam wyjścia.

– Tam. – Wskazałam blokowisko.

– No to jazda – rzucił i pobiegł przed siebie.

Nie muszę mówić, jaka była reakcja Kufla. Potwór dostał iście kosmicznego przyśpieszenia.

– Jutro też będę w parku – powiedział Maciek, kiedy zatrzymaliśmy się przed moją klatką. – Jakbyś znowu wychodziła z psem... O dziesiątej, może być?

– Hau! – szczeknął Kufel.

– To znaczy jesteśmy umówieni. – Klepnął psa po grzbiecie. – Jaka to rasa?

Pytanie zupełnie zważyło mnie z nóg. Coo-fel, coo-fel, załomotało moje serce.

„Inni czekają, aż nadejdzie jakiś magiczny moment...” – po raz drugi tego dnia przypomniałam sobie słowa doktora Marcina.

– Nie mam pojęcia – zaczęłam ostrożnie, a Maciek wybuchnął śmiechem.

– Pysk sznaucera... ogon setera... Toż to cały przegląd ras!

Spojrzałam na Kufla machającego ogonem setera.

– Dlatego powiedziałam, że nie mam pojęcia – wyjaśniłam. – Nowa rasa.

– Jest super – uśmiechnął się Maciek. – Kuba lubi psy, ale nie możemy mieć żadnego zwierzaka, bo jest uczulony.

– Zawsze może pobawić się z Kuflem.

– To jutro o dziesiątej?

Nagle mnie olśniło. Nie chodziło o mnie, ale o Kufla!

– Skoro jesteście umówieni... – wycedziłam. Zrobiłam z siebie prawdziwą idiotkę. Leniwą, nudną dziewczuchę.

Maciek szarpnął Kufla za ucho spaniela.

– Stary, jutro o dziesiątej, na górce. Nie zapomnij wyprowadzić swojej pani.

I pobiegł truchtem, ciągnąc za sobą sanki.

Na schodach zderzyłam się z doktorem Marcinem. Opatulony w ciepły szary płaszcz trzymał w ręku bukiet wątych, bladych różyczek.

– Idę na cmentarz, do Basi – wyjaśnił.

Wepchnęłam Kufla do windy. Mama już się obudziła i siedziała w kuchni, pijąc kawę.

– I jak tam? – zapytała.

Wszystkie historyjki, które dla niej przygotowałam, uleciały mi z głowy.

– Zwyczajnie – odparłam. – A ty?

Mama uśmiechnęła się i wyciągnęła przed siebie stopy.

– Widzisz? Porobiły mi się pęcherze.

To, że nie wkłada się nowych butów na bal, wie chyba każdy. Z wyjątkiem mojej mamy. Ale... Skąd miała to wiedzieć, skoro każdą sylwestrową noc spędzałyśmy w domu. Czasami przyjeżdżała babcia, a czasami byłyśmy tylko we dwie.

– Było wspaniale – powiedziała. – Przypomniały mi się czasy studenckie.

Nalałam do kubka kakao i usiadłam naprzeciwko mamy. Czekałam, aż powie, że spotkała księcia z bajki i...

– Tańczyłyśmy całą noc – dodała.

– Pewnie miałaś największe powodzenie... Wyglądałaś naprawdę super!

Mama roześmiała się.

– To był bal samotnych mam – wyjaśniła. – Jesienią stworzyłyśmy na Facebooku grupę. Wymieniałyśmy się doświadczeniami, a czasami spotykałyśmy się w kawiarni. A potem postanowiłyśmy spędzić wspólnie sylwestra. Rozczarowana?

Mama знаła mnie tak dobrze...

– Trochę – przyznałam.

– To naprawdę był świetny bal, kochanie. Kilka z nas przyjechało z drugiego końca Polski... Jutro spotykamy się na kawie.

– Ale... czy to ma sens? W ten sposób nikogo nie poznasz...

Mama wyciągnęła rękę.

– Czy wolałabyś, żebym opowiedziała ci to, co chciałabyś usłyszeć? – zapytała.

Skąd mogła wiedzieć, co chciałabym usłyszeć? Spojrzałam na moją mamę. Nie wierzyłam własnym uszom: moja mama i Facebook? Klub samotnych matek?

– Nie wiedziałam, że tak bardzo chcesz, abym kogoś poznała – powiedziała cicho. – To jest dla ciebie aż tak ważne?

Pokiwałam głową.

– Jeżeli coś ma się zdarzyć, zdarzy się na pewno. Ja też wolałabym – zawiesiła głos – żeby w tym domu był tata. Ale widocznie nie zasłużył sobie na taką wspaniałą córkę jak ty.

Ja? Ze zdumienia aż mnie zatkało. Ja, Magda – kłamczucha, gubiąca się we własnych kłamstwach – jestem wspaniałą córką?

Miałam ochotę wykrzyknąć to wszystko, co zdołałam nawymyślać w ciągu trzynastu lat swojego życia. Ale coś mnie powstrzymało.

– Chyba powinnam się przespać – bąknęłam.

– Jeśli masz ochotę – głos mamy zatrzymał mnie w przedpokoju – możesz wybrać się ze mną jutro rano. Poznasz...

Przed moimi oczyma pojawił się chłopak w zielonej kurtce.

– Chciałabym, ale nie mogę – powiedziałam. – O dziesiątej mam... to znaczy Kufel ma ważne spotkanie.

Zamknęłam drzwi od pokoju i wyciągnęłam się na łóżku. Nagle, zbyt nagle zdałam sobie sprawę, że moja mama, poza tym, że jest moją mamą, jest także człowiekiem. Ma swoje marzenia, koleżanki i... grupę na Facebooku... I ma odwagę mówić, że jest sama i że mój tata nie zasłużył na taką wspaniałą córkę.

Wstałam z łóżka i podeszłam do lustra, starego lustra w złotej ramie, które dawno temu dostałam od babci.

– Posłuchaj, Magda – powiedziałam poważnie do swojego odbicia, zupełnie jakbym rozmawiała z koleżanką. – Masz najwspanialszą matkę na świecie, ale wcale na nią nie zasługujesz. Musisz coś ze sobą zrobić...

A potem wyjęłam z szuflady biurka metalowe pudełko po herbacie, w którym trzymałam różne drobiazgi, jak mawiała mama.

Wyjęłam z niego kartonik, do którego przyklejone były małe czerwone kokardki. Kupiłam je przed Gwiazdką, aby ozdobić paczki z prezentami.

Odkleiłam jedną z nich i przykleiłam do ramy lustra. A pod spodem umieściłam samoprzylepną karteczkę, na której wielkimi literami napisałam „KUFEL”. Umościłam się na łóżku i zmęczona bezsennością i porannym spacerem zasnęłam.

Mama obudziła mnie na kolację. Oczywiście zauważyła kokardkę, ale nie zapytała o nic. I pewnie nawet się nie domyśliła, że chodzi o moje pierwsze małe zwycięstwo...

Następnego dnia wstałam bardzo wcześnie. Pobiełam do łazienki i wskoczyłam do wanny. Czułam się dziwnie lekka, zupełnie jakby wypełniał mnie ten dziwny gaz do nadmuchiwania kolorowych baloników w kształcie serc, zwierzątek i samochodów.

– Kufel przypomina o jakimś ważnym spotkaniu. – Mama zastukała w drzwi łazienki.

Wysuszyłam włosy i owinięta płaszczem kąpielowym pomaszerowałam do kuchni. W dzinsach i czerwonym swetrze mama wyglądała równie ładnie jak w swojej czarnej sukience.

– Może być? – zapytała kokieteryjnie.

– Pewnie! – Pokiwałam entuzjastycznie głową.

A potem zadałam dziwne pytanie, które męczyło mnie od dłuższego czasu.

– Chodź tutaj! – Mama zaprowadziła mnie do przedpokoju i razem stanęłyśmy przed lustrem. – Wszyscy mówią, że jesteś podobna do mnie. Tylko oczy masz takie jak twój ojciec.

Kiedy za mamą zamknęły się drzwi, otworzyłam szafę i wyciągnęłam z niej czerwony sweter.

– O dziesiątej masz ważne spotkanie – powiedziałam do Kufła przebierającego wielkimi łapami wodołaza.

Maciek już tam był. Razem z Kubą zjeżdżali na sankach, na górze było jeszcze kilkoro dzieci.

– Fajnie, że przyprowadziłeś Magdę – powiedział, a Kufel wyszczerzył w uśmiechu zęby rottweilera.

Zjeżdżaliśmy z górki jak małe dzieci, raz ja, raz Maciek, a raz Kuba. Kufel biegał dokoła nas i czekał.

– Mamy tu fajny basen – rzekł Maciek. – Wszyscy z naszego osiedla wchodzi za darmo. Nie wiedziałaś o tym?

Pokręciłam głową. Jak mogłam wiedzieć, skoro cały czas byłam zajęta zmyśleniem i pilnowaniem, aby nie pogubić się w zeznaniach?

– A co robisz dzisiaj? To znaczy – masz jakieś plany?

– Mam obiad o drugiej – odpowiedziałam. – Przychodzi do nas babcia.

– To tak jak ja. Matka wraca jakoś w południe. Jest na spotkaniu z koleżankami.

– Moja też – powiedziałam.

Spojrzeliśmy na siebie.

– Mama założyła na Facebooku taką śmieszna grupę... – zaczęłam, a Maciek nasunął czapkę na oczy. – Samot...

Urwałam. Cień mojego taty podróżnika rozplątał się w powietrzu jak obłoczek pary.

– To wcale nie jest śmieszna grupa – odezwał się Maciek i nagle zrobiło się tak cicho, że prawie słyszałam bicie swojego serca. – Pewnie mi nie uwierzysz, ale moja mama należy do tej grupy.

– Co? – wyrwało mi się. – Twoja... Twoja mama?

Maciek wzruszył ramionami.

– Po śmierci taty nie mogła sobie znaleźć miejsca. Ja zresztą też. Dopiero ta grupa... Wiesz, spotykają się, zresztą nie muszę ci tego tłumaczyć.

Wielorasowy Kufel tarzał się w śniegu z rodowodowym retrieverem, a ich zabawa przypominała walkę na śmierć i życie. I zupełnie nie obchodziło go to, co przeżywam.

– Mój tata żyje – powiedziałam cicho. – Tylko nie wiem gdzie.

Maciek objął mnie ramieniem.

– Nie zmienisz pewnych rzeczy – stwierdził. – Ale możesz zająć się sobą.

Wtuliłam nos w jego zieloną kurtkę.

– Cześć, Magda. – Rozległo się za moimi plecami. – Jak tam sylwester? Żałuj, że nie przyszłaś... Było naprawdę fajnie – wyrzuciła z siebie jednym tchem Gośka.

Odwrociłam się.

– W przyszłym roku zrobię coś u siebie – zapowiedziałam.

– Chcesz sobie zjechać? – Maciek ruchem głowy wskazał sanki.

– Pewnie! – Gośka usiadła na sankach i mocno się odepchnęła.

– To moja koleżanka z klasy – wyjaśniłam.

– A ja chodzę do swojej starej szkoły – rzekł Maciek. – Po śmierci taty mama zamieniła mieszkanie, ale ja nie chciałem zmieniać klasy. Dojazd zabiera mi trochę czasu, ale się przyzwyczaiłem.

– Skąd znasz Maćka? – zapytała Gośka, korzystając z okazji, że teraz Maciek zjeżdżał z górki razem z bratem.

– Stąd! – Ruchem głowy wskazałam górkę i kępę drzew.

Uniosła wysoko brwi.

– Bujasz – zdumiała się ta sama Gośka, która uwierzyła w owczarka chińskiego, tatę podróżnika, sylwestra w Krościenku i wiele, wiele innych większych i mniejszych kłamstw. – Wiesz kto to jest?

– No, Maciek.

– Nie udawaj, że nie wiesz – syknęła. – To wicemistrz juniorów w dzudo...

– To wiem. – Uśmiechnęłam się niewinnie.

– Nie miałam pojęcia, że taka z ciebie krętaczka. – Gośka się obraziła.

Zanim Maciek wrócił na górkę, zdążyła zniknąć między ośnieżonymi drzewami.

– Dokąd poszła twoja koleżanka? – zapytał.

– Obraziła się – odparłam. – Nie chciała mi uwierzyć, że znamy się z parku.

– Ale my przecież znamy się z parku. – Maciek poprawił Kubie szalik.

Poszliśmy najdłuższą z parkowych alejek tam, gdzie park przechodził w niewielki lasek.

– Właśnie dlatego mi się podobasz – powiedział niespodziewanie.

Zatrzymałam się jak wryta.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Walisz prosto z mostu – uśmiechnął się. – Mówisz, że niczego nie ćwiczysz i niczego nie trenujesz, bo jesteś leniwa... Wiesz, co potrafiały wymyślać dziewczyny?

Poczułam, jak na twarz wypełza mi rumieniec.

– Mówisz, że nie umiesz pływać...

– To wcale nie jest takie proste – przerwałam mu.

Ja, kompletnie pogubiona w swoich kłamstwach i opowieściach, podobałam się takiemu chłopakowi jak Maciek tylko dlatego, że przyznałam się do lenistwa? I że nie umiem pływać?

Czyżby był to dobroczynny wpływ noworocznych postanowień?

Rozstałam się z Maćkiem, umówiwszy się na wspólne wyjście na basen. Przed klatką schodową wytrzepałam śnieg z futra Kufla, które przypominało futro wodołaza, i poszliśmy prosto do doktora Marcina.

– Jak minął dzień? – zapytał doktor Marcin.

– Ciężko – westchnęłam i usiadłam w jego niewielkiej kuchni.

A potem opowiedziałam mu o wszystkim.

– Bardzo się cieszę. – Starszy pan się uśmiechnął. – Widzę, że przejęłaś kontrolę nad swoim życiem. To się chwali. Ale nie popadaj w zachwyty nad sobą. Dopiero teraz będzie ci trudno.

– Samodyscyplina, tak? – spytałam, a doktor Marcin kiwnął głową.

– Widzisz, gdybym poddał się smutkowi, z pewnością popadłbym w depresję... Pół wieku razem i nagle samotność... Za każdym razem, kiedy czułem się naprawdę źle, stawiałem na stole zdjęcie Basi i opowiadałem jej o wszystkim.

– To dlatego w sylwestra...

– Nie chciałem spędzać go sam.

– Rozumiem.

Nagle zrobiło mi się żal doktora Marcina i pomyślałam, że mogłby założyć sobie na Facebooku własną grupę. Mogliby spotykać się w jakiejś kawiarni albo w parku i nikt nie czułby się samotny.

Po powrocie do domu przykleiłam do ramy lustra kolejną kokardkę. Na ukrytej pod nią kartce napisałam „TATA”. I spojrzałam sobie w oczy.

– Nie da się wykasować dawnych kłamstw – powiedziałam do swojego odbicia. – Ale można nie dopuścić do nowych. Po prostu trzeba wziąć się w garść.

Drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzała mama.

– Z kim tak rozmawiasz? – zapytała.

– Ze sobą – odpowiedziałam.

– Skoro masz taką potrzebę...

Drzwi zamknęły się cicho.

– Potrzebę? – szepnęłam. – Raczej konieczność. Jesteś poważnym przeciwnikiem, ale poradzę sobie. – Uśmiechnęłam się do swojego odbicia.

Tuż obok mnie stał Kufel i machał ogonem pożyczonym od jakiegoś setera...

- ALE TO TYLKO
JEDNA
Z WERSJI
TEJ
HISTORII.

- JAK TO
JEDNA? - OCZY
CHŁOPCA
ZWĘZIŁY SIĘ
PODEJRZLIWIE -
TO SĄ JAKIEŚ
INNE?

PAWEŁ BERĘSEWICZ

NĘDZNY TCHÓRZ



POKOJOWOŚĆ to rozwiązywanie problemów i konfliktów bez przemocy – fizycznej, słownej czy emocjonalnej. To umiejętność dostrzegania i uwzględniania racji innych ludzi oraz stosowanie zasady „wygrana–wygrana”, według której każda ze stron sporu odnosi korzyść lub satysfakcję. Celem pokojowości jest unikanie konfliktów, które nieraz wymykają się spod kontroli, niszcząc relacje między ludźmi, siejąc zło, doprowadzając nawet do wojen.

Pokojowość wymaga rozwagi, zdolności do kompromisu, a także wyobraźni i elastyczności, by zaproponować ugodę, która pozwoli każdej ze stron osiągnąć cel lub zbliżyć się do niego (na przykład jedna z osób chce pójść do kina na komedię, druga na thriller. Zamiast kłócić się, można ustalić, że pójdą razem kolejno na oba filmy lub wspólnie wybiorą się do kina, ale każdy na wybrany przez siebie seans, i spotkają się po projekcji).

Aby praktykować pokojowość, musimy szanować się nawzajem i traktować jak równoprawni partnerzy, okazywać sobie życzliwość i dobrą wolę.

Każdy, kto na Sorgala powiedział Sorgal, musiał się liczyć z rozkwaszonym nosem, własnym albo Sorgala, bo ten, rozwścieczony, potrafił rzucić się z pięściami nawet na dwa razy większego od siebie. Poza nim w całym Gandadzie było jeszcze tylko dwóch Sorgalów – jego ojciec i dziadek, bo w rodzinie z niezrozumiałym uporem przekazywano sobie to imię z pokolenia na pokolenie. Był to spadek dość kłopotliwy, bo każde gandadzkie dziecko znało na pamięć starożytny *Żywot mężnego a walecznego kniazia Ulryka*, a już szczególnie dobrze następujący jego fragment:

Już wiedzie księciu dzielna straż Sorgala przed oblicze.
Ściągnięta strachem tchórza twarz i serce drży królicze.
I błaga księcia nędzny tchórz: „Nie idźmy bić się, panie!
Niech nieba nie ćmi bitwy kurz, niech w żyłach krew ostanie! ”.
Lecz Ulryk na to rzecze: „Precz! Do lochu wtrąćcie tchórza!
O świcie wierny druh mój miecz w krwi Sorgów się unurza!”.

Jak wiadomo z historii, szóstego kwietnia trzeciego roku panowania księcia Ulryka potężna armia Gandadu starła się na Łubinowym Polu z karnymi zastępami władcy Sorgii Bendolfa. Kiedy pierwsza szarża gandadzkiej konnicy przedarła się przez najeżone linie włóczników, wydawało się, że bitwa nie potrwa zbyt długo. Wtedy jednak sorgijska piechota niespodziewanie przystąpiła do odwrotu, a do akcji wkroczyli słynni kusznicy Bendolfa. Grad strzał posypał się na gandadzkich jeźdźców i zmusił ich do ucieczki. Widząc to, Bendolf pchnął do boju swoją kawalerię i teraz z kolei nad Ulrykiem zawisło widmo klęski. Dzielny książę, nie dbając o własne bezpieczeństwo, na czele przybocznej drużyny rzucił się w wir bitwy. Rozpętała się walka wręcz i szala zwycięstwa wielokrotnie przechylała się na jedną bądź drugą stronę. Kiedy dzień miał się ku końcowi i spracowane ręce wojowników mdlały od bitewnego trudu, los postawił naprzeciw siebie obu mężnych wodzów. Pojedynek Ulryka z Bendolfem trwał do zachodu słońca, a w *Żywocie* zajął aż czterysta trzydzieści dwie linijki. Ostatecznie „wierny druh Ulryka” przedarł się

przez stalowy pancerz Bendolfa i księżę Sorgów padł na Łubinowym Polu. Widząc śmierć swego wodza, sorgijskie wojska rzuciły się do ucieczki. Następnego dnia rano Ulryk na czele zwycięskich oddziałów wkroczył do Sorgii i spalił ją, mszcząc się w ten sposób za wszystkie zniewagi, których naród gandadzki doznał od Sorgijczyków. Potem przez wieki wielokrotnie jeszcze i jedni, i drudzy palili sobie nawzajem stolice, ale zwycięstwo na Łubinowym Polu przeszło do legendy i do dziś napędza dumą serca kolejnych pokoleń Gandadczyków.

Swojego imienia Sorgal po prostu nienawidził. Nie żeby koniecznie chciał być Ulrykiem jak połowa chłopaków w klasie, ale Sorgal? Jak ten nędzny tchórz, o którym w szkole recytowano wstydlive wiersze? Kolegom kazał mówić do siebie Armołt (tak miał na drugie), ale ci oczywiście nie zamierzali odmawiać sobie przyjemności doprowadzania go do szału i z lubością wtrącali zakazane imię prawie po każdym słowie: „Słuchaj, Sorgal, idziesz, Sorgal, grać z nami, Sorgal, w piłkę? Tak, ty, Sorgal, do ciebie mówię, Sorgal”.

Jeśli byli wystarczająco szybcy i potrafili uciekać na tyle długo, żeby Sorgal wysapał całą wściekłość, sprawa kończyła się bezkrwawo. Jeśli jednak nie trafiło na szybkobiegacza, zawsze dochodziło do bójki.

– Armołt jestem, rozumiesz? – darł się Sorgal, tłukąc pięściami na oślep.

Kiedy po którejś z kolejnych awantur wrócił do domu z podbitym okiem i w rozdartej koszuli, zdenerwowany ojciec kazał mu iść do pokoju i wzbudzić w sobie postanowienie poprawy. To ostatecznie przepełniło czarę goryczy.

– Tak? – wysyczał chłopak. – Zniszczyliście mi życie i jeszcze mnie za to karzecie? Dobrze! Będę tam siedział tak długo, aż załatwicie mi zmianę imienia. Może być nawet Głupek. Byle nie Sorgal!

Zaśmiał się ojciec na te dziecinne dąsy, a matka usmażyła jajecznicę na boczku, żeby smakowitym zapachem wywabić syna z pokoju. Podeszła z patelnią pod zamknięte drzwi, pomachała kusząco przy dziurce od klucza, ale nie zadziałało.

– Synku, jajeczniczkę zrobiłam – powiedziała wreszcie, zaglądając od środka.

– A imię zmienione? – burknął Sorgal.

I nie wyszedł, choć ślinka mu ciekła. Nie wyszedł też wieczorem i rano, kiedy trzeba było iść do szkoły, i na obiad następnego dnia i tak aż do

wieczora. W końcu ojciec westchnął ciężko i uznał, że nie da się już dłużej odkładać rozmowy, którą w ich rodzinie każdy ojciec z każdym pierworodnym prędzej czy później musiał odbyć. Zebrał się więc w sobie, wziął głęboki oddech i wszedł do pokoju syna.

– Sorgalu – zaczął uroczyście i usiadł na krześle przy biurku.

– Armołcie! – burknęło z kąta.

Chłopak siedział na łóżku poza kręgiem światła rzucanego przez lampę i jego minę można było sobie tylko wyobrazić.

– Sorgalu – powtórzył ojciec. – Jak wiesz, imię to nosisz po mnie, a ja po twoim dziadku. Jest jednak jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć.

– Pewnie że dziadek po pradziadku – zgryźliwie mruknął chłopak.

– Zgadłeś – zaśmiał się Sorgal senior. – Ale to nadal nie wszystko.

– A co? Prapradziadek też był Sorgal?

– I prapradziadek, i praprapradziadek, i prapraprapradziadek, i wszyscy nasi męscy przodkowie aż do... – Tu starszy z Sorgali zawiesił głos, a młodszy z trudem wykrztusił:

– TEGO Sorgala?

Czekał na zaprzeczenie, a gdy nie padło, zerwał się z łóżka i wszedł w krąg światła.

– Tego tchórza? – wykrzyknął wzburzony.

– A skąd wiesz, że był tchórzem? – spytał ojciec, na co syn niecierpliwie zawołał:

– No proszę cię, tato! „Ściągnięta strachem tchórza twarz i serce drży królicze”. Mówi ci to coś?

– Ale to tylko jedna z wersji tej historii.

– Jak to jedna? – Oczy chłopca zwęziły się podejrzliwie. – To są jeszcze jakieś inne?

– Lepiej usiądź, Sorgalu – uśmiechnął się ojciec. – To będzie dłuższa opowieść.

– Otóż trzeba ci wiedzieć, synu – zaczął – że jeszcze kilka lat przed Łubinowym Polem Ulryk i Bendolf bardzo się przyjaźnili. Na tronach zasiadali ich ojcowie, Emeryk z Gandadu i Hasald z Sorgii, a młodzi dziedzice często odwiedzali się po obu stronach granicznej rzeki i wspólnie

urządzali konne wyprawy do najdalszych zakątków dwóch księstw. Towarzyszył im zawsze młody Sorgal, syn gandadzkiego astrologa Ermolda, wesoły kompan i wypróbowany druh. Były czasy, kiedy tych trzech w ogień by za sobą skoczyło.

Przyjaźń zaczęła się pruć po śmierci starych książąt. Ulryk i Bendolf – przygnieci ciężarem nowych obowiązków – nie mieli już dla siebie czasu, za to coraz częściej nadstawiali ucha szepczącym posłańcom, szpiegom i dworakom. „Książę Bendolf powiedział...”, szeptali życzliwi i cichy szmer sączył się w uszy Ulryka. „Książę Ulryk zamierza...”, szemrało w ciemnej niszy sorgijskiego pałacu. Trujące opary tych szeptów wkradały się powoli w serca młodych książąt i wykrzywiały grymasem ich twarze. Bolał nad tym Sorgal i próbował ratować co się da z ich nie tak dawnej przyjaźni.

– Spotkaj się z Bendolfem, Ulryku – namawiał swego księcia. – Porozmawiajcie. Wyjaśnijcie sobie, co kto powiedział i co zamierza.

Taką samą myśl podsunął Bendolfowi i pewnie nawet doszłoby do spotkania, gdyby minister Mildur nie szepnął Ulrykowi: „Pomyśli, że się go boisz”, a minister Alferyk Bendolfowi: „Gadają tylko słabi”. Od tego czasu Sorgal coraz rzadziej spotykał obu książąt. Jakoś ciągle byli zajęci. Jakoś zawsze mieli do załatwienia ważne sprawy. Jakoś trudno było otworzyć pałacowe drzwi. Za to coraz częściej na rynkach i ulicach obu stolic zaczynały krążyć niepokojące wiadomości: „Dwóch kupców z Gandadu pobitych w karczmie w Sorgii! ”; „Sorgijscy klienci muszą płacić podwójnie w gandadzkich sklepach! ”; „Gandadczycy nie wpuszczają do kraju sorgijskich warzyw i owoców! ”; „Złapano Sorgijczyka z trucizną przy gandadzkiej studni! ”; „W Gandadzie uczą w szkołach, że Sorgijczycy to lenie i złodzieje! ”; „Książę Sorgii nazwał Ulryka «typowym gandadzkiem ciamajdą»! ”. Tężała atmosfera po obu stronach rzeki. Coś dusznego i wstrętnego wisiało w powietrzu.

Jednego z pierwszych dni kwietnia trzeciego roku panowania księcia Ulryka zdarzyło się coś, co wstrząsnęło mieszkańcami Gandadu. Pewien piekarz, który jeszcze przed świtem wygrzebał się z pościeli i szedł, ziewając, przez plac przed pałacem, zauważył ze zgrozą, że z marmurowego cokołu zniknął pomnik starego księcia Emeryka!

– Normalnie musiałem się uszczypnąć, czy nie śpię! – relacjonował kilka godzin później urzędnikowi spisującemu protokół.

Starannie przeszukano najbliższe dzielnice, przepytano okolicznych mieszkańców – nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, a posąg zapadł się jak kamień w wodę.

– Takiego pomnika nie da się po prostu wziąć pod pachę – ironizował minister Mildur w czasie rady zwołanej przez księcia w trybie nadzwyczajnym. – Ktoś to musiał od dawna planować. I to nie byle kto. Ktoś możny i potężny.

– Masz kogoś konkretnego na myśli, Mildurze? – zapytał Sorgal, którego ze względu na wagę sytuacji wyjątkowo zaproszono do udziału w naradzie.

– Oczywiście, że nie, Sorgalu – cierpko odparł minister. – Ale obaj wiemy, że są tacy, którym nieszczęście Gandadu bardzo leży na sercu.

Słyszając to, księżę Ulryk grzmotnął pięścią w poręcz fotela.

– Wskaż mi ich, Mildurze! – wykrzyknął zapalczywie. – Rozgniotę ich butem, zmiażdżę i rozsiekam!

– Cóż, mój księżę – rzekł Mildur ze smutkiem. – Wiem tylko jedno: każda rzeka ma dwa brzegi...

Sens tego przysłowia nie był do końca jasny, ale wzmianka o rzece i brzegach dziwnym trafem we wszystkich wzbudziła podobne skojarzenia.

– Sorgia – rozległy się szepty. – Sorgijczycy, sorgijscy agenci.

Łomot odsuwanej krzesła uciszył rozszemraną salę. To Sorgal zerwał się wzburzony i krzyknął do zebranych:

– Opamiętajcie się, ludzie! A ty, Mildurze, waż słowa, bo o głupstwo nietrudno! Cóż Sorgijczykom po naszym pomniku? To nie Bendolf za tym stoi, jestem tego pewien!

Mildur przesunął palcami po zatroskanym czole.

– Obyś się nie mylił, Sorgalu – westchnął frasobliwie. – Obyś się nie mylił.

Niestety wszystkie fakty zdawały się świadczyć, że Sorgal jednak się myli. Jeszcze tego samego dnia księżęcy zwiadowcy odkryli głębokie bruzdy w ziemi, które mógł zostawić jedynie wóz wiozący coś wyjątkowo ciężkiego. Ślady prowadziły z Gandadu wprost do promowej przeprawy. Przewoźnik zeznał, że nieznani osobnicy zbudzili go w środku nocy i zażądali transportu przez rzekę.

– Prom mało pod wodę nie poszedł, kiedy wjechali na pokład – opowiadał.

Po drugiej stronie rzeki ślady kół zaczynały się znowu i wyglądało na to, że zmierzają wprost do sorgijskiej stolicy. Wszelkie wątpliwości rozwiązał meldunek przesłany następnego dnia przez jednego z tajnych agentów Mildura:

„Zguba odnaleziona. Sorgia – główny plac. Wokół tłumy”.

Kiedy ta wiadomość dotarła do Ulryka, krew w nim zawrzała.

– Zapłaci Bendolf za tę zniewagę! – wycedził książę przez zęby. – My, Gandadczycy, nie mówimy dziękuję, gdy ktoś pluje nam w twarz!

Tego wieczoru tajnym rozkazem książęcym gandadzką armię postawiono w stan gotowości. Tymczasem z Sorgii napływały kolejne meldunki: Sorgijczycy się zbroją! W kuźniach i rusznikarniach praca wre bez ustanku! Pośłańcy rozwożą wezwania pod broń! W mieście gromadzą zapasy!

– Szykują się do wojny – ocenił książę Ulryk, kiedy mu następnego dnia odczytano raporty wywiadu.

Przez resztę narady nerwowo przechadzał się po sali, a w jego oczach widać było podniecenie.

– Wiedzą, że uderzymy – mrucał ni to do siebie, ni to do zebranych. – Wiedzą, że takiej hańby nie puścimy im płazem! – zapalał się coraz bardziej. – Pragną tej wojny, to będą ją mieli! – Sycił się własnym gniewem. – Chcą poznać smak naszych ostrzy? *Bon appetit*, Sorgijczycy! – Wyrwał miecz z pochwy i krzyknął w uniesieniu: – Chwała Gandadowi!

– Gandad ponad wszystko! – odpowiedział chór krewkich głosów.

Po tym potężnym okrzyku, od którego szyby zadrżały w gandadzkim zamku, kolejny głos zabrzmiał wręcz niestosownie cicho:

– Skoro, jak twierdzisz, Ulryku, Bendolf chce wojny – rzekł Sorgal spokojnie – czemu zamierzasz mu ją dać?

Po sali przeszedł wrogi pomruk, lecz mówca się nie przestraszył.

– Nibyś zły na Bendolfa – mówił z lekką kpina – a chcesz sprawić mu radość. Ledwie Bendolfowi zachciało się wojny, a Ulryk już do usług. Już pędzi na zawołanie. Już tańczy, jak mu Bendolf zagra. Czy tego chcesz, Ulryku?

Śmiertelna cisza zapadła w wielkiej sali. Na takie zuchwalstwo książęcy doradcy wstrzymali oddechy. Ulryk też milczał, choć twarz mu pociemniała. Wyglądał, jakby gorączkowo szukał właściwej odpowiedzi i nie mógł jej znaleźć. Wyczuł to Mildur i ruszył księciu z odsieczą.

– A czy ty, Sorgalu, chcesz, żeby w Sorgii mieli nas za tchórzy? – zapytał.
– Żeby każde sorgijskie dziecko śmiało się z Gandadu? Książę Ulryk boi się wyciągnąć rękę po swoją własność – czy chcesz, żeby tak mówili?

– Nigdy! – krzyknęła sala. – Nie pozwolimy na to!

Tymczasem Sorgal – jakby głuchy na słowa Mildura – nie spuszczał wzroku z Ulryka.

– Znasz Bendolfa równie dobrze jak ja, książę – ciągnął. – Czy naprawdę sądzisz, że uciekałyby się do tak pospolitych zaczepki?

– Poczciwość Sorgala pozwala mu dostrzegać w ludziach tylko dobre cechy – wtrącił się znowu Mildur. – Ale nie poczciwości nam teraz trzeba, a siły! Moim zdaniem...

– Twoje zdanie już znam, Mildurze! – niespodziewanie przerwał mu Ulryk. – Pozwólmy innym podzielić się swoim.

Mildur skrył wściekły grymas w pokornym ukłonie, a książę łaskawie skinął na Sorgala.

– Uważam, książę – rzekł z namysłem młodzieniec – że nie wszystko w tej sprawie jest takie, jak nam się wydaje. Pozwól mi zbadać ją dokładnie i przedstawić ci wnioski. Wtedy podejmiesz decyzję godną swej mądrości i powagi.

Minister zerwał się z krzesła i gwałtownie zamachał rękami.

– Nie mamy czasu na... – zaczął i urwał skarcony władcym gestem Ulryka.

– Czekam do jutra, Sorgalu – rzekł książę. – I lepiej, żebyś miał mi coś do powiedzenia.

Sorgal wziął się do dzieła z energią i bez zwłoki. Pierwsze kroki skierował za rzekę – żeby zrozumieć sedno sporu, należy spojrzeć z obu stron. Nie liczył raczej na posłuchanie u księcia Bendolfa, ale czasem wystarczy przejść się ulicą, żeby usłyszeć myśli miasta. Przebrał się więc w strój wędrownego handlarza i korzystając z uprzejmości jakiegoś woźnicy, jeszcze tego samego dnia wieczorem dotarł do Sorgii.

W stolicy wyraźnie czuło się podniecenie. Ludzie z ożywieniem dyskutowali po karczmach i przed nimi, a słowo „Gandad” odmieniane przez wszystkie przypadki padało w tych rozmowach o wiele częściej niż inne. Bynajmniej nie brzmiało przyjaźnie. Na wielkim placu pod pomnikiem starego księcia Hasalda – któremu od niedawna towarzyszył też

Emeryk – trwało jakieś zgromadzenie. Ludzie trzymali w rękach płonące pochodnie i okrzykami wyrażali wzburzenie.

– Precz z Gandadem! – wołali. – Niech żyje Sorgia!

Nagle rozległy się posykiwania i tłum zaczął się uciszać. Na ustawioną pod pomnikami trybunę wyszedł minister Alferyk. Gestem ręki starł z placu resztki zgiełku i donośnym głosem przemówił:

– Obywatele Sorgii! Plunięto nam w twarz! Wymierzono policzek! Zbezczeszczono! Posąg księcia Gandadu w samym sercu naszej stolicy? Hańba! Niemały trud zadał sobie ten, kto przywłókł go tu nocą! Po co to zrobił, pytacie? Spójrzcie tylko. Czyż nie zasłania naszego księcia Hasalda? Nie góruje nad nim? Nie rzuca cienia? Nadal nie wiecie po co? To ja wam powiem po co. Po to, żeby nas obrazić! Każdego Sorgijczyka i każdą Sorgijkę! Ale Sorgia to dumny kraj. Potrafimy bić się o honor! Przytniemy mieczem gandadzką pychę! Jeszcze księżę Ulryk pieszo przyjdzie do bram Sorgii! Jeszcze osobiście zaprzęgnie się do wozu! Jeszcze poganiany okrzykami naszych sorgijskich dzieci zawlecze z powrotem za rzekę tę pokraczną gandadzką kukłę!

Tłum zafalował, podniosły się zaciśnięte pięści, zaczerwieniły twarze. Gdyby ktoś w tej chwili rzucił hasło do walki, ruszyliby jak stali – na bój, na Ulryka, na Gandad!

– Ludzie! Opamiętajcie się! – zawołał przerażony Sorgal. – To wielkie nieporozumienie! W Gandadzie myślą, że to wy zabraliście posąg! Uspokójcie się! Porozmawiajmy! Ktoś chce nas wciągnąć w tę wojnę!

Nagle jakiś głos w tłumie krzyknął:

– Gandadzki szpieg!

– Łapać gandadzkiego szpiega! – podchwycili inni.

Dziesiątki ramion wyciągnęły się w stronę obcego i kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie szybkie nogi i ciemny wylot jakiejś wąskiej uliczki, w którą można było dać nura.

Kiedy następnego dnia Sorgal przeprawił się z powrotem przez rzekę, po gandadzkiej stronie granicy zbierało się już wojsko. Na brzegu sorgijskim coraz częściej zaczynały pojawiać się konne patrole. Żołnierze z obu stron krzyczeli do siebie przez wodę i groźnie wymachiwali bronią. Wojna wisiała na włosku. Podobno sam księżę Ulryk ruszył już z Gandadu na czele głównych sił i lada chwila spodziewano się go przy którejś

z rzecznych przepraw. Nawet tego jednego dnia nie wytrzymał, pomyślał z żalem Sorgal.

Na razie jednak nie stało się jeszcze nic, czego nie dałoby się cofnąć. Nie wystrzelono pierwszej strzały, nie spłynęła pierwsza kropla krwi, nie spłonęła pierwsza strzecha. Czas pędził nieubłaganie, ale jeszcze można było zatrzymać szaleństwo. Roztrzęsiony Sorgal usiadł na skraju drogi i nerwowo gryząc paznokcie, usiłował zebrać galopujące myśli. Komuś zależało na rozpętaniu wojny – co do tego nie miał wątpliwości. Awantura z pomnikiem nie była ani chuligańskim wybrykiem, ani kradzieżą, ani demonstracją siły, ani nawet głupim żartem. Ktoś wymyślił ją po to, żeby Sorgia z Gandadem skoczyły sobie do gardeł. Tylko po co? Kto mógłby tego chcieć? – gorączkowo zastanawiał się Sorgal. Ktoś, komu jest lepiej z wojną niż z pokojem, odpowiadał sam sobie. Ktoś, kto korzysta na wojnie. Zarabia na czymś, co jest potrzebne tylko w czasie wojny! Na przykład na...! Skoczył na równe nogi i trzepnął się w czoło, aż plasnęło.

– Przecież to oczywiste! – krzyknął i pognał w stronę pobliskiej gospody.

Tam wynajął wierzchowca i puścił się pędem na spotkanie księcia Ulryka. Wmawiał sobie w duchu, że jeszcze nie jest za późno, a jednocześnie drżał na myśl, że jednak się myli. Kiedy za którymś z kolejnych zakrętów ujrzął przednie strażę książęcej armii, omal nie krzyknął z radości.

– Prowadźcie do księcia! – rozkazał. – To sprawa życia i śmierci!

– Kim jesteś, panie? – zapytał rycerz z sumiastym wąsem jadący na czele oddziału.

– Jestem Sorgal, syn Ermolda, książęcy druh i doradca!

Dowódca straży skłonił się z szacunkiem i powiedział:

– Książę cię oczekuje, Sorgalu, synu Ermolda. Mam rozkaz wskazać ci drogę. Bądź łaskaw udać się ze mną.

Gestem przywołał trzech rosłych jeźdźców i w takiej to godnej eskorcie ruszył Sorgal w dalszą drogę do księcia. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, zwłaszcza że zamiast trzymać się głównego gościńca odbili na zachód i przedzierali się mozolnie wąską leśną ścieżką.

– Miniemy łukiem główne siły – wyjaśnił wąsaty rycerz. – Nie chcę przebijać się przez ciżbę wojska.

Kiedy po godzinie nadal oddalali się od gościńca, zamiast, jak nakazywała logika, zataczać krąg ku południowi, zdziwiony Sorgal zapytał,

czy na pewno nie zmylili drogi. Dowódca eskorty zbył te obawy niedbałym gestem.

– Bądź spokojny, panie – powiedział. – Książę Ulryk zmierza ku granicy Zachodnim Traktem. Dla bezpieczeństwa i wygody. Tam się na pewno na niego natkniemy.

Nie spotkali jednak Ulryka na Zachodnim Trakcie. Gościniec był pusty, a ślady na błotnistej drodze nie wskazywały na niedawny przemarsz licznego oddziału. Zaniepokojony Sorgal spojrział ukradkiem na towarzyszy podróży i przeszło mu przez myśl, czy go za nos nie wodzą. Czy celowo nie kluczą. Czy sztuczek nie próbują, by go przed oblicze Ulryka nie dopuścić. Gdy więc skręcili w stronę Gandadu, skąd ponoć najpewniej zbliżała się książęca drużyna, spał nagle konia, obrócił na zadzie i puścił się dzikim galopem prosto ku granicy. Usłyszał przekleństwa i groźby, świst strzał i tętent za plecami. Przez chwilę czuł na karku gorący oddech pogoni, ale potężni jeźdźcy w ciężkim bojowym rynsztunku nie byli w stanie dotrzymać mu kroku.

Kiedy dotarł z powrotem nad rzekę, zaczynało się ściemniać. Wielka armia Ulryka rozłożyła się obozem na nadbrzeżnych łągach. Płonęły ogniska, warzono strawę, stukwały młotki cieśli zbijających tratwy. Najwyraźniej decyzje już zapadły. Szykowano przeprawę. W gandadzkim obozie panował gwar i podniecenie. Powiewały proporce, rżały konie, zgrzytały ostrzone miecze. Przed ogromnym namiotem zasiadł w złocistej zbroi sam książę w otoczeniu doradców i dworu. Dowódcy oddziałów meldowali gotowość do walki. Każdy przyklękał przed Ulrykiem, a ten kładł im dłoń na głowie i mówił:

– W rękach twych honor Gandadu.

Promieniał przy tym blaskiem, jakiego wcześniej u niego nie widywano. Czuł, że jego pewność i moc udzielają się wojsku. Dlatego skrzywił się z niesmakiem, słysząc odgłosy szamotaniny i kłótni dochodzące gdzieś z obrzeży uroczystego zgromadzenia. Ktoś próbował przedrzeć się przez strażę, ktoś usiłował do tego nie dopuścić. Szarpano się, krzyczano, grożono.

– Jestem Sorgal, syn Ermolda! – wołał rozpaczliwy głos.

Ulryk szepnął coś do jednego ze stojących obok dworzan, a ten zaniósł strażom książęce polecenie. Po chwili dwóch obozowych pachołków

wprowadziło mocno poturbowanego Sorgala. Włosy miał zmierzwione, twarz czerwoną od krzyku, a w oczach błyskawice.

– Ulryku! – zawołał. – Przerwij to szaleństwo! Jest jeszcze czas! Oszukano cię!

Minister Mildur szepnął księciu do ucha:

– Każ mu zamilknąć, książę. Ludzie nie powinni tego słuchać. To osłabi w nich ducha walki.

Lecz Sorgal mówił dalej, nie czekając na zgodę:

– To nie Bendolf chciał tej wojny! To nie ty jej chciałeś, książę! Ktoś chciał jej za was!

Ulryk skrzywił się z niechęcią i nerwowo strzelił kostkami u palców.

– A ty mi pewnie powiesz kto – mruknął zgryźliwie.

– Tak, książę – odparł Sorgal niezrażony tym tonem. – Chciał jej ktoś, kto dzięki niej nabije sobie sakiewkę. Już mu ciąży u pasa, choć nawet nie ruszyliśmy w pole.

– Nie czas na zagadki, Sorgalu! – zniecierpliwiał się książę. – Mam wojnę do wygrania!

Młody syn alchemika przepaszająco uniósł ręce.

– Słusznie, książę – powiedział. – Już zmierzam prosto do celu. Czy pytałeś kiedyś swojego ministra, co robił, zanim wstąpił do służby?

– A co to ma do rzeczy? – zachnął się Mildur i nagle oczy zebranych przeniosły się na niego.

– Odpowiedz, Mildurze – rozkazał Ulryk. – I skończmy już tę nedorzeczną rozmowę.

Minister zrobił minę skrzywdzonego, lecz równocześnie zerknął ukradkiem, jakby upewniał się, gdzie strażę stoją najrzadziej.

– Przecież wiesz, książę, że byłem tylko skromnym rzemieślnikiem – zamruczał przymilnie. – Ot, drobny warsztat i tyle.

– Wyrabiał broń i tarcze, Ulryku! – uściślił za niego Sorgal. – Pamiętasz nasze pierwsze miecze do ćwiczeń? Mildurki – tak się na nie mówiło. Swoją drogą były znakomite, Mildurze! Tylko że mało kto je kupował, prawda?

Minister nie odpowiedział.

– Ale teraz już lepiej się sprzedają, co?

Mildur wzruszył ramionami i pogardliwie wyduł wargi.

– A co słytać u Alferyka? – spytał Sorgal znienacka. – Pewnie u niego też teraz ruch w interesie?

Na dźwięk imienia sorgijskiego ministra Mildur spurpurowiał z wściekłości.

– Tego już za wiele! – krzyknął. – Pozwolisz, książę, by ten młokos obrażał twojego wiernego sługę? Cóż może mnie obchodzić Alferyk?

Nagle sam Ulryk zmarszczył brwi, jakby coś mu się zaczęło przypominać.

– Alferyk? – mruknął sam do siebie. – Czy to nie on miał kiedyś wytwórnię kusz w sorgijskim podgrodziu?

– Pamięć cię nie myli, książę! – ucieszył się Sorgal. – Wyrabiał świetne kusze. Tylko że pokój nie służył interesom. Dlatego wkradł się w łaski Bendolfa i marzył o awanturze. A żeby nie czekać zbyt długo, wraz z kolegą zza rzeki wpadli na pewien pomysł. Ciężki jest taki posąg, Mildurze?

Zapadła cisza. Ulryk, wyraźnie zdezorientowany, przyglądał się na przemian to Sorgalowi, to ministrowi. Pierwszy uśmiechał się triumfalnie, drugi szyderczo wykrzywił usta.

– Co masz do powiedzenia, Mildurze? – cicho zapytał książę.

Minister skłonił się w stronę Sorgala i zaklaskał w dłonie.

– Brawo, brawo, brawo! – zawołał. – Przyznaję się! Na spółkę z Alferykiem wywieźliśmy pomnik Emeryka do Sorgii, żeby wywołać wojnę! Czy ty nie słyszysz, książę, jak niedorzecznie to brzmi? Zaprawdę, Sorgalu, wart jesteś tych wszystkich pieniędzy.

– Jakich pieniędzy? – wykrztusił Sorgal.

– Oj, Sorgalu, Sorgalu. Przecież to całkiem zrozumiałe, że Bendolf jest ci wdzięczny. Twoje usługi są dla niego bezcenne. Masz dostęp do księcia Ulryka. Możesz mu szepnąć dowolne kłamstwo. Możesz wprowadzić zamęt w gandadzkie szeregi, osłabić naszą wolę walki, wystawić na ciosy, doprowadzić do zguby... Ile warta jest wdzięczność Bendolfa?

Zuchwałość tego kłamstwa tak zdumiała Sorgala, że słów mu zabrakło, gardło wyschło, a język skamieniał. Wytrzeszczył tylko oczy i słuchał w milczeniu, jak Mildur tka swoją sieć.

– Milczysz, Sorgalu? – spytał minister. – Czy to dlatego, żeś właśnie wrócił zza rzeki? Ile przywiozłeś z Sorgii, Sorgalu? „Z Sorgii, Sorgalu” – zauważyłeś, książę, podobieństwo brzmienia?

– Sorgal sorgijskim szpiegiem? – zawołał zdumiony Ulryk.

– Chyba w to nie wierzysz, książę! – krzyknął młodzieniec, a twarz mu zbieleła jak papier.

Tymczasem szmer zgrozy niósł się z ust do ust, pełzył po szeregach i już po chwili cały obóz coraz głośniejsze i coraz gniewniej wykrzykiwał rytmicznie:

– Szpieg! Szpieg! Szpieg! Szpieg!

Krzyczano tak jeszcze długo po tym, jak strażnicy wywlekły Sorgala przed książęcego oblicza, ucichł brzęk łańcucha i zgrzytnął żelazny skobel polowego aresztu. A kiedy tłum nieco ochłonął, Ulryk – z początku zdenerwowany, lecz z czasem coraz pewniejszy – wygłosił wojenną przemowę. Na zakończenie dobył miecza i krzyknął potężnym głosem:

– A oto druh mój wierny, równie jak ja spragniony sorgijskiej krwi!

– Dalej już wiesz, co było – zakończył dziesiąty z Sorgali.

– Łubinowe Pole – mruknął jedenasty. – A co z nim? Poszedł pod topór? Ojciec pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Po zwycięstwie Ulryk był na tyle łaskawy, że polecił przeprowadzić śledztwo. Nie znaleziono dowodów szpiegostwa, a Mildur stwierdził, że źle go zrozumiano. Twojego przodka uwolniono, ale tchórzostwa Ulryk nigdy mu nie wybaczył.

– Przecież to nie było tchórzostwo! – oburzył się chłopak.

– Jak to? – udał zdziwienie ojciec. – „I błaga księcia nędzny tchórz: «Nie idźmy bić się, panie! »”. Mówi ci to coś?

– Oj, przestań, tato! A nie mógł ten nasz przodek wyjaśnić ludziom, jak było naprawdę?

Sorgal senior uśmiechnął się blado.

– Próbował, synu – powiedział. – Spisał nawet wspomnienia i wydał je drukiem. Miał nadzieję, że ludzie w Gandadzie przeczytają i zwrócą mu utracony honor.

– I co? – gorączkował się chłopak.

– I nic. Książę Ulryk kazał spalić wszystkie egzemplarze, a tych, których nie udało się zniszczyć, i tak nikt nie czytał.

– Dlaczego? – zawołał Sorgal junior.

– Dlaczego zniszczył czy dlaczego nikt nie czytał?

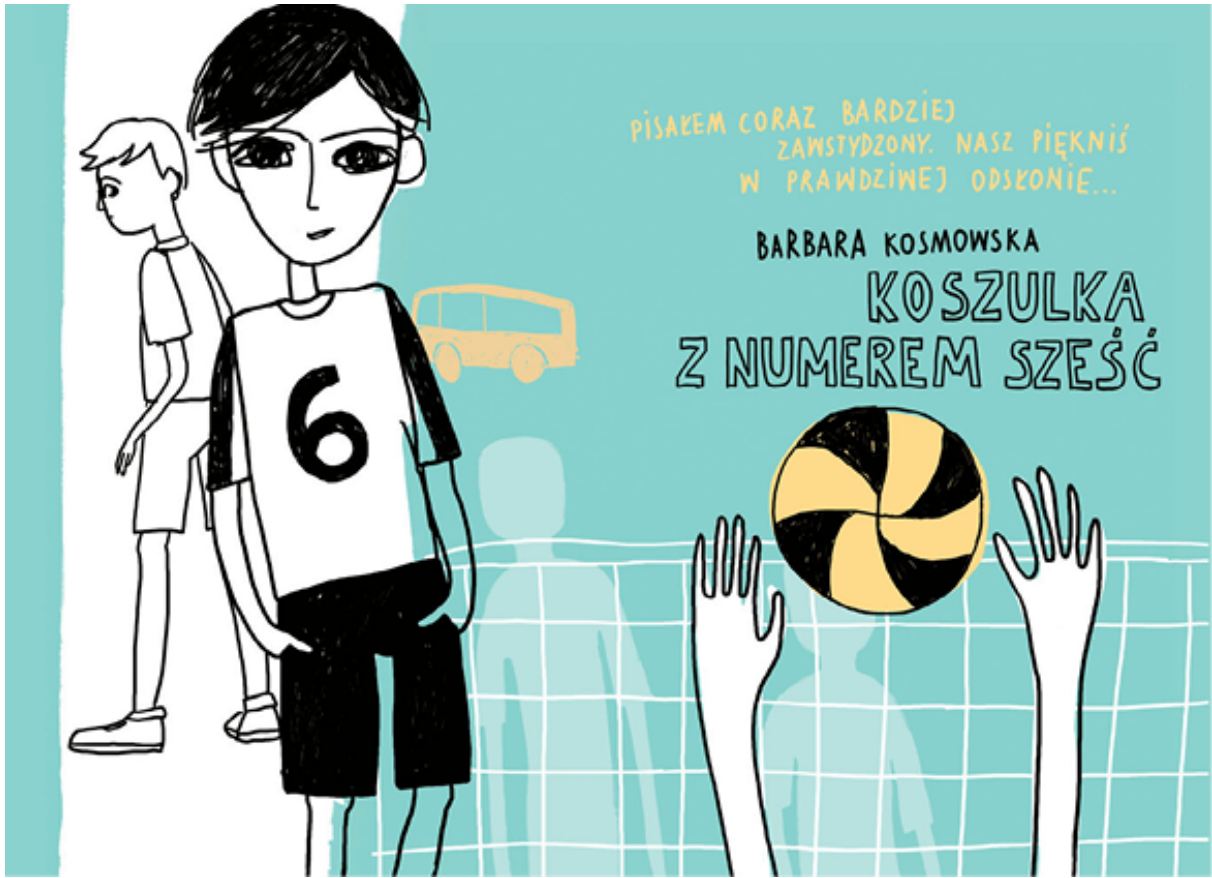
– I to, i to.

– Cóż, Sorgalu – westchnął ojciec. – Książęta nie lubią wychodzić na głupców, a ludzie wolą łatwych bohaterów.

PISAKEM CORAZ BARDZIEJ
ZAWSTYDZONY. NASZ PIĘKNIŚ
W PRAWDZIWEJ ODSEKONIE...

BARBARA KOSMOWSKA

KOSZULKA Z NUMEREM SZEŚĆ



SPRAWIEDLIWOŚĆ jest trudniejszą formą uczciwości. Polega na równoprawnym traktowaniu ludzi – bez względu na ich wygląd, majątek, pochodzenie czy pozycję społeczną. Sprawiedliwe traktowanie nie oznacza jednak „zawsze tak samo” i „zawsze po równo”. Nie byłoby sprawiedliwe ani mądre nakładanie takich samych obowiązków na trzylatka i jego tatę, ani obdarowywanie wszystkich uczniów w szkole takim samym tomikiem poezji. Sprawiedliwość wymaga dostosowania decyzji do konkretnej osoby lub grupy oraz do sytuacji. Wymaga więc rozwagi, obiektywizmu, dobrej woli, wiedzy i doświadczenia.

Ważne jest też, by umieć sprawiedliwie oceniać własne postępowanie, nie żądać dla siebie przywilejów, wносить swój wkład we wspólnotę, przyznać się do winy i zadośćuczynić.

Niesprawiedliwość – faworyzowanie kogoś lub dyskryminowanie – rodzą poczucie krzywdy, złość i bunt. Poczucie sprawiedliwości tworzy natomiast dobry klimat w grupie i chęć do współdziałania.

Piękniś. Tak go nazwali, gdy po raz pierwszy stanął w drzwiach klasy. Od miesiąca, a konkretnie od dnia, kiedy trener powiedział, że zasili drużynę nowy stypendysta, wyobrażali sobie tę chwilę. Każdy po swojemu. Zdaniem Bena, rozgrywającego, miał to być dryblas z kapitalnym serwem. Awers, słynący z awersji do wszystkiego, upierał się, że dołączy do nas na pewno jakiś byczy koleś. Tak się wyraził! Że byczy. „Niekoniecznie wysoki, bo wysokich w drużynie nie brak. Brak skutecznych...”, mądrzył się, przedrzeźniając trenera. Lolo, słynący z pesymizmu, z góry założył, że ktokolwiek by przyszedł, finał i tak przypadnie dwóm innym szkołom.

– Nie oszukujmy się, panowie! – grzmiał pod prysznicem po ostatnim treningu. – Daliśmy ciała w trzech meczach. Tu potrzeba cudu, a nie świętego siatkarza!

Celowo stroniłem od tych dyskusji. Jako kapitan naszej drużyny starałem się – jak uczył mnie trener – być tym sprawiedliwym. Słuchać i mądrze odnosić się do wszelkich drużynowych rozmów i kłótni.

Lolo miał rację. Odrobienie punktowych strat graniczyło z cudem. Za chwilę Puchar Najlepszych po raz pierwszy w historii naszej szkoły mistrzostwa sportowego trafi w niepowołane ręce patałachów, którzy mieli więcej szczęścia niż rozumu w tegorocznych rozgrywkach. Serce bolało...

– To niesprawiedliwe. Ostatnie mecze powinny być unieważnione – biadolił Marcepan. – Ewidentnie mieliśmy pecha, a sytuacje losowe powinny być brane pod uwagę – kombinował, budząc tylko żalosne uśmiechy reszty zespołu. I trenera.

– Sytuacje losowe? A więc wasze lenistwo i pewność siebie to teraz sytuacja losowa, a nawet pech? – zaśmiał się ponuro nasz Mistrzuniu w progu szatni.

Nawet nie komentował dłużej zasłyszanej przypadkiem rozmowy. Machnął ręką i poszedł. A tą ręką machnął jakby na nas, na te nasze żalosne narzekania i szukanie winy wszędzie, tylko nie tam, gdzie tkwiła niczym zatruta strzała: w naszych sumieniach.

– Chyba o mnie ta gadka – westchnął Marcepan, kiedy trzasnęły drzwi za trenerem. – Nie byłem na trzech treningach, bo wolałem swój nowy rower...

– A na czwartym nie mogłeś ruszyć ręką, tak się załatwiłeś – przypomniał mu zgryźliwie Kinol.

– Ty, Kinol, nie bądź taki bohater! – Lolo uśmiechnął się kwaśno. – Ostatnio częściej widzieliśmy cię z Anką w kinie niż na boisku!

– Skoro widzieliście mnie z Anką w kinie, to znaczy, że was też nie było na boisku. – Kinol, czuły na punkcie Anki, już gotował się do walki nie tylko na słowa. Aż pożałowałem, że nie jest taki wyrywny, gdy przegrywamy kolejny set.

– Przestańcie – uciałem dalsze złościwości, gdy temperatura wzajemnych pretensji zaczęła zagrażać naszej przyjaźni. – Koniec z oskarżeniami – ciągnąłem, gdy umilkli, patrząc na mnie z nadzieją, że może poprawię im humory. Ale nawet najlepszy kapitan nie zmieni kiepskiej punktacji turnieju w tablicę zwycięstwa.

– Dostajemy wsparcie – tłumaczyłem. – Przyjmijmy życzliwie nowego. Weźmy się do roboty, zacznijmy trenować. Piłka jest okrągła, a nadzieja tylko w nas – zakończyłem, jakbym był już trenerem.

Ale nie machnąłem ręką na kolegów tak jak on. Chciałem wierzyć, że nie wszystko stracone.

Od tamtej pory minęło kilka dni, a teraz stał na środku klasy uśmiechnięty chłopak. Ani wysoki, ani byczy, jak chciał Ben. Raczej taki do podawania piłek niż napastnik.

Kiedy spojrział na nas i odczytał rozczarowanie w oczach całej klasy, przestał się uśmiechać.

– Cześć. Jestem Mateusz – powiedział. – Mam dołączyć do waszej drużyny.

I usiadł. Ani słowa o siatkówce! Jak długo gra, z kim, jakie turnieje zaliczył i na ile jest skuteczny w serwach... Nic na ten temat!

Marcepan nie wytrzymał i zapytał nowego wprost, czy nie zechciałby powiedzieć kilku słów o sobie i piłce...

– Słowa to słowa – odparł Mateusz z uśmiechem. – Zagramy mecz i ocenicie, czy odpowiada wam moje myślenie o siatkówce.

Byliśmy poruszeni i gdy tylko dzwonek uwolnił nas od obowiązku udawania, że rozumiemy poezję Asnyka, pędem ruszyliśmy do szatni przy

salce gimnastycznej.

– Żarty jakież! Kabaret! – grzmiał oburzony Lolo. – Trener pomylił imprezy! Miał dojść ktoś na boisko, a nie na ściankę celebrytów!

– Jaki cienias! – wpadł mu w słowo Ben. – I on ma zastąpić naszego Kose? To ściema! ... „Myślenie o siatkówce” – słyszał ktoś? Stypendium jest za grę, nie za myślenie! Filozofa nam tu nie potrzeba!

– Jedna wielka niesprawiedliwość! – wtórował oburzony Maciek, nasz Kosa, którego nowy miał zastąpić na boisku. – Rozumiem, wprowadzić na moją pozycję supergościa, ale żeby takie coś w sam raz na ozdobę szkolnej gazetki miało grać za mnie?

– Wróćmy do tej rozmowy za parę godzin, po treningu – zaproponowałem, krzywiąc się, że zawsze muszę przemawiać niczym wychowawca klasy. Bo i mnie przeraził widok Pięknisia. Nie na niego czekaliśmy. Nasze nadzieje na odzyskanie pucharu topniały w takim tempie, w jakim rosła niechęć do trenera. Dotąd był nieomylny, a tu proszę, taka porażka...

Po południu Mateusz jeszcze dobrze nie stanął na boisku, a już zgromadził wianek widzów w postaci dziewczyn z naszej szkoły. Usiadły zaintrygowane na trybunach, budząc wściekłość całej drużyny.

– Nie ma sprawiedliwości – westchnął Kinol, wyławiając w kolorowym tłumie Ankę. – Nie pamiętam, żeby obchodziły ją moje mecze, a tu proszę! Znalazła czas, żeby kibicować Pięknisiowi!

W tej kwestii byliśmy zgodni. Każdy z nas dostrzegł wśród obserwatorów koleżankę, która wcześniej nie przyszłaby na trening, choćby ją ciągnięto końskim zaprzęgiem. A teraz nasze dziewczyny zgodnie wychylały się zza barierek, śledząc koszulkę z numerem sześć. Wystarczyło, że miał ją na sobie uśmiechnięty ciemnowłosy chłopak, o którego istnieniu nie mieliśmy do dzisiaj szczęśliwie pojęcia.

– Wyłoży się, zobaczcie! – szeptał błagalnie Marcepan, jakby zapomniał, że powinniśmy mieć inne pobożne życzenia.

Szybko zmieniliśmy zdanie.

Podczas ćwiczeń i próbnych serwów, a także późniejszych rozgrywek dawaliśmy z siebie wszystko. Piękniś, nawet jeśli mocno się starał, wciąż

wyglądał jak chłopak, który wpadł pograć dla przyjemności w siatkówkę plażową. Kiedy on się bawił w najlepsze, my ledwo staliśmy na nogach, bezradni wobec silnych serwów nowego i ścięć, jakie widywaliśmy wyłącznie na filmikach pogładowych. Nic dziwnego, że trybuny wiwatowały tylko po zagraniach nowego napastnika.

– Zero sprawiedliwości – nie przestawał narzekać Kinol, gdy na chwiejnych nogach wracaliśmy z treningu.

Pozostali przytakiwali mu w milczeniu, kuśtykając i słaniając się ze zmęczenia.

– Czy nam się Piękniś podoba, czy nie, musicie przyznać, że teraz możemy przynajmniej pomarzyć o zwycięstwie – rozpocząłem z nadzieją na choćby echo entuzjazmu.

Ale odpowiedziała mi tylko zgodna cisza, w której się rozstaliśmy na pierwszym skrzyżowaniu za szkołą.

Żaden z nas się nie spodziewał, że to zaledwie początek kłopotów wywołanych obecnością nowego zawodnika. Jego pojawienie się w naszej drużynie i życiu miało poczynić znacznie większe spustoszenia. Przesuwać nas na niewidzialnej tabeli sukcesów w stronę jakiegoś wielkiego nieistnienia. Nas! Królów szkoły! Liderów osiedla! Nietykalnych, jak z dumą o sobie mawialiśmy. Wiadomo! Klasa sportowa złożona z samych chłopaków, powiedziałbym, nawet asów, nie miała dotąd żadnej konkurencji. Kto by się więc spodziewał, że jedno nierozsądne posunięcie trenera i wygrzebanie z jakiegoś kosmosu tego całego Mateusza ściągnie na nas pasmo gorzkich rozczarowań i uderzy w zbiorową męską dumę. I nawet jeśli trener razem z dyrekcją nie mieli takich zamiarów, stało się najgorsze. Nasza duma z dnia na dzień doświadczała kolejnych upokorzeń. Ulatniała się jak bezwonny gaz, przez który ostatnio chemiczka postawiła nam zbiorowego gola.

O tym, że Piękniś jeździ konno i zdobywa jakieś medale, powiedziały nam dziewczyny. Nie żeby się im chwalił... Raczej trzymał się od dziewczyn z daleka, co też nas niepokoiło. Za to one śledziły go i podglądały w realu

oraz wirtualnie z jakąś niezrozumiałą dla nas pasją. Jakby nowy kolega był świeżo odkrytą modną dyscypliną sportową. Błyskawicznie zdobyły garść kładących nas na łopatki wieści. Zdjęcie uśmiechającego się do tłumu dziennikarzy Pięknisia trzymającego za uzdę zwycięskiego konia obiegło szkolną sieć z szybkością światła i na stałe przyozdobiło fejsbukowe tło najładniejszych koszykarek z żeńskiej klasy. Zewsząd patrzył na nas młody, przystojny jeździec, prezentujący fotoreporterom zdobyty krążek.

– Koszmar! – sapał przerażony Kinol. – To jakiś zły sen! Nawet Anka na swojej stronie udostępniła relację z tego wydarzenia...

– Mam awersję do gostka – powtarzał do znudzenia Awers, uchodzący dotąd za najprzystojniejszego siatkarza.

Już od kilku tygodni chodził poirytowany. Monika z klasy lekkoatletycznej przestała odpowiadać na jego esemesy. Wiedzieliśmy, co się święci. Ktoś widział Monię, jak ukryta za wiatą przystanku wypatrywała, kiedy z szóstki wyskoczy Pięknis, i jak niby przypadkiem wpadała na niego, proponując wspólną drogę do szkoły.

– To niesprawiedliwe – żalił się Awers na każdej przerwie. – Pojawić się znikąd i zgarniać nam sprzed nosa nasze...

Zwróciłem mu uwagę, że trochę przesadza. Monika dotąd nigdy nie była „czyjaś”. Poza tym ten cały Mateusz starał się być w porządku wobec wszystkich. Także nas, chłopaków, o czym również głośno powiedziałem.

– Ciebie też kupił? – zapytał drwiąco Marcepan.

Poczułem się fatalnie. Bo słowa Marcepana, niesprawiedliwe i dość podłe, były wymierzone w moje poczucie uczciwości. Starałem się jak mogłem, żebyśmy w tym gniewie na nowego nie przesadzili. Na ogół graliśmy fair i byliśmy fair wobec siebie, więc dlaczego nagle wszystko się zmieniło.

Poprosiłem trenera o rozmowę.

– O Mateuszu bez Mateusza – wyjaśniłem mu krótko.

Żachnął się, bo nie znosił personalnych wycieczek. Nie rozumieliśmy, jakie to wycieczki, dopóki Kosa nie usłyszał od trenera, że w tym sezonie siatkarskim jest na boisku *persona non grata*. Sprawdził w słowniku, w czym rzecz, i wszystko się wyjaśniło. Kosa to niby intruz, człowiek niechciany.

– Sprawa jest pilna – podkreśliłem, żeby tym razem zrobił wyjątek.

Pokój trenera, zavalony pucharami, był szczególnym miejscem w szkole. W obliczu tylu zwycięstw, za którymi stał nasz Mistrzuniu, każdy, kto tu wchodził, czuł się pionkiem w jego wieloletniej karierze.

– W czym rzecz? – zapytał krótko, wskazując mi miejsce nieopodal biurka.

Referowałem nasze wątpliwości rzeczowo i niemal po żołniersku, opuszczając niektóre fakty (przezwisek Pięknis, powodzenie wśród dziewczyn i zawrotną karierę nowego w internecie). Skupiłem się na niechęci kolegów do zawodnika, który jakby do nas nie pasuje i budzi w całej drużynie agresję. Na nic moje prośby o pokojowe przyjęcie kolegi, wszystko wskazuje na to, że trudno będzie stworzyć wspierający się zespół...

– Tak to oceniam – dodałem speszony, widząc minę Mistrzunia.

Zaczynałem żałować, że w ogóle tu wszedłem.

– Zrozumiałem – trener wziął tak głęboki oddech, że poczułem na karku zimny pot – że panowie siatkarze, lenie, niedorajdy i wałkonie, zamierzają obrazić i wyautować najlepszego napastnika. I jak sądzę – podniósł głos o kilka pięt, krzycząc na całą salę gimnastyczną – nie chodzi tu o znakomite umiejętności nowego gracza, a o jego inne sukcesy! Słowem zazdrość! – zaryczał, aż się skuliłem, przerażony zarówno siłą jego głosu, jak i przenikliwością. – No więc, kapitanie, co pan proponuje? – Wbił we mnie pytające spojrzenie. Jedno z tych, które mogą zabić.

– Neeee wieeem – jękałem się, patrząc tępo w parkiet. – Miałem nadzieję, że może trener...

– Dobrze, że miałeś nadzieję w czasie przeszłym, synu. – Mistrzuniu wynalazł gdzieś okropnie przebiegły uśmiech. – A teraz posłuchaj, bo zajmiemy się moją nadzieją. Nie mam pojęcia, jak to zrobisz, ale zależy mi, aby wasz nowy kolega został zaprezentowany na forum szkoły. I ty – strzelił do mnie wskazującym palcem – ty zajmiesz się tym osobiście! Mam nadzieję!

– To znaczy? ... – zawahałem się.

– To znaczy, że w tej swojej rubryce sportowej, z której od lat wieje nudą, umieścisz artykuł o Mateuszu. I nie ma to być wywiad! Nie znam skromniejszego chłopaka niż on. – Głos trenera nabrał jakiejś czulej i nieznaney mi wcześniej barwy. – Wiem o nim co nieco. Ale twoim zadaniem będzie zbadać i opisać tę niezwykłą, jak sądzę, biografię. I to tak,

żeby się nasz bohater artykułu nie dowiedział, że węszysz i depczesz mu po piętach. Rozumiesz? Masz to mistrzowsko rozegrać, tak jak was uczę. Celnie, szybko i skutecznie.

Wyszedłem od trenera załamany. Skąd on wie, że pracuję w szkolnej gazecie? Czyżby ją czytał? I ten pomysł... Niby jak artykuł jeszcze bardziej promujący nielubianego kolegę ma mu pomóc? A może Mistrzuniu nie zrozumiał, po co do niego przyszedłem?

Stuknąłem się w głowę. Przecież gdyby nie zrozumiał, nie wspomniałby o zazdrości! A więc wie, co boli jego wspaniałą szóstkę, a zwłaszcza zawieszzonego Kosę!

Wyszło na to, że jak zawsze Mistrzuniu wie wszystko, a nawet jeszcze więcej. Nie pozostawało mi nic innego, jak odpuścić sobie basen, choć to był wtorek, dzień, kiedy zawsze przychodziła Olka z klasy pływackiej. Przypadkowo ja także we wtorkowe popołudnia wpadałem popływać. A teraz zamiast podziwiać zgrabną sylwetkę Olki smętnie grzebałem w sieci z nieznośnym przekonaniem, że poza kilkoma fotkami Mateusza wirtualny kosmos nie ma pojęcia o jego istnieniu.

Myliliem się.

Moja drukarka szalała, wypluwając kolejne tabele zwycięstw i notek poświęconych „rewelacyjnemu młodzieńcowi”, „nadziei polskiej siatkówki”, „Złotemu Dzieciakowi z Zagórek”.

Z Zagórek??? Otworzyłem szeroko oczy. Czyżby stamtąd pochodził nasz atrakcyjny Mateuszek? Przecież to wiocha! Zapuszczone przedmieście, gdzie strach wieczorem stać na przystanku... Jak to możliwe, aby ta cała „nadzieja”, „rewelacja”, to „złoto” siatkarskie mieszkało w takim miejscu?

Chwyciłem za telefon. Już widziałem zdumione miny chłopaków i ich satysfakcję.

„Nareszcie jakaś sprawiedliwość! Nasza gwiazda świeci w Zagórkach! ”, będą mówili za plecami Mateusza, zacierając ręce.

Czy o to mi chodzi? Mnie, kapitanowi? ... Zrezygnowany odłożyłem komórkę.

Siedziałem podłamany przed stosem pochwalnych sportowych notek. Przyłapałem się na tym, że też zazdrozczę Pięknisiowi. I podobnie jak koledzy myślę, że to niesprawiedliwe, kiedy wpada do twojej szkoły, twojej klasy nieznany wczoraj typek i zabiera podziw trenera, sympatię dziewczyn, a co najgorsze – nasze przekonanie, że na boisku jesteśmy

świetni. Bo byliśmy świetni, dopóki nie pojawił się ten koleś nie wiadomo skąd... To znaczy już wiadomo! Z Zagórek...

– Jestem żaloszny – mruknąłem, biorąc się do dalszej pracy. – Nawet głupiutki czirliderki z podstawówki nie oceniają ludzi po adresie...

Materiałów o Mateuszu było sporo. W relacjach z wygranych meczów i turniejów szkolnej ligi siatkarskiej królowało jego nazwisko. Chwalony, oceniany jako „wielki talent”, wybijał się na tle innych juniorów. Znalazłem nawet wywiad, w którym polski trener kadry zachwycił się jego wszechstronnością i wróżył wielką karierę temu „magikowi z piłką”. Nigdzie jednak nie trafiłem na szeptane w szkole rewelacje, że Mateusz jest synem znanego sportowca, że trenował w Anglii i spędza z rodziną wakacje za granicą...

– Zagórki są małe – westchnąłem. – Trzeba zacząć poszukiwania u źródeł. Na pewno jest tam jakaś szkoła, do której chodził. Albo przynajmniej jego kumple i boisko...

Autobus włókł się niemiłosiernie. Pomyślałem, że Pięknis ma pecha. Pół życia spędza w tym zatłoczonym ślimaku. Kiedy wreszcie wysiadłem, współczułem Mateuszowi jeszcze bardziej. Jeden przystanek, zamknięty dworzec i kury na ulicy. Nie sądziłem, że w pobliżu największego miasta są jeszcze takie miejsca. Za to boisk tu rzeczywiście nie brakowało. Na każdym niemal nieużytku mali chłopcy kopali piłkę. Rozejrzałem się w nadziei, że z tego smutnego pejzażu wyrośnie nagle jakiś imponujący bogactwem pałac, gdzie mógłby mieszkać nasz królewicz. Ale jedynym w miarę cywilizowanym budynkiem była niewielka szkoła ukryta w gęstwinie przekwitłych bzów. Pusta o tej porze.

Na szczęście jakiś mężczyzna kręcił się wokół budynku. Zapytałem go, z kim najlepiej porozmawiać, i wyjaśniłem, dlaczego tu jestem.

– Piszę artykuł o Mateuszu Wesołowskim – zacząłem, ale mi przerwał.

– O naszym Mateuszku? – Miał minę, jakby codziennie ktoś tu przyjeżdżał i pisał artykuł o „ich Mateuszku”. – To najlepiej z panem Adamem, tym od wufu. Ale Mateusza wszyscy tu znają. Całe Zagórki...

– Pan też?

Pożałowałem pytania, bo woźny natychmiast rozsiadł się wygodnie na próchniejącej ławce i zaczął bez pośpiechu wspominać czasy, kiedy Mateusz był tu, w szkole, codziennie. Pożyczał szkolną piłkę i sam, samiuteńki odbijał o ściany budynku. Aż do zmroku.

– Ćwiczył sobie... – Woźny pokiwał głową, uśmiechając się do swojego wspomnienia. – Czasami to myślałem, że w tych ceglach w końcu dziurę zrobi. Taki był uparty.

Podziękowałem mu i już biegiem ruszyłem w stronę wskazanego domu.

– Szukam pana Adama. – Ukłoniłem się starszej pani.

A po chwili siedziałem na niskiej werandzie z tutejszym wuefistą.

– Co chwila ktoś przyjeżdża i pyta o niego, ale pierwszy raz taki młody dziennikarz – śmiał się pan Adam, częstując mnie herbatą.

Opowiedziałem mu szczerze, co mnie sprowadza do Zagórek. Spoważniał.

– Niechęć do Mateusza? Zazdrość? – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Jedyne, czego można zazdrościć temu chłopakowi, to walki, której nikt by nie chciał stoczyć – powiedział ze smutkiem i ruszył po jakieś zdjęcia.

Pokazał pierwsze. Chłopiec z kulami. Uśmiechnięty. Trochę jakby znajoma buzia, ale patrzę pytająco na swego rozmówcę.

– To Mateuszek. Ma siedem lat – płynie w ciszy werandy opowieść. – U Wesołowskich dzieci więcej niż domów w Zagórkach. I bieda. A ten urodził się z jakąś krótszą nogą czy niedowładem... Kuśtykał, bolało go, ale był wesoły. Jakiś doktor, który tu przyjeżdżał do rodziny, polubił Mateuszkę. Bo zawsze był uczynny, taki dzieciak do kochania. Doktor przekonał rodziców, że trzeba dziecko operować. Na leczenie i opiekę czasu nikt tu nie miał. Ale Mateusz obiecał doktorowi, że będzie grał w piłkę, jak inni chłopcy. I sam zaczął ćwiczyć. Zdolny był, w szkole same piątki... Przyjeżdżają do nas Anglicy, na kontrakty do stadniny. Mateusz, o, na tym zdjęciu ma już dziesięć lat, nauczył się z nimi rozmawiać. Kiedy i jakim cudem on po angielsku niczym dżentelmen zaczął mówić, nikt nie wie. Pani Krysia, bibliotekarka z Zagórek, znajdowała wprawdzie dla niego jakieś książki, ale żeby tak bez nauczyciela poradzić sobie z obcym językiem? ...

Potem była kolejna operacja. Doktor powiedział, że dzięki treningom Mateusza jest szansa całkiem go wyleczyć. Rodzice niechętni, bo wiadomo, dodatkowe wydatki, no i choroba w domu. Ale Mateusz się uparł. I sąsiedzi postanowili mu pomóc, bo go tu wszyscy lubili. My, nauczyciele, też.

A kiedy wyzdrowiał, po wielu miesiącach rehabilitacji i bolesnych ćwiczeń pojechał do Anglii, na zaproszenie rolników z Manchesteru. Dali mu tam nawet lekką pracę, opiekował się końmi. Przy okazji tak zaczął na nich jeździć, że chcieli go zatrzymać na stałe i pokazywać innym, jak należy dosiadać konia. Te pieniądze, co tam zarabiał, przywoził do domu. Pomagał rodzicom. A o braci i siostry dba bardziej niż o siebie. Taki już jest nasz Mateuszek... Za co się weźmie, doprowadzi do końca. Ale żeby się pochwalił, głowę zadarł... Nigdy!

Notowałem tę opowieść z wypiekami na twarzy. Pisałem coraz bardziej zawstydzony. Nasz Piękniś w prawdziwej odświeżeniu... Mały chłopiec, który musi najpierw wygrać z bólem i chorobą, żeby móc potem robić te wszystkie cuda na boisku.

Słuchając pana Adama, raz za razem myślałem: To niesprawiedliwe. I chociaż wuefista rozwiązał resztki mojej nadziei na rodzinną posiadłość Mateusza, sławnych rodziców i zagraniczne wojaże, właśnie poznawałem niezwykłego chłopaka, któremu zaczynałem naprawdę zazdrościć. Uporu i siły. A nawet tego uśmiechu, którym próbował nam coś ważnego powiedzieć. Że jest szczęśliwy.

Żegnając się, zapytałem, dlaczego Mateusz wybrał siatkówkę. Mógł przecież jeździć konno... Zresztą każdy sport, nawet pływanie, wymyślono jakby dla niego.

– Dobre pytanie – pochwalił mnie pan Adam. – Też mu je kiedyś zadałem. Odpowiedział, że chciałby nareszcie walczyć w grupie, w zespole. Z prawdziwymi przyjaciółmi. Zawsze te swoje boje toczył sam. Tęsknił do kolegów...

– Źle trafił – westchnąłem ponuro, wyjeżdżając z Zagórek. – Nawet te kule z dzieciństwa były bardziej pomocne i przyjaźniejsze od nas!

Wiozłem ze sobą historię, która trwała latami, a mnie zmieniała w ciągu godziny. Czy potrafię przekazać ją innym na tyle dobrze, by podziw zajęł miejsce niechęci?

– Sześciu sprawiedliwych. – Uśmiechnąłem się kpiąco pod nosem na samą myśl o naszej drużynie. – Łatwo nam się rozgrywało mecz przeciwko jednemu. Czas na rewanż...

Po kilku dniach zaniósłem artykuł trenerowi. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek bardziej się denerwował.

– Co? Pisarska trema? – zakpił, wciąż nie odrywając oczu od tekstu.

A kiedy skończył, podniósł na mnie spokojne oczy.

– Teraz już wiesz, dlaczego zagoniłem cię do pracy?

– Tak... nerze – wybąkałem z przestachem.

Trema mnie nie opuszczała.

– To... bardzo dobry tekst. Zapytam Mateusza, czy wyraża zgodę na druk. Ale niezależnie od tego, chcę, abyś zebrał drużynę i podzielił się ze wszystkimi tym, czego się dowiedziałeś. Oczywiście Mateusza zostaw w spokoju. On to wszystko zna. Dzień po dniu.

Zebraliśmy się jeszcze tego samego dnia. Późnym popołudniem.

– Co to? Wieczór literacki? – dowcipkowali chłopcy, zaglądając mi przez ramię.

– Tak jakby – odpowiedziałem lekko speszony. – Mistrzuniu nalega, abyście wysłuchali tego w spokoju – dodałem i zacząłem od tytułu: – *O chłopcu, co się kulom nie kłaniał...*

Powoli milkli. A przy kolejnym akapicie zapadła całkowita cisza. I trwała, gdy podniosłem wzrok znad kartki.

– Głupia sprawa – mruknął Marcepan.

– Paskudna – zawtórował mu Lolo.

– Skąd mogliśmy wiedzieć? – próbował bronić nas Kosa, ale i on zmarkotniał. Wzruszył tylko bezradnie ramionami i znów gapił się w okno.

– To co robimy, panowie? Bo ja proponuję zmianę taktyki. Na przyjaźń! – Kinol był szybki nie tylko na boisku.

Spojrzelśmy na niego z wdzięcznością.

– Przynajmniej to będzie... sprawiedliwe – dokończyłem, zanim przybiliśmy piątki. A właściwie sześć piątek...



KATARZYNA
TERECHOWICZ

...

WOJCIECH
CESARZ

BURZA

PIOTREK
ROZEJRZĄ SIĘ.
RZECZYWIŚCIE
ROBİKO SIĘ
NIECIEKAWIE, ALE
PO PIERWSZE BARDZO
NIE LUBİŁ REZYGNOWAĆ
ZE SWOICH PLANÓW,
A PO DRUGIE ORLA PERĆ TO BYŁA
JEDYNA SZANSA NA URATOWANIE
TWARZY PRZED KOLEGAMI.

WOLNOŚĆ jest prawem decydowania zgodnie z własną wolą. Właściwie rozumiana – ma jednak swoje ograniczenia. Żyjąc w społeczeństwie i na wspólnej planecie, nie mamy prawa do robienia wszystkiego, na co przyjdzie nam ochota. Nie można realizować własnej wolności kosztem innych – nie wolno nam ich krzywdzić ani łamać ich prawa do wolności, musimy uwzględniać także ich dobro, preferencje i interesy.

Filozof Erich Fromm w książce *Ucieczka od wolności* wprowadził rozróżnienie: wolność do... (do myślenia, wypowiedania się, wyboru przyjaciół lub form spędzania wolnego czasu itd.) oraz wolność od... (od niechcianego uczestniczenia w czyichś działaniach i ponoszenia ich skutków – na przykład hałasu, dymu tytoniowego czy prostackiego języka i wulgarnych reklam w przestrzeni publicznej, niemądrych ryzykownych zachowań, które mogą spowodować nieszczęście na ich autora, przykre konsekwencje na jego bliskich i koszty społeczne).

Fundamentem wolności jest szacunek wobec innych i wobec siebie, a jej niezbędnym elementem – odpowiedzialność.

Piotrek był wściekły. Jedyńka na świadectwie to przecież nic takiego! Rodzice byli niesprawiedliwi, posyłając go na wakacje do wujka zamiast na obóz survivalu. Fakt, że w tym roku rzadko bywał na lekcjach, ale nie on jeden wagarował i coś tam przecież umiał. Na pewno byli w klasie gorsi od niego. Ale wakacje miał zepsute – czekała go poprawka z matematyki, no i ta upiorna nuda na wsi.

Wuj Marian mieszkał w górach, był rzeźbiarzem i hodował owce. Każdy, kto przyjeżdżał do gospodarstwa, miał jakieś obowiązki, co strasznie wkurzało Piotrka, natomiast nie przeszkadzało Marcie, jego młodszej siostrze, która lubiła tam jeździć. Tego lata wuj poprosił Piotrka, żeby codziennie sprzątał owczarnię. Pomieszczenie nie było duże, a owiec ledwie dwadzieścia, w dodatku cały dzień spędzały w zagrodzie na pastwisku, ale chłopak nie był przyzwyczajony do domowych obowiązków. Zawsze jakoś udawało mu się od nich sprytnie wykręcić. Uważał, że każdy powinien robić to, na co ma ochotę, i nie znosił tych wszystkich durnych zasad, które inni próbowali mu narzucić.

Starał się negocjować z wujkiem warunki pobytu, ale Marian był nieugięty. Już pierwszego dnia Piotrkowi porobiły się odciski na rękach. Był potwornie zmęczony i cały czas narzekał, jednak nie zrobiło to na wujku wrażenia. Chłopak postanowił spróbować innego sposobu. Kolejnego poranka, przekrzywiony, pojękując z bólu, zszedł na dół do kuchni, gdzie Marta z Marianem jedli śniadanie.

– Piotrek? Co z tobą? – zaniepokoiła się Marta.

– Coś mi strzeliło w kręgosłupie, strasznie boli... – wyjęczał i opadł na najbliższe krzesło.

Wuj chciał natychmiast jechać z nim do lekarza, ale Piotrek przekonał go, że wystarczy mu po prostu odpoczynek. Zadowolony wrócił do swojego pokoju, gdzie spędził cały dzień, surfując po internecie i grając w gry. Owczarnię sprzątnęli Marian z Martą. Gorzej, że wieczorem zapomniał się i cudem ozdrowiały energicznie wskoczył na rower. Gdy wuj go zobaczył, tylko pokręcił głową.

– Jutro wracasz do swoich obowiązków, rozumiemy się? – rzekł surowo.

Zmieszany Piotrek niechętnie przytaknął i unikając wzroku wuja, szybko opuścił podwórko. Tego wieczoru pojechał aż do wylotu Doliny Kościeliskiej, żeby zapomnieć o matematyce, Marianie, owcach i zmarnowanych wakacjach.

Mijały dni, a on coraz bardziej skręcał się z nudów. Powinien się uczyć do poprawki (parę razy nawet próbował), ale nie potrafił się zmusić. I jeszcze na dodatek koledzy wysyłali mu co chwila odjazdowe zdjęcia z obozu, a on nie miał się czym pochwalić. Przecież nie sfotografuje owiec...

Czasami Marian zabierał ich na wycieczki w góry. Piotrka ciągnęło na trudniejsze szlaki, ale wuj był ostrożny, zawsze sprawdzał pogodę i powtarzał do znudzenia, że przed górami trzeba mieć respekt. Piotrka śmieszyło to gadanie – przecież Tatry to nie Himalaje, tylko zwykłe górki. Gdy wchodzili na Zawrat, Marian przystanął i pokazał w oddali ostro postrzępioną, groźną grań.

– Widzicie? To Orla Perc, najtrudniejszy szlak w Tatrach.

– Może ją zdobędziemy? – zapalił się chłopak.

– Może kiedyś... jak będziecie trochę bardziej doświadczonymi taternikami – uśmiechnął się wujek. – To naprawdę niebezpieczna trasa.

– Phi! Na Giewont wszedłem w godzinę. A inni się wlekli ze cztery...

– Patrz teraz pod nogi, dobra? – Wujek poklepał Piotrka po ramieniu. – I mocno trzymajcie się łańcuchów.

Ruszyli przodem, a wujek za nimi. Oczywiście Piotrek wszedł na szczyt pierwszy i zrobił selfie, które zaraz wysłał kolegom. Pomyślał, że większe wrażenie zrobiłaby na nich Orla Perc. Pewnie pękliby z zazdrości. Męczył wujka, żeby tam poszli, ale z Marianem nie było dyskusji.

Czasami wybierali się z Martą na Krupówki. Trochę połazić, pogapić się na ludzi, zjeść lody. Przynajmniej coś się działo. Zawsze to lepsze niż owce, których Piotrek serdecznie nienawidził. Ponieważ chłopak nie lubił stać w kolejce, wysłał po lody siostrę, ale i tak jego cierpliwość była nie raz wystawiana na próbę. Któregoś dnia, gdy znudziło mu się czekanie na pobliskiej ławce, zerwał się i krzyknął w stronę Marty:

– Co za baran siedzi w tej cholernej budzie! Chodź, idziemy stąd. Mam już dosyć tego piep... czekania.

Ludzie w kolejce poruszyli się nerwowo, a pani stojąca przed Martą powiedziała z irytacją:

– Może byś tak przestał się wydzierać? I uważaj na słownictwo. Nie każdy ma ochotę słuchać twoich przekleństw.

– Jest chyba wolność słowa? – rzucił zadziornie Piotrek. – To wolny kraj i mogę mówić, co chcę!

– Ja też żyję w wolnym kraju – stwierdziła pani z naciskiem. – I mam prawo tego nie słuchać, więc się zachowuj, bo nie jesteś sam.

Marta szybko odciągnęła brata, bo usiłował nadal prowadzić dyskusję. Lodów nie zjedli.

Znowu mijały bezbarwne, podobne do siebie dni. Pod koniec lipca Marian miał zjazd absolwentów swojej szkoły i wybierał się na weekend do Krakowa. Przed wyjazdem udzielił Piotrkowi i Marcie szczegółowych instrukcji.

Gdy tylko samochód wujka zniknął za zakrętem, Piotrek oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Marta, jutro idziemy na Orlą Perć.

– Ale wujek mówił...

– No, nie załamuj mnie – przerwał jej Piotrek. – Chyba masz swój rozum i nie będziesz go słuchać we wszystkim? – próbował wejść jej na ambicję. Potem pokazał siostrze mapę i szlak w telefonie. – Przejdziemy to w osiem godzin maks. Wjedziemy kolejką na Kasprowy, a dalej to już rzut beretem.

– Wydaje mi się, że nie powinniśmy... – Marta zawahała się.

– To nasza sprawa, co robimy, i wujkowi nic do tego. Żyjemy w wolnym kraju – uciął dyskusję i zarządził: – Wyruszamy jutro wczesnym rankiem.

Następnego dnia zerwał się o świcie. Zapowiadała się piękna słoneczna pogoda. Poszedł obudzić siostrę.

– Wstawaj, dzisiaj Orla Perć będzie nasza!

– Nie wygłupiaj się. – Zaspana Marta przecierała oczy.

– Nie mów, że pękasz. To nic takiego, taki trochę dłuższy spacer.

Awantura wisiła w powietrzu, więc Marta w końcu niechętnie wstała i poszła do kuchni szykować na drogę prowiant i termos z herbatą.

– Jak chcesz – prychnął pogardliwie Piotrek – ale ja nie będę nosił plecaka.

Przed wyjściem stoczyli jeszcze krótką batalię o buty i ostatecznie Piotrek zamienił tenisówki na buty trekkingowe.

Wjechali na Kasprowy Wierch pierwszym kursem. O tej porze nie było jeszcze wielu chętnych. Piotrek z ożywieniem rozprawiał o wspinaczce, wyprawach na K2 i słynnych himalaistach.

– Gdzie się wybieracie? – spytał starszy pan w góralskim kapeluszu, który od dłuższego czasu uważnie mu się przysłuchiwał.

– Na Orlą... – wypalił z wyższością Piotrek.

Mężczyzna zmierzył ich wzrokiem.

– Nie radzę. Może do Zawratu, ale to wszystko. Szykuje się załamanie pogody.

– Będzie lampa tak jak wczoraj i przedwczoraj, niech pan sam zobaczy. – Piotrek pokazał prognozę pogody w telefonie.

Góral tylko pokręcił głową i nic nie powiedział. Gdy wysiadali z kolejki, świeciło słońce, ale było wyraźnie chłodniej. Energicznie ruszyli żółtym szlakiem w kierunku Suchej Przełęczy. Szli dość szybko, bo trasa nie była specjalnie trudna, a zresztą byli tu niedawno. Piotrek nadawał tempo i cały czas pogaśniał Martę.

– Co się tak grzebiesz, siostra? Ruchy, ruchy...

Skręcili na czerwony szlak – trasa biegła granią i trzeba było zwolnić. Lekkie trudności zaczęły się po minięciu przełęczy Liliowe. Na Świnicę prowadziło bardzo strome podejście, jednak szlak był dobrze zabezpieczony i za pomocą łańcuchów doszli do rozgałęzienia. Czerwony szlak biegł dalej prosto i prowadził na Zawrat.

– Muszę odpocząć – powiedziała Marta, łapiąc oddech.

Zdjęła plecak i usiadła na skałce.

– Żartujesz? Dopiero wyruszyliśmy! – oburzył się Piotrek, ale po chwili usiadł obok siostry i sięgnął po kanapkę.

Ruszyli po kilku minutach. Widok był wspaniały, ale pogoda wyraźnie się psuła. Temperatura powoli spadała, a słońce skryło się za mgielną powłoką. W końcu doszli do Zawratowej Turni, skąd rozpościerała się zapierająca dech w piersiach panorama Tatr.

– Dobra, piętnaście minut odpoczynku – zarządził Piotrek. – Co tam masz jeszcze dobrego w plecaku?

Napili się wody i zjedli po kanapce, a potem Piotrek zaczął robić zdjęcia i wysyłał je chłopakom. Zauważył, że bateria w jego telefonie siada, wziął więc telefon od siostry, by pstryknąć kolejne fotki. Tymczasem zrobiło się naprawdę chłodno i Marta wyjęła z plecaka kurtki.

– Że też chciało ci się to dźwigać – westchnął chłopak, ale zadowolony włożył kurtkę.

Marta, drżąc z zimna, naciągnęła na głowę kaptur.

– Piotrek, pamiętasz co mówił ten góral?

– Nie bądź dzieckiem, chyba nie wierzysz w jakieś ludowe przepowiednie?

Dziewczyna spojrzała na niebo zasnuwane szarą poświatą. Nie było już widać słońca, zerwał się wiatr, który szarpał teraz gwałtownie kaptury ich kurtek.

– Ja chcę wracać, zobacz, co się dzieje.

Piotrek rozejrzył się. Rzeczywiście robiło się nieciekawie, ale po pierwsze bardzo nie lubił rezygnować ze swoich planów, a po drugie Orla Perć to była jedyna szansa na uratowanie twarzy przed kolegami.

– Nie pękaj, to już niedaleko. Zaliczymy szczyt i wracamy!

Marta próbowała jeszcze oponować, ale do brata nie docierały żadne argumenty. Ruszył szybkim krokiem przed siebie, a dziewczyna niechętnie poszła za nim. Dość szybko pokonali trawers i zaczęli się wspinać na Mały Kozi Wierch. Gdy do szczytu było już niedaleko, zaczął siąpić deszcz. Marta się rozpłakała.

– Co się dzieje? Weź się w garść – zdenerwował się Piotrek.

– Piotruś, ja już nie mogę. Chcę wracać... – Marta wytarła łzy z policzka.

– Nie możemy teraz wracać, nie widzisz? Tutaj szlak jest już jednokierunkowy. Przestań się mazać i trzymaj się tych łańcuchów.

Marta z trudem podjęła wspinaczkę i ruszyła za bratem, który szedł kilka metrów przed nią. Gdy schodzili do Zmarzłej Przełęczki Wyżniej niebo zrobiło się sinogranatowe i lunął rześisty deszcz. Było bardzo stromo, a łańcuchy zrobiły się śliskie i trudne do utrzymania. Z jednej strony ich przestrzeń zamykała naga pionowa ściana, a z drugiej przerażająca przepaść. Zerwał się lodowaty wiatr, który targał nimi jak szmacianymi kukiełkami. Przeszli jeszcze kilkadziesiąt metrów, nim Marta całkiem opadła z sił. Trzęsącymi się dłońmi zdjęła plecak i osunęła się na granitową półkę zasłoniętą skalnym nawisem. Plecak zachybotał i stoczył się

w przepaść. Martą wstrząsały dreszcze, w końcu zaczęła dygotać. Piotrek widząc, co się dzieje, zawrócił i usiadł obok siostry.

– Co tam było, w plecaku? – zapytał niespokojnie.

– Co? – zapytała mało przytomnie.

– Plecak spadł ze skały. Nie widziałaś?

– Nie wiem, termos i... chyba telefon... – Marta z trudem otworzyła oczy.

Piotrek spojrzał w niebo. Ciężkie ciemne chmury wisiały nisko nad szczytami, z oddali dochodziły pierwsze odgłosy burzy. Zrobiło się bardzo zimno. Nagle dotarło do niego, że coś jest nie tak. Nie było mowy o dalszej wspinaczce. Mieli kolosalne szczęście, że znaleźli się w skalnej szczelinie, która chroniła ich trochę od deszczu i wiatru.

Piotrek wyjął z kieszeni telefon. Chciał zrobić selfie, ale ściana wody rozmyła obraz, po krótkim namyśle wybrał więc numer górskiego pogotowia, który na wszelki wypadek wbił im w komórki wujek Marian. Zdążył powiedzieć tylko kilka słów, gdy telefon się rozładował. Przez chwilę tępo wpatrywał się w czarny ekran. Ogarnęła go panika. Nagle powietrze rozdarł oślepiający błysk i gdzieś bardzo blisko walnął pierwszy piorun. Z góry poleciała niewielka lawina kamieni i roztrzaskała się na sąsiedniej półce. Z niepokojem obejrzał wnękę, w której znaleźli schronienie – skała nad ich głowami wydawała się solidna i to go trochę podniosło na duchu. Kolejny grom uderzył gdzieś niedaleko, a potem pioruny waliły już jeden za drugim. Piotrkowi wydawało się, że znalazł się w samym środku piekła. Trząsał się jak w febrze i nie mógł opanować szczykania zębami.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Czas przestał istnieć. Gdy burza zaczęła się powoli oddalać, nagle przypomniał sobie o siostrze. Z niepokojem uświadomił sobie, że Marta od dłuższego czasu się nie odzywa. Leżała skulona w załomie skalnym i miała zamknięte oczy. Gdy podczołgał się bliżej i dotknął jej zimnej dłoni, poczuł, że lekko drży. Zaczął rozcierać jej rękę, a potem szybko zdjął kurtkę i przykrył siostrę. Marta majaczyła, mówiła coś o rodzicach, wujku Marianie i owcach.

– Marta, no obudź się, Marta!!!

Piotrek bezradnie potrząsał nią i klepał po policzkach, ale nie odzyskiwała przytomności.

Nagle dotarło do niego, że Marta sama już się stąd nie ruszy. Przypomniał sobie górala z kolejki na Kasprowy i ogarnął go gniew – gniew na siebie.

Natłok jego chaotycznych myśli przerwał jęk Marty. Popatrzył na siostrę, a potem w zasnuwane chmurami niebo – ulewa nie zmniejszyła się, ale burza wyraźnie się oddalała. Nie było wyjścia, musiał iść po pomoc. Nie bardzo wiedział, jak to zrobić, ale... wołał o tym teraz nie myśleć. Jeszcze spróbuje jakoś ogrzać Martę – i pora ruszać.

Czoło siostry było gorące, a dłonie lodowate. Piotrek położył się przy Marcie, aby choć trochę ją ogrzać. Poczł się bardzo zmęczony, myśli zaczęły powoli odpływać i ogarnęła go wielka niemoc. Ocknął się po jakimś czasie. Dobiegł go monotony szum ulewy. Trzeba iść, pomyślał i... ponownie zapadł w drzemkę. Ze snu wyrwał go jakiś niepokojący dźwięk – nasłuchiwał przez chwilę i wyteżał wzrok, ale w zapadającym zmierzchu trudno było coś dostrzec. Nie miał siły się podnieść. Oczy same mu się zamykały i kusiła wizja wielkiego spokoju, kiedy – tym razem wyraźniej – usłyszał jakieś głosy.

– Tutaj! ... – krzyknął resztką sił. – Tutaj!

Gdy wyczołgał się na próg skalny, ujrzał przez ścianę deszczu podchodzących trawersem ludzi. Nagle jeden z nich obsunął się ze skały i zniknął z pola widzenia. Rozległy się gwałtowne krzyki i nawoływania, a potem obraz przed oczami Piotrka zaczął się rozmazywać i ogarnęła go gęsta jak wata biała chmura. Słyszał jakieś dźwięki i chyba warkot helikoptera, ktoś go przenosił i coś do niego mówił. Nie wiedział, czy to wszystko mu się śni, czy dzieje się naprawdę.

Obudził się w białej sali z wielkim oknem. Łóżko było tak wygodne, że chciał znowu zamknąć oczy, ale zobaczył siedzącą obok postać w białym stroju. Z trudem uniósł się na łokciu.

– Gdzie ja jestem? Co z Martą? – zapytał z niepokojem.

– Marta jest piętro niżej, na oddziale intensywnej terapii – powiedziała lekarka. – Była skrajnie wyziebiona i odwodniona. Ciągle jest nieprzytomna.

– Trzeba zawiadomić wujka – powiedział Piotrek słabym głosem.

– Mówisz o panu Marianie? Od rana jest przy łóżku Marty, wcześniej był u ciebie. Trochę za późno na troskę o nerwy wujka.

– Bo... tak głupio wyszło – wybąkał chłopiec.

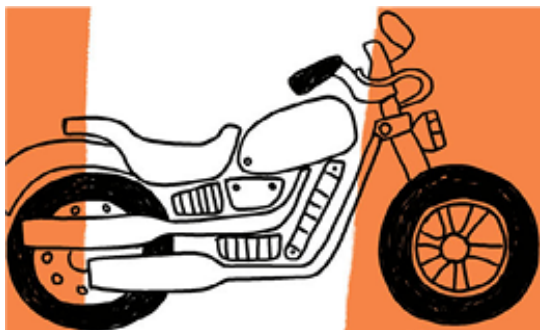
Gdy wstał z łóżka i założył szlafrok, ugięły się pod nim nogi. Na dół zjechał windą. W korytarzu na ławce przed salą siedział wujek, nagle postarzały i jakby mniejszy. Piotrek podszedł do niego powoli i usiadł obok. Wuj milczał i to milczenie było najgorsze. Chłopcu było wstyd i nie wiedział, co powiedzieć.

– Zaufałem ci... – odezwał się cicho wujek Marian. – Nic do ciebie nie dociera? Marta jest w ciężkim stanie. Jeden z ratowników o mało nie zginął. Tylko linie asekuracyjne zawdzięcza życie. Czy nie widzisz, że nie jesteś sam na świecie? Co z ciebie za człowiek?

Potem zamilkł, zgarbił się i zapatrzył w przestrzeń. Piotrek dotknął jego ręki.

– Wiem... – powiedział cicho. – Wiem... kim byłem.

Gdy weszli do sali, pielęgniarka właśnie zmieniała kroplówkę. Marta wyglądała, jakby spała, była bardzo blada, ale oddychała miarowo. Obok niej stała bateria urządzeń rejestrujących i monitorów, do których ją podłączono. Piotrek usiadł przy łóżku siostry. Nagle zalała go fala ogromnego smutku. Ujął drobną dłoń Marty w swoje ręce, zwiesił głowę i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zapłakał.



CZUŁEM SIĘ
STRASZNIE SAMOTNY,
BARDZO CHCIAŁEM
Z KIMŚ
POROZMAWIAĆ.
Z KIMKOLWIEK.
O CZYMKOLWIEK.
BYLEBY PRZERWAĆ
OTACZAJĄCĄ MNIE
CISZĘ.



KATARZYNA
RYRYCH

RAJSKI PTAK



PRYZWOITOŚĆ to poczucie obowiązku moralnego i praktykowanie takich zachowań, które służą dobru, a nie krzywdzą. Zawierają się w niej wszystkie inne wartości moralne – człowiek przyzwoity szanuje innych, jest uczciwy i odpowiedzialny. Umie być solidarny i sprawiedliwy. Odważnie broni swojego zdania, innych ludzi, ważnych idei i spraw. Można na nim polegać. Nie rani, nie wykorzystuje i nie upokarza innych, zawsze przyświeca mu dobra wola wobec ludzi, zwierząt, świata. Przyzwoitość jest zaprzeczeniem egoizmu, nieuczciwości, cynizmu, bezwzględności, wyrachowania, tchórzostwa. Bywa trudna, ale zawsze należy do niej dążyć.

W swojej skórzanej kurtce z frędzlami ojciec przypominał egzotycznego ptaka. Frędzle powiewały przy każdym ruchu, a metalowe ćwieki połyskiwały groźnie.

Przechodził przez dom, stukając ciężkimi butami, wyprowadzał z garażu motor i wyjeżdżał majestatycznie przez otwartą bramę niczym wojownik wyruszający w daleką drogę.

Z początku droga wcale nie była daleka. Ojciec jeździł za miasto, gdzie razem z kolegami podziwiali swoje maszyny, a dyskusje o momencie obrotowym i firmowych butach ciągnęły się w nieskończoność, bo o czym innym mogli rozmawiać.

– Zawsze o tym marzył – powiedziała mama, śledząc wzrokiem oddalający się motor.

Wiedziałem o tym. Od dziecka interesowałem się jednośladami i czytałem wszystko na ich temat, a kiedy założyliśmy łącze internetowe, godzinami surfowałem po stronach i forach. Ale wtedy miał jeszcze czas, aby posiedzieć ze mną, kiedy uczyłem się angielskich słówek, i starannie mnie ze wszystkiego odpytać. Czasami siadaliśmy razem do komputera i przeglądaliśmy angielskie strony. W ten sposób opanowałem całość słownictwa związanego z motorami i choć nie przydawało mi się ono do niczego w szkole, byłem z tego niesłychanie dumny. Mama przyglądała się nam z pobłażliwym uśmiechem i nic nie wskazywało, że niebawem wszystko się zmieni.

W dniu swoich trzydziestych piątych urodzin tata wstał z bardzo tajemniczą miną. Wyglądał trochę jak nasz pies, kiedy przyłapało się go na spaniu w moim łóżku. Była niedziela i na szczęście nikt z nas nie musiał śpieszyć się ani do pracy, ani do szkoły. Na stole w kuchni czekało śniadanie, a przy nakryciu taty leżała niewielka paczuszka. Wprost umierałem z ciekawości, aby dowiedzieć się, co skrywa.

Tata pojawił się w kuchni ogolony i pachnący swoją ulubioną wodą toaletową i natychmiast dostrzegł prezent.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała mama, a naszym oczom ukazał się miniaturowy model harleya.

Tata obejrzał go dokładnie i postawił naprzeciw swojego nakrycia.

– Nie wiem, jak wam to powiedzieć – zaczął, nerwowo mieszając kawę – ale...

Mama spojrzała na niego, zabawnie marszcząc nos.

– Chyba nie wybierasz się w drogę. I to bez śniadania...

– Właśnie o czymś takim marzyłem. – Tata przestawił model. – Czekałem na to kilka lat...

Kilka lat czekał na model, który mógł bez problemu kupić w każdym sklepie z gadżetami z wyższej półki? Nie mieściło mi się to w głowie.

– Nie chciałbym, żebyście poczuli się oszukani... – ciągnął, czerwieniąc się jak mój kolega, kiedy nauczycielce zdarzyło się niespodziewanie wyrwać go do odpowiedzi.

– Oszukani? – zdziwiła się mama. – W jaki sposób?

Tata westchnął.

– Być może powinienem wam to powiedzieć wcześniej...

Uśmiech znikł z twarzy mamy.

– Pomyślałem, że uznasz to za dziecinadę – mówił już tylko do mamy, zupełnie jakby nie było mnie obok. – Przez ostatnie kilka lat odkładałem pieniądze... Brałem dodatkowe godziny, dodatkową pracę. I udało mi się odłożyć tyle, żebym mógł...

Zapadła chwila ciszy. Przełknąłem głośno ślinę.

– Żebym mógł kupić sobie motor – dokończył. – Prawdziwego harleya.

Wyraz napięcia na twarzy mamy złagodniał.

– Marzenia są po to, aby je spełniać – powiedziała z wahaniem i pocałowała tatę w policzek.

– Będzie tu za kilka dni – oznajmił tata, zupełnie jakby mówił o żywym człowieku.

Za kilka dni, pomyślałem i zrobiło mi się dziwnie przykro, że nie uczestniczyłem w wybieraniu maszyny, mimo iż spędziliśmy razem tyle czasu, zastanawiając się, który model jest lepszy, a który ma ładniejszą linię. Ale ojciec cieszył się jak dziecko i wkrótce jego radość udzieliła się także i mnie.

Motor pojawił się w środku tygodnia. Kiedy wróciłem ze szkoły, zobaczyłem go przed naszym domem, połyskującego w słońcu. A obok

niego stał tata i paru dziwnie wyglądających facetów. Wszyscy mieli na sobie czarne skórzane kurtki i jedynie tata wyglądał zupełnie zwyczajnie w dżinsach i koszulce.

– To mój syn – powiedział tata i powrócił do rozmowy, z której wynikało, że powinien zapisać się na naukę jazdy do najlepszego instruktora w mieście.

Niestety, po zakupie motoru na kurs taty zabrakło już pieniędzy.

– Będziemy musieli zacisnąć pasa – oznajmił przy kolacji.

Mama przyjęła tę uwagę w milczeniu, a ja pomyślałem o rowerze, który planowaliśmy kupić przed wakacjami. Mój stary góral był już naprawdę stary i jego naprawy kosztowały nas coraz więcej.

– Mam nadzieję, że twój staruszek przetrwa jeszcze to lato – rzucił tata i nagle zrozumiałem, że obóz rowerowy też rozwiązał się jak mgła. No bo jak tu jechać, skoro sprzęt może się rozpaść w każdej chwili?

Spojrzałem na leżący na stole obrus w drobną kratkę. Zacząłem w myślach liczyć kratki białe, niebieskie i granatowe, dopóki nie poczęły nakładać się na siebie. Nagle zrobiło się dziwnie smutno. Spojrzałem ukradkiem na mamę, która też nie wyglądała na specjalnie zadowoloną, zupełnie jakby czytała w moich myślach.

– Dawno nie byliśmy u babci – powiedziała.

Wbiłem wzrok w podłogę. Fakt, dawno nie byliśmy u babci, w jej niewielkim domu nad jeziorem, gdzie siedząc na pomoście, można było obserwować małe ruchliwe rybki, a wieczorami – błyszczące oczy raków.

W ten sposób wszystko zostało postanowione. Poza mną. Gdyby choć padło najmniejsze pytanie. Gdyby ktoś zapytał mnie, co bym wolał. Może nawet byłoby mnie stać na lekceważące machnięcie ręką – co mi tam obóz, można spędzić lato nad jeziorem... A na następny sezon postarać się o naprawdę rewelacyjny rower.

Ale to był dopiero początek.

W miejskim parku zakwitły akacje, rok szkolny zbliżał się do końca w błyskawicznym tempie.

– No i co, jedziesz z nami? – zapytał Maciek.

– Nie w tym roku – odpowiedziałem. – Ojciec zabiera mnie w podróż po Europie. Harleyem – dodałem i nagle poczułem się głupio.

Nie wiedzieć czemu – skłamałem. Wystarczyło przecież powiedzieć, że nie jadę. Nikt nie oczekiwał ode mnie żadnych wyjaśnień. Być może ten

motor rzucił też na mnie jakiś dziwny urok?

– A, tak – bąknął Maciek. – Szkoda.

Po szkole cała paczka poszła na spotkanie z nauczycielem wuefu, który co roku organizował letnie wyjazdy. Zostałem sam na pustym dziedzińcu, po którym uwijało się stadko wróbli. Kopnąłem leżący na chodniku kamyk i powlokłem się do domu.

W kuchni na podłodze poniewierały się jakieś kartony, a ojciec stał przed lustrem, przyglądając się z dumą czarnej skórzanej kurtce. Z rękawów i pleców kurtki zwisały długie frędzle.

– No i co? – zapytał.

– Fajna – powiedziałem bez entuzjazmu.

Na oko kosztowała tyle co nowy rower. Niestety, wcale się nie pomyliłem. Sprawdziłem potem ceny w firmowym sklepie wysyłkowym.

– A to dla mamy. – Ojciec wskazał wiszącą na oparciu krzesła koszulkę z logo Harleya.

Odtąd codziennie pojawiały się jakieś gadzety – breloczek do kluczy, zapalniczka (choć nigdy nie widziałem, aby ojciec palił), szeroki pasek do spodni z dużą połyskującą klamrą. Było ich coraz więcej i w końcu zacząłem się zastanawiać, skąd ojciec bierze na to wszystko pieniądze.

Na odpowiedź nie czekaliśmy długo. Całkiem przypadkowo okazało się, że tata zlikwidował konto, na które rodzice regularnie wpłacali pieniądze, aby – jak mawiała mama – nie zostać bez grosza.

Patrzyłem na kubki z firmowym logo i na bieliznę taty i nie mogłem pozbyć się wrażenia, że cały nasz dom nagle zaczął zmieniać kolor. Wszystko – a raczej prawie wszystko – powoli stawało się czarno-pomarańczowe.

– Chyba trochę przesadziłeś – powiedziała pewnego dnia mama.

Trochę?

To było bardzo delikatnie powiedziane.

– Nie chcę, aby moje życie składało się tylko z pracy – wybuchnął tata. – Do pracy i z pracy, z pracy i do pracy! I tak całe życie!

– Ja też chodzę do pracy – zauważyła mama. – Idę do pracy i wracam z pracy, i...

Tata spojrział na mamę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, ale na jego twarzy nie było uśmiechu.

– Nie moja wina, że nie masz żadnych zainteresowań – rzucił.

Po czym wyszedł, powiewając frędzlami swojej firmowej kurtki.

Z tym tekstem, że mama nie ma żadnych zainteresowań, to lekko przegiął. Nie jeździła na motorze i nawet nie miała prawa jazdy, ale srebrna biżuteria, jaką robiła wieczorami, nie miała sobie równych. Kolczyki i bransoletki, pierścienie i przywieszki momentalnie znikwały z internetowej galerii, ale... czas, kiedy tata się nimi zachwycał, wydał mi się nagle tak odległy. Czy to wszystko było tylko snem, z którego nagle się obudziłem?

Stojący w garażu motor zaczynał mnie naprawdę wkurzać i kiedy pewnego dnia tata przypomniał sobie o moim istnieniu i zaproponował, że na zakończenie roku podwiezie mnie do szkoły, odmówiłem.

– Jak ty go wychowałeś? – warknął, patrząc na mamę. – Już nawet rower odstawił.

Ponieważ praktycznie nie nadaje się do jazdy, pomyślałem, i to ty pierwszy powiedziałaś, że należałoby kupić nowy...

Trzasnęły drzwi. Staliśmy z matką na środku kuchni, patrząc na siebie bez słowa.

– No tak – powiedziałem trochę bez sensu.

– No tak – powtórzyła.

Włożyłem białą koszulę i sięgnąłem po krawat. Zawsze wiązał mi go ojciec, a ja byłem na tyle głupi, że nie przyszło mi do głowy, iż może nadejść dzień, w którym będę musiał zrobić to sam... Trudno, nie zawsze muszę wyglądać elegancko, pomyślałem. Za to w ostatniej chwili przypomniałem sobie o kwiatkach.

– Muszę kupić kwiatek – powiedziałem.

Mama otworzyła kredens i wyjęła z niego blaszaną puszkę po herbacie. To było coś nowego!

– Chowam pieniądze – wyjaśniła spokojnie. – Nigdy nie sądziłam, że będę musiała chować pieniądze.

Ja też, pomyślałem i wyszedłem z domu.

Na schodach spał nasz pies. Na szyi miał czarno-pomarańczową bandankę. Nawet nie otworzył oczu, kiedy zdjęłem ją i wsunąłem do kieszeni. Przyszło mi do głowy, że gdyby pojawił się u nas pół roku temu, z pewnością miałby na imię Harley.

Idąc, przypominałem sobie te wszystkie zakończenia roku, kiedy nie mogłem się doczekać chwili, gdy ze świadectwem w ręce wrócę do domu i nareszcie zaczną się wakacje...

Przy wejściu do szkoły zderzyłem się z Szarą Myszą.

Zderzenie było tak silne, że okulary Szarej Myszy spadły jej z nosa i rozbiły się w drobny mak.

– Ojej – jęknęła Szara Mysza.

Pochyliłem się i zacząłem zbierać to, co z nich pozostało.

Gdyby była to Pudzianna, najwyższa i najsilniejsza dziewczyna z mojej klasy, leżałbym już na ziemi rozbity na kawałki jak te nieszczęsne okulary. A tu jedynie „ojej”, zupełnie jakby podobne przypadki zdarzały się w życiu Szarej Myszy kilka razy dziennie.

– Przepraszam – powiedziałem, podając jej pęknięte oprawki i garść szkła.

W zasadzie powinienem zaproponować, że odkupię jej te nieszczęsne okulary, ale... nie byłem pewien, czy mnie stać na podobny gest. To byłoby przyzwoite, jakby powiedział mój dziadek. Tyle że z powodu fascynacji mojego ojca nie było mnie stać na przyzwoitość.

Podobnie jak na rower i wakacje z grupą przyjaciół.

– I tak miałam kupić nowe.

Spojrzałem na Szarą Myszę z niedowierzaniem. Bez okularów jej twarz wydawała się łagodniejsza i dziecinna. I nagle stało się coś, co przyprawiło mnie o prawdziwy atak paniki.

– Gdybyś mógł odprowadzić mnie po szkole na przystanek – poprosiła cicho. – Bo bez okularów...

O kurczę, pomyślałem. Po szkole... Dziwnie nie chciało mi się wracać do domu. Od chwili kiedy ojciec oddał się swojej pasji, dom zrobił się jakiś inny. Zupełnie jakby coś wyssało z niego życie.

– ...bez nich trochę źle widzę – dotarło do mnie.

A, więc to dlatego. Przez chwilę miałem wrażenie, że Szara Mysza... że po prostu zobaczyła we mnie coś, czego do tej pory nie zauważyła żadna z dziewczyn. Moja wina, trudno.

– Ale jeśli nie chcesz... mogę zadzwonić po mamę. Zwolni się z pracy...

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że Szara Mysza boi się, że pomyli autobus albo że będzie musiała pytać ludzi na przystanku, czy to właściwy numer. Ja też uważałbym coś podobnego za obciach.

– Nie ma sprawy – odparłem i nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie, chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem za sobą. – Uważaj, nie zabij się na schodach.

Oczywiście potknęła się kilka razy, ale ostatecznie dotarliśmy szczęśliwie do klasy.

Usiadłem w swojej ławce i zacząłem się ukradkiem przyglądać Szarej Myszy. To dziwne – nigdy dotąd nie patrzyłem na nią w taki sposób. Nagle odkryłem, że było w niej coś sympatycznego. I chyba nikt przede mną na to nie wpadł, bo Szara Myszka była jedyną dziewczyną, za którą nie uganił się chłopcy.

– Widziałam twojego starszego – zahaczyła mnie Pudzianna, kiedy ze świadectwem w ręce i Szarą Myszką uczeponą mojego rękawa kierowałem się w stronę schodów.

– To super – odpowiedziałem, bo po pierwsze nie miałem pojęcia, co mógłbym powiedzieć, a po drugie nie miałem ochoty o tym rozmawiać.

– Zajefajnie wygląda – dodała. – Chciałabym, żeby mój starszy...

– No – bąknąłem niespecjalnie mądrze.

Odechciałoby ci się szybko, dokończyłem w myśli i pociągnąłem Szarą Myszkę w stronę wyjścia.

– Podobno jedziesz w jakąś podróż po Europie – zaczęła, gdy tylko wyszliśmy ze szkoły.

– Ja? – zdziwiłem się.

– Wszyscy w klasie o tym mówią.

No tak. Nie byłem mistrzem przekrętów i kompletnie zapomniałem o swoim kłamstwie sprzed kilku dni.

– Chciałabym pojechać kiedyś w taką trasę – ciągnęła Szara Myszka. – Zobaczyc...

Akurat zobaczyłabyś wiele bez okularów, pomyślałem i po raz drugi tego dnia poczułem się podle.

– Ja zostaję w mieście – dodała i potknęła się o wystającą płytkę. – Przepraszam – powiedziała. – Mówiłam ci, że bez okularów...

– Wyglądasz całkiem fajnie – wyrwało mi się mimo woli.

Szara Myszka zamrugła nerwowo.

– Teraz rozumiem – powiedziała bez uśmiechu.

Zdałem sobie sprawę, że palnąłem coś, co mogło ją urazić. I nie myliłem się.

– Teraz rozumiem, dlaczego na dyskotekach zawsze podpieram ściany – wyjaśniła. – W okularach fajnie wygląda tylko Harry Potter.

No masz. Przypomniałem sobie, co powiedział kiedyś Maciek. Z dziewczynami trzeba naprawdę uważać, szczególnie kiedy się z nimi rozmawia, bo zawsze doszukują się czegoś, czego nie mieliśmy na myśli. I oto miałem przed sobą żywy dowód tej teorii w postaci Szarej Myszy, która znowu się uśmiechnęła, ale nie był to bynajmniej uśmiech radosny, a raczej pełen rezygnacji.

– Wiesz, są dziewczyny, które specjalnie kupują sobie okulary... – odezwał się, czym pogrążyłem się jeszcze bardziej.

– Tak, zerówki. Tylko że noszą je dla ozdoby, a nie z konieczności.

Miała rację.

– Posłuchaj – zacząłem ostrożnie. – Może to kwestia oprawek.

– Może – zgodziła się.

Olśniło mnie.

– Mogę pomóc ci wybrać takie... no wiesz, takie, które będą się podobały.

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale Szara Myszka chyba naprawdę się ucieszyła. Zanim dotarliśmy pod jej blok, dowiedziałem się, że lubi podobne książki jak ja i jest wege, czyli nie jada mięsa. To było bardzo ciekawe, bo nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto jadłby wyłącznie zieleninę, nabiał i zboża.

– Poważnie? – zdziwiła się i zaraz dodała: – Mama robi dzisiaj penne ze szpinakiem.

Szpinak. Aż mi ciarki przeszły po plecach, ale nie dałem niczego po sobie poznać, nawet kiedy przedstawiła mnie jako najlepszego kolegę i zaciągnęła do kuchni.

Matka Szarej Myszy nałożyła mi sporej wielkości porcję, a Szara Myszka postawiła przede mną szklankę z kompotem bez cukru.

Nigdy wcześniej nie spotkałem takich zakręconych kobiet... W domu wszystko było ekologiczne i organiczne, nawet bawełna, z której uszyto kuchenne ściereczki. Ale czułem się tam całkiem fajnie.

Matka Szarej Myszy wysłuchiwała historii o rozbitych okularach, a kiedy córka poinformowała, że obiecałem dopomóc w wyborze oprawek, bardzo się ucieszyła.

Moja rodzina też kiedyś była normalna, pomyślałem, gdy wsiadaliśmy do niewielkiego samochodu.

Optyk mieścił się na parterze wielkiej galerii i oferował setki oprawek – plastikowych i metalowych, złotych, srebrnych i we wszystkich kolorach tęczy.

Szara Myszka mierzyła jedne po drugich i ostatecznie mój wybór padł na niebiesko-granatowe, przy których jej oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

– Naprawdę są dobre? – dopytywała się z nosem tuż przy lustrze.

– Masz dobry gust – zauważyła matka Szarej Myszy.

Okulary miały być gotowe za dwie godziny, więc wybraliśmy się na spacer po galerii, a ostatecznie wylądowaliśmy w kawiarni na samej górze. Matka Szarej Myszy zamówiła dla siebie cappuccino, a dla nas sok pomarańczowy.

Na początku czułem się nieswojo. Po pierwsze nigdy nie łąziłem po galerii w towarzystwie dziewczyn i ich matek, a po drugie przeszkadzało mi galowe ubranie. Jednak za chwilę miałem poczuć się jeszcze gorzej. To znaczy, naprawdę źle.

Do kawiarni weszła jakaś para, która właśnie mijała nasz stolik tuż za plecami Szarej Myszy i jej matki. To był mój ojciec w swojej fantazyjnej kurtce, firmowych dżinsach i motocyklowych butach, powiewający frędzlami i roztaczający wokół zapach bardzo drogiej wody, obok ojca zaś szła podobnie ubrana blondynka. Proste, lśniące włosy sięgały jej do pasa. Zapatrzona była w niego jak w obrazek. Szara Myszka i jej matka ich nie widziały, natomiast ja doskonale. Ojciec nie zwracał uwagi na nic poza blondynką, w przeciwnym wypadku zobaczyłby mnie od razu.

Poczułem się naprawdę okropnie. Musiałem wyjść. Wyjść natychmiast i to w taki sposób, żeby nikt – żeby mój ojciec – mnie nie zauważył. Nerwowo spojrzałem na zegarek.

– Przepraszam – wykrztusiłem – przypomniało mi się, że... Jest późno... Muszę lecieć...

– Najważniejsze, że wybraliśmy oprawki – powiedziała Szara Myszka.

– Zadzwoń jutro – rzuciłem, wybiegając z kawiarni.

Z tego, że zrobiłem z siebie po raz kolejny durnia, zdałem sobie sprawę, stojąc na ruchomych schodach. Jak miałem zadzwonić, skoro nie znałem numeru Szarej Myszy?

Miałem mętlik w głowie. Na miękkich nogach wyszedłem z galerii. Kiedy dotarłem do przystanku autobusowego, odkryłem, że moje świadectwo

zostało w kawiarni, gdzie pewnie nadal siedzieli Szara Mysza i jej matka oraz mój ojciec z długowłosą blondynką.

Gdyby rok temu ktoś opowiedział mi podobną historię, uśmiełbym się do łez, ale teraz wcale nie było mi do śmiechu. Cóż, świadectwo zabierze Szara Mysza i z pewnością zwróci mi je do rąk własnych.

Matce powiem prawdę... to znaczy jedynie połowę prawdy: świadectwo zostało u koleżanki.

Dobrze. Z tą samą koleżanką pojechałem do galerii, aby pomóc jej wybrać nowe okulary. Być może nie robiłem takich rzeczy wcześniej, ale ostatecznie dorastam i mogę czasem gdzieś pójść. Z dziewczyną. To znaczy z koleżanką – szybko pozbyłem się myśli o tym, że Szara Mysza mogłaby być moją dziewczyną.

– Już zaczynałam się o ciebie martwić – powitała mnie matka.

– Przepraszam – powiedziałem. – Koleżanka rozbiła okulary i pomagałem jej dobrać nowe oprawki.

– Nie wiedziałam, że się na tym znasz – zdziwiła się.

– I z tego wszystkiego zostawiłem u niej świadectwo – zakończyłem. – Ale nie ma żadnych niespodzianek.

– Wiem – odpowiedziała. – O ciebie akurat jestem spokojna.

Nietrudno było się domyślić, że chodzi jej o tatę. Ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Wszystko będzie dobrze – bąknąłem zupełnie bez sensu.

Pokiwała głową. I to wydało mi się straszne. Gdyby powiedziała coś albo się rozplakała, może zrobiłoby się normalnie. Ale ona po prostu postawiła na stole talerz z zupą i usiadła naprzeciwko mnie.

– Mamo.

Musiałem przerwać znowu milczenia.

– Cóż – odpowiedziała po dłuższej chwili. – Tata przeżywa drugą młodość.

– A ty?! – krzyknąłem.

– Nie stać mnie na to – odrzekła spokojnie.

I wtedy na ulicy rozległ się znajomy klang silnika.

– Cześć, młody. Mam coś, co należy do ciebie.

Ojciec sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej... No właśnie. Wyjął z niej moje świadectwo.

– Zostawiłeś to w galerii – powiedział.

W galerii. Nie w kawiarni, tylko bezpiecznie – „w galerii”.

– Na ostatnim piętrze – rzuciłem mu prosto w twarz, ale wcale się tym nie przejął.

– Niezłe oceny, młody.

Znowu „młody” – nigdy przedtem tak się do mnie nie zwracał.

Patrzyłem mu prosto w oczy. Mrugnął porozumiewawczo i wyszedł z kuchni, aby powiesić w przedpokoju swoją wspaniałą kurtkę.

Poszedłem za nim do łazienki. Patrzyłem, jak myje twarz i przegląda się w lustrze.

– Matki nie stać na drugą młodość – powiedziałem na tyle głośno, aby przebić się przez szum wody.

Spojrzał na mnie, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu.

– To co robisz... – zacząłem i urwałem, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. – To jest po prostu... wielkie świństwo.

I nie czekając, co odpowie, wyszedłem, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy wchodziłem do swojego pokoju, odezwała się komórka.

– Cześć.

To była Szara Myszka. Skąd u diabła miała mój numer?

Tajemnica wyjaśniła się prawie natychmiast.

– Spotkałyśmy w galerii twojego ojca.

– To ty go znasz? – wybuchnąłem. – Znasz mojego ojca?

– Mama go zna. Widywali się na wywiadówkach.

Idiota. Naprawdę byłem idiotą. Albo działo się ze mną coś, czego nie potrafiłem zrozumieć.

– Chciałbyś zobaczyć moje nowe okulary?

Nie domyśliła się niczego, nie zwróciła na nic uwagi, myślałem gorączkowo, albo jest po prostu głupia...

– No? – nalegała.

– Dobrze – warknąłem. – Kiedy? Teraz czy jutro?

– O co się wkurzasz? – zapytała. – No dobrze, okej, pomogłeś mi z tymi oprawkami i misja skończona.

Zrobiło mi się głupio. Stała gdzieś tam, w swoim superekologicznym pokoju, wiedząc, że czar superoprawek nie zadziałał i nie zadziała, i że

znowu będzie podierać ściany na szkolnych dyskotekach.

– Mam zły dzień – powiedziałem. – Przepraszam.

– Rozumiem – odparła. – Nie musisz oglądać tych okularów. Myślałam... że się po prostu kumplujemy?

I wyłączyła się, nie czekając na moją odpowiedź.

Usiadłem na oknie. Na zewnątrz zaczynało się już ściemniać. Przed domem ojciec polerował swoje marzenie.

Pomyślałem, że rok temu wszystko było takie proste. O tej porze razem szykowaliśmy mój rower na wakacje.

W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że chętnie wziąłbym naprawdę wielki gwóźdź i z przyjemnością porysował ten przekłety motor. Pociąłbym opony i siedzenie. Albo pociąłbym te wszystkie frędzle przy kurtce i jukach.

Tylko po co? To nie była wina motoru.

Zszedłem na dół, do kuchni. Zwykle spotykaliśmy się przy stole i rozmawialiśmy o tym i owym. Po prostu byliśmy razem. Teraz mijaliśmy się w ciszy – nie było o czym rozmawiać. A raczej to, o czym powinniśmy porozmawiać, było skrętnie omijanym tematem. Na dodatek do tych wszystkich okropnych rzeczy dołączyła nieznajoma z kawiarni. Jakim prawem trzymała mojego ojca za rękę? Kim była? I – zawahałem się – kim będzie?

Zdjąłem z haczyka smycz i obrozę i wyszedłem z domu.

– Hej, młody! – Ojciec wyprostował się i wytarł ręce w leżący na siedzeniu motoru stary ręcznik. – Dokąd to?

– Na randkę – odpowiedziałem, zakładając psu obrozę. – Ja mogę. To moja pierwsza młodość.

Zostawiłem go samego przed domem i pociągnąłem za sobą psa.

Pies cieszył się, machał do wszystkich ogonem i zatrzymywał się pod każdym drzewkiem i krzakiem. Obeszliśmy całe osiedle i park, a nawet zapuściliśmy się za miasto. Nie było już mojego domu, przynajmniej tego, w którym spędziłem czternaście lat swojego życia.

Czułem się strasznie samotny, bardzo chciałem z kimś porozmawiać. Z kimkolwiek. O czymkolwiek. Byleby przerwać otaczającą mnie ciszę.

Gdybym miał przy sobie komórkę, zadzwoniłbym do Maćka. Albo choćby i do Szarej Myszy.

Ale moja komórka tkwiła w ładowarce. W domu, który nagle stał się dziwnie obcy. W pokoju, który nie był już tym samym pokojem.

Nawet moja matka nie była już taka sama. Jeszcze rok temu zmyłaby mi głowę za włączenie się po nocy.

A może po prostu przestałem być dzieckiem?

Rankiem obudził mnie warkot silnika. Nie musiałem otwierać oczu, aby pojawił się przed nimi mój ojciec majestatycznie wyjeżdżający na ulicę.

– Pojechał na jakiś zlot – powiedziała beznamiętnym tonem matka, kiedy zszedłem na śniadanie.

Żeby tak z niego nie wrócił, pomyślałem i przestraszyłem się tych myśli.

– W sobotę jedziemy do babci. – Mama postawiła na stole filiżankę herbaty i usiadła naprzeciw mnie.

– A... on?

Słowo „tata” dziwnie nie mogło mi przejść przez usta.

– Nie wiem – odpowiedziała.

Znowu zapadła męcząca cisza, w której słyhać było jednostajny szum kosiarki. Naprawdę nie wiedziałem, jak o tym rozmawiać.

Kiedy przebrnęliśmy przez śniadanie, zadzwoniłem do Szarej Myszy.

– Czy mogę prosić okulary? – zażartowałem.

Momentalnie podchwyciła pomysł.

– Niestety, w tej chwili nie mogą podejść. Są w łazience.

– Czy będą gotowe za godzinę? – zapytałem.

– Sądzę, że tak – odpowiedziała.

Spojrzałem na zegar. Dochodziła dziesiąta. Jak zwykle w pierwszy dzień wakacji pospałem dłużej. Wziąłem szybki prysznic, włożyłem świeżą koszulkę i czyste dżinsy.

– Obiad o pierwszej – zawołała matka.

Zatrzymałem się w drzwiach. Zrobiło mi się głupio, że wychodzę i zostawiam ją z tą ciszą, wśród czarno-pomarańczowych gadżetów, w domu, który nagle stał się obcy.

– Co będzie na obiad? – zapytałem, bo przyszło mi do głowy coś naprawdę szalonego.

– Pierogi z truskawkami.

– I żadnego mięsa, tak?

Matka popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Jakiś nowy pomysł?

Wzruszyłem ramionami.

– Ona jest wegetarianką – wyjaśniłem.

– Kto?

– Szara... Marta. Ma na imię Marta i jest wegetarianką.

Po raz pierwszy od długiego czasu matka roześmiała się.

– Ta od okularów, tak?

– Tak. Ta od okularów.

Cóż, myślałem, wyprowadzając swój rozklekotany rower z garażu, musimy jakoś żyć.

Nie zdawałem sobie sprawy, że tak rozpaczliwie będę tęsknić za normalnością. Nagle zabrakło mi codziennych rytuałów – tego wszystkiego, o czym myślałem, że będzie trwać. Wspólne śniadania, obiady, kolacje, od czasu do czasu wypad za miasto, zakupy, oglądanie filmów. Podróże po internecie.

Zatrzymałem się na światłach.

Ulicą z rykiem silników przejechała malownicza grupa motocyklistów. Wiedziałem, że pomiędzy nimi jest mój ojciec. Odprowadziłem ich wzrokiem i ruszyłem w stronę osiedla Szarej Myszy.

– Czy okulary są już gotowe? – zapytałem, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Dziewczyny to był dla mnie nadal gatunek nieznany i nie za bardzo wiedziałem, co robić. Na szczęście Szara Myszka była – jak się przekonałem – zupełnie wyjątkowa. Może dlatego moi koledzy trzymali się od niej z daleka. Była po prostu mądra.

A okulary?

Wyglądała w nich rewelacyjnie. I właśnie to powiedziałem.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdziłem. – Rozreklamowałem je po całym mieście – ciągnąłem. – Nawet moja matka chciałaby je zobaczyć... Nie do końca wierzy w mój dobry gust i z tego powodu... – zawiesiłem głos i spojrzałem raz jeszcze na Szarą Myszkę – zaprasza cię na pierogi. Z truskawkami. Oczywiście bez skwarków.

Obecność Szarej Myszy działała na mnie naprawdę dobrze. Czułem się normalnie. Ot, przeciętny czternastolatek, niewyróżniający się niczym specjalnym, poza tym, że jego ojciec przeżywał właśnie drugą młodość w towarzystwie innych osób pełnych fantazji.

Czy im wszystkim tak odbiło? – pomyślałem. I w jednej chwili cała ta normalność prysła jak mydlana bańka.

– Dzięki za świadectwo. – Starłem się, aby w moim głosie nie pojawiło się coś, czego bym sobie nie życzył.

– To był pomysł mamy – odparła. – Skoro zostawiłeś je na stoliku, a oni... a on – poprawiła się – tam był...

Zatem zauważyła. Dostrzegła towarzyszącą ojcu kobietę. I delikatnie ominęła temat. Tak, Szara Mysza była mądrą dziewczyną, ale tym razem jej mądrość utrudniała mi życie. O ileż prościej byłoby, gdyby powiedziała „twój ojciec z tą kobietą” czy coś podobnego.

– Był, owszem – rzuciłem. – Nie był sam. Dlatego wyszedłem. Nie miałem nic do załatwienia, ale po prostu nie wiedziałem, co zrobić.

Palce Szarej Myszy nagle zacisnęły się na moim ramieniu.

– Ja też nie wiedziałam – powiedziała – co zrobić, kiedy rodzice się rozeszli.

„Rozeszli się” – to zabrzmiało strasznie. Rozwód – słowo, które jeszcze nie padło w naszym domu, ale czekało na progu jak pies, gotowe wskoczyć do środka i ugryźć. Kogokolwiek – mnie, matkę. Któreś z nas.

– Nie wiedziałem – mruknąłem.

– O tym się raczej nie opowiada – zauważyła. – To było tak dawno, że zdążyłam się przyzwyczaić.

I choć wcale nie prosiłem, opowiedziała, jak jej ojciec wyjechał za granicę i odkrył, że życie może być łatwiejsze, i o tym, jak wprowadziła się do nich jego matka.

– Rodzice mieli kredyty – ciągnęła – więc babcia sprzedała mieszkanie, aby pomóc je spłacić. Teraz ma problem z oczami, prawie nic nie widzi, dlatego nie jadę na wakacje. Ktoś powinien być w domu, a mama nie ma jeszcze urlopu.

Ulicą przejechała karetka na sygnale, a za nią radiowóz.

– No to nie jest zbyt wesoło – podsumowałem.

Szara Mysza wzruszyła ramionami.

– A co masz na myśli? – zapytała.

– To, co działo się u ciebie – wyjaśniłem.

– Jest w porządku. Jedyne, czego się boję, to żebym nie skończyła tak jak babcia. To może być dziedziczne.

– Dziedziczne? A pytałaś lekarza?

– Nie. Ale...

– To zapytaj. Albo niech twoja mama zapyta. Czy to takie trudne?

Szara Myszka pokręciła głową.

– Pytała i powiedziała, że wszystko jest w porządku. Że tę wadę można częściowo usunąć.

– No to czemu się przejmujesz?

– Nie wierzę dorosłym.

Nie musiałem zadawać kolejnych pytań. Nagle poczułem się oszukany, a cały mój żal i złość skupiły się na moim ojcu.

– Te pierogi – szybko zmieniła temat. – To na poważnie?

– No, całkiem serio.

Zostawiłem rower pod jej domem i poszliśmy do mnie piechotą. Nie gadaliśmy prawie wcale, ale odkryłem, że z Szarą Myszą można też fajnie pomilczeć.

Mój pies przywitał ją jak starą znajomą, głośno i entuzjastycznie, i zanim weszliśmy do środka, Szara Myszka była już totalnie obśliniona, a na jej jasnych spodniach ślady łap układały się w jakiś abstrakcyjny wzór. Ale wcale się tym nie przejęła. Po prostu umyła ręce, a z plamami na spodniach nawet nie próbowała walczyć.

Mama przyjrzała się okularom i stwierdziła, że są wyjątkowe i że dokonaliśmy świetnego wyboru. A potem zaprosiła nas do kuchni. Pierogi już czekały i były jak zwykle pyszne.

Za oknem warczała kosiarka sąsiada i przyszło mi do głowy, że jej właściciel nie zajmuje się niczym innym, jak tylko pielęgnacją swojego trawnika. A poza tym było miło i spokojnie. Mama i Szara Myszka rozmawiały o potrawach wegetariańskich i już zacząłem wmawiać sobie, że to wszystko, co działo się od kilku miesięcy, było tylko złym snem, kiedy zadzwonił telefon.

Czas nagle przyśpieszył.

Byłem bohaterem filmu, chłopcem, którego ojciec dwie godziny temu został odwieziony do szpitala, jego stan był ciężki i nikt nie wiedział, co będzie dalej.

„Pojechał na jakiś zlot” – zadźwięczało w mojej głowie.

„Żeby tak z niego nie wrócił” – odbiło się dalekim echem.

Jeśli życzenia czasem się spełniają, czemu spełniło się akurat to najgorsze, myślałem gorączkowo. Przecież rankiem życzyłem mu właśnie tego.

Spadałem w jakąś otchłań, przed oczyma wirował mi kolorowy wzór na obrusie, białe plamy talerzy.

– Rafał, Rafał! – Szara Myszka szarpnęła mnie za ramię.

Powoli wynurzyłem się na powierzchnię.

Ściągnięta bólem twarz mojej matki uświadomiła mi, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– W porządku – powiedziałem nieswoim głosem. – Już jest okej.

– Zostaniesz tutaj? – matka zwróciła się do Szarej Myszy.

– Oczywiście. Zadzwońię do domu i zostanę tak długo, jak będzie trzeba.

Siedzieliśmy w kuchni, milcząc. Nie wiem jak długo. Staralem się zebrać myśli i poradzić sobie z tymi najgorszymi.

Pokarało go.

Poniósł karę.

Życzyłem mu, aby...

Zacząłem mówić na pół godziny przed powrotem matki. Mówiłem o drugiej młodości ojca, o tym, jak zmieniło się nasze życie. A Szara Myszka siedziała po drugiej stronie stołu i słuchała.

Wiadomości ze szpitala przyjąłem dziwnie spokojnie. Kompresyjne złamanie kręgow łędźwiowych (co to takiego? – pomyślałem), stan ciężki, ale stabilny. Prawdopodobnie będzie unieruchomiony do końca życia.

Wieczorem po Szarą Myszę przyjechała jej matka, ale zamiast wrócić do domu usiadła z moją mamą w salonie. Rozmawiały przyciszonym głosem, nie zwracając na nas uwagi.

Zostawiłem Szarą Myszę w kuchni i poszedłem do swojego pokoju. Wiedziałem, że zrozumie. Że nie pójdzie za mną teraz, kiedy chciałem być sam.

Położyłem się w ubraniu na wersalce. Zapadłem w ciężki, męczący sen.

– Bez zmian – powiedziała rano matka. – Pójdę tam po śniadaniu.

Tam. Zupełnie jakby unikała słowa „szpital”. I słowa „tata”. Na chwilę zatrzymała się w drzwiach. Czy czekała, aż powiem, że pójdziemy razem?

Gdyby to był film, myślałem, bohater natychmiast pobiegłby do szpitala... Tam wybaczyłby ojcu i... Na ekranie pojawiłby się natychmiast napis „THE END”, bo reżyser nie miałby pomysłu, co zrobić z tym wszystkim.

Czy to wszystko można było tak po prostu wybaczyć?

– A ty? – zapytałem wieczorem Szarą Myszę. – Czy odpuściłaś swojemu starszemu?

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała szczerze. – To naprawdę było bardzo dawno i... nie widzieliśmy się od tego czasu.

– A gdyby przyjechał, zadzwonił? – dopytywałem się.

– To chyba byłoby trudne. Nie mamy żadnych wspólnych wspomnień. Prawie żadnych – poprawiła się. – Musielibyśmy zaczynać wszystko od początku. Na to trzeba dużo czasu.

Czas. Od chwili kiedy w domu pojawił się motor, upłynęło ponad pół roku. Gdyby nie wypadek, dokładałyby się kolejne dni, tygodnie, miesiące.

Jednak wciąż pamiętałem wspólne wyjazdy nad jezioro, normalne życie.

– Wiesz – zaczęła powoli – myślę, że jeszcze nie jest za późno. Myślę, że powinieneś...

„Jeżeli nie wiesz, jak się zachować, zachowuj się przyzwoicie”, mawiał mój dziadek. Kiedy byłem mały, wydawało mi się, że chodzi mu o to, abym przy ziewaniu zasłaniał usta dłonią i nie dłubał w nosie. Ale teraz wiedziałem, że mówił o czym innym.

Ale jak miałem stanąć przy szpitalnym łóżku i spojrzeć ojcu w twarz?

Sam nie wiem, dlaczego zdecydowałem się to zrobić. Być może miała na to wpływ opowieść Szarej Myszy o tym, jak jej babcia postanowiła spłacić zaciągnięte przez swego syna kredyty? A może chciałem zapomnieć o swoim złym życzeniu?

A może po prostu uznałem, że powinienem to zrobić. W końcu zanim to wszystko się wydarzyło, byliśmy normalną kochającą się rodziną.

Wszedłem do sali, a serce waliło mi jak oszalałe. Nad łóżkiem ojca po niewielkim zielonym ekranie przebiegały równe impulsy.

Wiedziałem, że w szpitalnym parku siedzi Szara Myszka, mocno zaciskając kciuki.

– Tato – odezwałem się. Zamknięte powieki nie otworzyły się, ale lekko drgnęły. – To ja, Rafał. Jestem tutaj, bo... kiedyś byliśmy najlepszymi kumplami. Przykro mi, że... Po prostu jest mi przykro.

Kiedy wychodziłem, zatrzymała mnie pielęgniarka.

– Należy z nim rozmawiać – powiedziała. – Ci, którzy powracają do życia, pamiętają to.

Przez pierwszy miesiąc wakacji przychodziłem do ojca codziennie. Siadałem obok jego łóżka i opowiadałem mu o wszystkim, co się dzieje. Nie pominąłem nawet Szarej Myszy.

Czasami wydawało mi się, że mnie uważnie słucha, ale nie miałem odwagi zapytać, czy lekkie drżenie powiek to znak, że – jak określiła to pielęgniarka – wraca do życia.

Nie dotykałem jedynie jego przygody z motorem. Na to być może przyjdzie czas, myślałem.

– Twój ojciec powinien być z ciebie dumny – powiedział pewnego dnia lekarz. – Nie pojechałeś na wakacje, żeby...

Wzruszyłem ramionami. To była sprawa między mną, mamą i ojcem. I może jeszcze Szarą Myszą, która jak zwykle czekała na mnie na ławce.

Nie wiem, czy wychodząc ze szpitala, byłem z siebie dumny. Nie zrobiłem niczego... wielkiego.

Po prostu musiałem to zrobić. A może nadal go kochałem.



PAWEŁ
BERĘSEWICZ
PECH

MARCIN AŻ OCZY
PRZECIERA, JAKBY CHCIAŁ SIĘ UPEWNIĆ,
CZY TO NA PEWNO Z TYM FACETEM
PRZEPEDAŁ KONAK PÓZ EUROPY.

OPTYMIZM jest to pozytywne nastawienie do świata i do siebie, postawa afirmacji wobec życia – i warunek szczęścia. To stan umysłu, który wspiera nasze zdrowie i ułatwia relacje ze światem. Optymiści oczekują od losu i ludzi dobra – i zgodnie z samospełniającą się przepowiednią najczęściej je otrzymują! Nawet w trudnych sytuacjach dostrzegają szanse i nie rozpamiętują porażek, lecz traktują je jak okazję do wprowadzenia zmian i nauczania się czegoś nowego. Nie mówią, że mają pecha! Dla nich szklanka jest zawsze w połowie pełna!

Optymistom żyje się lepiej, mają też znacznie lepsze relacje z ludźmi niż pesymiści. Bo kto lubi przebywać w towarzystwie osób, które koncentrują się na rzeczach przykrych i złych i widzą wszystko w czarnych barwach?

A na koniec dobra wiadomość: optymizmu można się nauczyć!

Jak pech to pech! – mówi Jacek i ucieka wzrokiem w stronę leżących na podłodze kul. Przyglądam mu się uważnie: skóra pod uchem lekko wypchnięta przez zaciśnięte szczęki, ledwo dostrzegalne drgnięcie dolnej powieki – niby drobiazgi, a jednak widać, że to wszystko ciągle w nim siedzi. – A mogło być tak pięknie! – wzdycha.

– I było pięknie! – przekonuje Marcin. Robi to ostrożnie, bo wie, że z pocieszaniem nie można przesadzać. Zbyt gorliwe pocieszenie potrafi zadziałać na opak. – Praga, Dunaj, Alpy... – wymienia. – Widziałeś kiedyś coś piękniejszego niż Alpy?

Przesuwam dyktafon bliżej Jacka. Niepotrzebnie.

Pomysł wyprawy zrodził się jeszcze w liceum. Podobno na przerwie między angielskim a chemią. Co do autorstwa nie ma sporu – pomysł był Jacka.

– A gdyby tak wsiąść na rower przed domem i zatrzymać się dopiero w Portugalii?! – powiedział.

– No! – rozmarzył się Marcin. – I tak przez całą Europę siłą własnych mięśni!

– No! I przez Alpy, Pireneje i w ogóle!

– No! Aż do Atlantyku!

– No! I tam cisnąć rowery i wskoczyć do wody!

– No! W butach, ubraniu i wszystkim!

– No! I wrzeszczeć tak głośno, żeby aż w Ameryce usłyszeli!

Dzwonek na lekcje zakończył tę rozmowę, ale marzenia zostały.

Z Warszawy do Lizbony przez Czechy, Niemcy, Szwajcarię, Francję i Hiszpanię jest mniej więcej cztery tysiące kilometrów – sprawdzili to w Google Maps. To jest odległość autostradą, bocznymi drogami o wiele więcej. Żeby dojechać w miesiąc – a tak sobie zaplanowali – musieliby przejeżdżać sto pięćdziesiąt kilometrów dziennie. Zaczęli trenować w drugiej klasie, wiosną, i w czerwcu byli gotowi. Dotarliby do Lizbony z uśmiechem na ustach, gdyby nie zwykły w tym wieku problem – rodzice. „Wykluczone!”, powiedział ojciec Marcina i to był koniec dyskusji.

– Gdybyśmy pojechali wtedy... – po raz kolejny wzdycha Jacek i ze złością trąca nogą bliższą z leżących kul.

Marcin tłumaczy rodziców:

– Dziwisz się, że nie chcieli nas puścić? Nie pamiętasz, jakie dzieciaki z nas wtedy były? – Mruga do mnie i dodaje: – Na szczęście to mija. Robisz się dorosły i już nie musisz nikogo pytać, czy możesz przejechać się do Portugalii.

– No, ja nie wiem, czy to takie szczęście – burczy Jacek.

Dobra kondycja i wolność wyboru to ważne sprawy, ale same jeszcze nie gwarantują sukcesu. Miesięczny wyjazd do Portugalii kosztuje, nawet jeżeli jedzie się na rowerze. Coś trzeba po drodze jeść, gdzieś spać, jakoś wrócić do domu. To prawda, że nocleg we własnym namiocie nie jest przesadnie drogi, a bilet lotniczy z Lizbony do Warszawy można kupić po okazyjnej cenie, ale jednak jakieś pieniądze na to wszystko trzeba mieć. Ostatnia klasa liceum to czas nauki do matury – ani Jacek, ani Marcin nie mieli głowy do zarabiania, ale już w czasie wakacji przed pierwszym rokiem studiów postanowili, że do przyszłego lata zgromadzą potrzebne fundusze.

Ojciec Jacka znał jakiegoś ważnego dyrektora w którymś z dużych banków i udało mu się załatwić dla syna pracę w bankowej informacji telefonicznej. Po kilku godzinach dziennie ze słuchawką przy uchu wprawdzie mocno szumiało w głowie, ale jakoś dawało się to połączyć ze studiami, a każda wypłata przybliżała do Portugalii.

Marcin, jak sam powiedział, postanowił sobie Portugalię „wypedałować”. W tym celu zatrudnił się jako kurier i trzy dni w tygodniu po zajęciach śmigał na rowerze po ulicach Warszawy z pilnymi przesyłkami w płaskim plecaczku. Urosły mu od tego mięśnie ud i łydek, a i na stan oszczędności wpłynęło to korzystnie.

Kiedy stopniały lody i nastawa wiosna, obaj podróżnicy przeliczyli swoje zasoby i wyszło im, że wystarczy. W kalendarzu zaznaczyli kółkiem jedynekę na lipcowej kartce. Wszystko wskazywało na to, że droga do Portugalii stoi otworem.

Gdy pytam o feralny wieczór tydzień przed planowanym wyjazdem, Jacek łapie się za głowę.

– Do tej pory nie mogę w to uwierzyć – mówi.

– Bez przesady – śmieje się Marcin. – Takie rzeczy się zdarzają.

– To sam opowiedz, skoro według ciebie to takie normalne! – burczy Jacek i robi ruch, jakby chciał sobie zatkać uszy, żeby nie przeżywać ponownie tego, co już raz przeżył.

Marcin opowiada:

– Co tu dużo gadać? Przypadek i tyle. Kasę na Portugalię trzymałem w domu, ale przed wyjazdem postanowiłem wpłacić wszystko na konto. Chyba rozsądnie, nie? Włożyłem kopertę do kieszeni spodni i wyszedłem. Po drodze wstąpiłem na basen. Popływałem, ubrałem się i idę dalej. Wchodzę do banku i klepię się po kieszeni – pusta. W innych kieszeniach jakieś cudze papiery. Patrę, a to nie moje spodnie! A identyczne jak moje!

– Tylko że czarne, a twoje były granatowe – przypomina Jacek, a Marcin się śmieje:

– Ja nawet wolę czarne.

Jak to mówią: „Co się odwlecze, to nie uciecze”. Prawdziwym marzeniom niestraszne drobne niepowodzenia. Pieniądze wypedałowane na drugim roku Marcin co miesiąc zanosił do banku i to nie w jednej kieszeni, a rozłożone równo pomiędzy przód, tył, spodnie, kurtkę oraz woreczek na szyi, i nigdy, przenigdy po drodze nie zachodził na basen. Udało się. Późną wiosną kwota na koncie nie była wprawdzie zawrotna, ale na wyprawę bez szaleństw raczej wystarczająca. Maj upłynął na czyszczeniu łańcuchów, smarowaniu przrzutek, regulowaniu hamulców i odliczaniu dni.

Drugiego lipca o świcie przed blokiem na Ursynowie stanęły dwa objuczone rowery – przy każdym pękate sakwy (po parze z tyłu i drugiej na przednim kole), namiot rozdzielony na dwa pakunki i biało-czerwone chorągiewki na elastycznych drzewcach. Jacek i Marcin w obcisłych czarnych spodenkach, kolorowych bluzach z suwakiem, rękawiczkach bez palców i opływowych kaskach stali przy swoich pojazdach. W tak

podniosłej chwili coś ścisnęło ich za gardło. Patrzyli w milczeniu w kierunku Portugalii, aż w końcu Jacek spytał:

– Jedziemy?

Wspięli się na siodełka, nie podejrzewając nawet, że choć ruszają we dwóch, to słoneczna Lizbona pisana jest tylko jednemu.

– A mogliśmy wyjechać pierwszego! – cedzi przez zęby Jacek i trudno powiedzieć, do kogo ma żal: do losu, pogody, Marcina?

– Przecież pierwszego lało od rana! – przypomina Marcin.

– Lało! Najwyżej trochę by nas zmoczyło! A za to wszystko przesunęłoby się o jeden dzień.

– I co? – prychnął Marcin. – Myślisz, że dzień wcześniej na zakręcie nie byłoby piasku? Zresztą, gdyby się przesunęło, to nie spotkalibyśmy Christiny i Flavii. He? Masz na to dobrą odpowiedź?

Śmieje się głośno, ale zaraz przestaje, żeby nie denerwować Jacka.

Pierwsze dni były dość trudne. Treningi treningami, a jazda z pełnym obciążeniem to coś zupełnie innego. Dopiero w połowie czwartego dnia zapomnieli, że mają nogi – w Kłodzku jeszcze bolały, a w Bystrzycy już nie. Granicę przekroczyli w Kudowie.

– Ahoj! – zawołał wtedy Marcin do Czech i tego wszystkiego, co mieli przed sobą.

Ruszyli doliną Łaby, lecz w porę odbili do Pragi, a po niej na zachód i przez pagórki Czeskiego Lasu do Niemiec – do średniowiecznej Ratyzbony z gotycką katedrą i kamiennym mostem, pod którym czekał już na nich Dunaj. Skręcili w górę rzeki i przez półtora dnia trzymali się jej brzegu, by nagle zrobić zwrot na południe, w stronę Jeziora Bodeńskiego i zaśnieżonych Alp. Doliną Renu wdarli się przez Lichtenstein do

Szwajcarii. Tam – to pnać się na podniebne przełęcze, to mknąć do zawrotu głowy ku zielonym alpejskim dolinom – przebili się aż do Genewy i chwilę później do Francji.

– Widoki jak widoki... – Jacek wzrusza ramionami, kiedy próbuję wyciągnąć z niego jakieś miłe wspomnienia.

Znacząco zerka na kule i widać, że chętnie by już kończył rozmowę. Za to z Marcina nie muszę niczego wyciągać.

– Człowieku! – mówi. – Widoki takie, że czasem aż oczy zamykasz, bo się boisz, że w takiej ilości ci zaszkodzą! Siedzisz sobie na przykład nad takim Jeziorem Genewskim i patrzysz na Mont Blanc. Czujesz, że szczęka ci opadła, wiesz, że z rozdziawioną gębą wyglądasz jak głupek, a i tak nie dajesz rady jej zamknąć. Chciałbyś tak siedzieć i siedzieć, i siedzieć, a jednocześnie śpieszy ci się za następny zakręt, bo tam czeka nowy widok, jeszcze piękniejszy! Mówię ci, stary, zwariować można!

– Zwariować to można, kiedy się pomyśli, jak na świecie byłoby pięknie, gdyby nie wynaleziono pecha – zrzędzi Jacek.

W Genewie mieli dzień przymusowego postoju. Marcin odkrył, że pękł mu widelec. Ten, który trzyma przednie koło. To ważna część roweru, szczególnie kiedy się pędzi szosą w dół szybciej niż samochody. Wymiana zajęła sporo czasu, a i kosztowała niemało, ale za to poznali Christinę i Flavię. Dwie włoskie studentki, również rowerzystki, jechały z Brukseli do Neapolu – też ambitny plan. Spotkali się w serwisie (zerwany łańcuch Flavii) i fajnie im się rozmawiało. Do późnej nocy siedzieli w czwórce nad jeziorem.

– Co wam szkodzi, pojedźcie z nami do Neapolu – powiedziała następnego dnia Christina.

– A może wy z nami do Lizbony? – zaproponował Marcin.

– Neapol lepszy – przekonywały.

– Ale my musimy do Lizbony.

Musieli. Zbyt długo o tym marzyli. Rozstali się na mostku. Dziewczyny ruszyły na południe, oni na zachód. Oczywiście wymienili się numerami.

– To jest życie! – wzdycha Marcin i robi gest, jakby się przeciągał. – Budzisz się rano i myślisz: Dokąd by tu dzisiaj pojechać? Lizbona? Neapol? A może San Francisco albo Buenos Aires? – Śmieje się jak to on, ze wszystkimi zębami na wierzchu, i dodaje: – W przyszłym roku planujemy wyjazd we czwórkę.

– Z Flavią i... jak jej tam? – upewniam się.

– Christiną.

Jacek krzywi się i jakby mimochodem zerka na kule.

– Mów za siebie – cedzi przez zęby. – Ja tam nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek gdzieś pojedę.

– Nie marudź, przejdzie ci. – Marcin macha ręką.

Przesadnie delikatny to on nie jest.

Z Genewy popedałowali doliną Rodanu, ale zanim wielka spieniona rzeka dotarła do morza, odbili mocno na zachód w stronę Masywu Centralnego. Wiatr hulał na dzikich płaskowyżach i w pustych misach wygasłych wulkanów, a oni jechali niestrudzenie i w mięśniach czuli moc. Minęli słynne Carcassonne opasane kamiennym murem sprzed wieków, a następnego dnia stanęli u podnóża potężnych Pirenejów. Pot spływał spod kasków i kapał na czarny asfalt szalonej serpentyny, gdy pięli się mozolnie do skalistej Andory, a dalej, za górami, była już Hiszpania. Pomknęli w dół, wprost do Barcelony, a potem jechali wolniej, bo morze było tak błękitne, że nie mogli się oprzeć pokusie kąpieli. W miejscu, gdzie rzeka Ebro wielką deltą kończy swój bieg, skręcili na zachód, by przez góry i pustkowia dotrzeć do Madrytu. Stamtąd do Lizbony było już tylko pięć dni drogi.

– A pogoda? – pytam.

Chcę jeszcze na chwilę odwlec to, co nieuchronne.

– Najpierw ciągle lało, a potem był taki skwar, że oddychać się nie dało. – Jacek wystawia język i wachluje się dłonią.

Marcin aż oczy przeciera, jakby chciał się upewnić, czy to na pewno z tym facetem przepedałował pół Europy. Wygląda na to, że wieźli ze sobą dwie różne pogody.

– Gdzie lało? – oburza się. – Raz czy dwa popadało, a poza tym było w porządku.

– Aha! Kiedy się obudziłeś w środku kałuży, nie byłeś taki wesoły – przypomina Jacek, na co Marcin jak zwykle się śmieje.

– Oj tam, oj tam! Po prostu spałem w dołku. U ciebie było sucho.

To chyba wszystko, jeśli chodzi o pogodę. Żaden z nich nic więcej nie mówi. Orzeszek, łyczek, nieobecny wzrok – czuję, że znowu tam są. Wyjeżdżają z Madrytu. Jeszcze jadą razem. Teraz opowieść zwolni. Zbliżamy się do finału.

Wyjazd z Madrytu nie był przyjemny. Szare przemysłowe przedmieścia, ruchliwa wylotówka, huk tirów i smród spalin – tym każda metropolia żegna rowerzystę. Potem miasto płynnie przeszło w podmiejską otulinę i Madryt mieli za sobą. Najkrótsza droga do Lizbony wiodła doliną Tagu i właśnie wzdłuż Tagu zamierzali wędrować, ale żeby nie jechać do rzeki wzdłuż autostrady, wybrali małą lokalną szosę trochę naokoło. Przenocowali w oliwnym gaju na zboczach Sierra de Gredos, a kiedy rano słońce wygoniło ich z namiotu, zjedli szybkie śniadanie, zwinęli obóz i ruszyli w dół ku dolinie. Około południa dotarli do Tagu, który w tym miejscu tworzył wielkie sztuczne jezioro. W miejscowości El Gordo zatrzymali się tylko na chwilę, żeby zrobić zakupy. Za miasteczkiem droga lekko odchodziła od rzeki i przez pewien czas bujała nimi łagodnie na płaskich zielonych pagórkach. Na szczycie jednego z nich przy kamiennym krzyżu odbijała w lewo dróżka z dziurawym asfaltem – tak wąska, że dwa samochody nie dałyby rady się minąć. Jak wynikało z mapy, kilka

kilometrów dalej dochodziła z powrotem do głównej szosy, oferując zainteresowanym bardzo kuszący skrót.

– Jedziemy? – spytał Jacek i oczywiście pojechali.

Początkowo dróżka łagodnie opadała, by po kilkuset metrach dotrzeć do kamiennego mostku. Teren w tym miejscu robił się płaski, tworząc płytką szeroką kotlinę przeciętą krętym strumieniem. Luźny żwir rozrzucony po zniszczonym asfalcie chrzęścił pod oponami, kiedy za rzeczką skręcili w lewo i pojechali wzdłuż brzegu. Za którymś z kolejnych zakrętów drogę przecięła im brama z żelaznych rurek i siatki. Prostopadle do szosy w obu kierunkach biegło solidne ogrodzenie, wykrawając z kotliny potężną zamkniętą połąć. Na bramie wisiał łańcuch z kłódką, ale na furtce obok już nie. Spojrzeli na siebie niepewnie. Ani jednemu, ani drugiemu nie uśmiechało się jechanie z powrotem. Sprawdzili furtkę. Nie stawiała oporu. Na płocie była jakaś tabliczka, ale nie po polsku, więc w końcu wzruszyli ramionami i przejechali.

Kilkaset metrów dalej stał następny płot. Ten był o wiele niższy, ale sądząc po karteczce z piorunem, mógł być podłączony do prądu. Za ogrodzeniem, na pożółkłej od słońca łące rosło kilka rozłożystych dębów korkowych. Jacek z Marcinem zeskoczyli z rowerów i stanęli jak wryci na widok czarnych cielsk w cieniu między rudawymi pniami.

– I to się stało tam, tak? – pytam, kiedy przestają mówić.

Żaden nie odpowiada, ale wiem, że tak. Daję im jeszcze chwilę i lekko naciskam:

– To co było dalej?

Czuję, że Marcin chętnie by opowiedział, ale zerka na Jacka i jakby traci śmiałość.

– Zobaczyliście te byki i... – pomagam mu zacząć.

– Opowiedz mu, jak to było – niechętnie mruczy Jacek, a Marcin się rozpromienia.

– No wiesz – mówi. – Byki w Hiszpanii to niby normalne, korrida i te sprawy. Ale jak zobaczyliśmy tamte bestie, to, uwierz mi, stary, szczęki nam opadły. Po prostu giganty! I tak stały pod tymi drzewami, żuły, łypały na nas spode łba, a rogi, że strach się bać! I wtedy coś mi strzeliło do

głowy, że niby toreador jestem. Jest płot pod napięciem – myślę – nie ma niebezpieczeństwa. Wyciągnąłem z sakwy ręcznik, taki piękny, czerwony, i dalej nim wymachiwać, krzyczeć i wygibasy robić. Jeden mnie zauważył. Opuścił łeb, grzebnął kopytem, fuknął i ruszył w naszą stronę. Nieswojo mi się zrobiło mimo tego płotu i prądu, ale stoję i patrzę, tylko już nie macham ręcznikiem. Byk podbiegł do ogrodzenia, stanął i widzę po jego minie, że chętnie by mnie drapnął którymś rożkiem. „Nic z tego, bysiu”, mówię i robię do niego głupie miny. On odwraca się bokiem i truchcikiem biegnie wzdłuż płotu. Patrzę za nim i nagle, uwierz mi, stary, dosłownie ręcznik wyleciał mi z rąk! Jakies pięćdziesiąt metrów dalej dziura w ogrodzeniu! Na pięć byków szeroka! „Spadamy!”, drę się do Jacka i wskakuję na rower. Trochę czasu upłynęło, zanim się zorientowałem, co jest grane, ale jak już zrozumiał, to tak dał po pedałach, że na pierwszej prostej mnie wyprzedził. Rekord świata wtedy pobiłeś, co?

– Bardzo śmieszne! – burczy Jacek.

Chyba rzeczywiście go to nie śmieszy. A Marcina przeciwnie, więc parska krótkim śmiechem i mówi dalej:

– Odwracam się przez ramię, a byk już za ogrodzeniem. Pędzi drogą, aż ziemia się trzęsie. Jakies trzydzieści, czterdzieści metrów za mną. Naciskam na pedały jeszcze mocniej – już nie chcę być toreadorem – i wchodzę w zakręt z naprawdę sporą prędkością. Tam był jakiś piasek czy żwir na asfalcie, koło mi odjechało na wirażu i zwałem się na drogę. Zrywam się natychmiast, podnoszę rower, a byk tuż-tuż. Tylko nie w rower! – myślę. – Ja muszę do Lizbony! Naprawdę tak pomyślałem. A on właśnie w rower! Wbił róg w tylną sakwę i szarpnął łbem. Żelastwo fru! do góry, a on był łaskawy przelecieć po mnie i pognać za obecnym tu kolegą. – Klepie Jacka po plecach. – No, to teraz ty opowiadaj, bo ja już dalej nie widziałem.

Jacek wydyma wargi i wzrusza ramionami.

– Co tu gadać – mówi. – Mnie też by dopadł, gdyby się jacyś faceci nie zjawili i go nie zatrzymali. Pasterze tych byków chyba. Pobiegliśmy wszyscy na ten zakręt, a on tam leży i się nie rusza. Toreador od siedmiu boleści! Tamci wezwali pogotowie, przyjechała karetka i zabrała go do Madrytu. Któryś z tych gości od byków też się tam akurat wybierał, więc pojechałem razem z nim. – Wzdycha głośno, a potem obaj siedzą wsłuchani we własne myśli.

Na razie nie pytam dalej.

Po dokładnych badaniach w szpitalu okazało się, że Marcin miał szczęście. Złamana kość udowa to wprawdzie nie powód do radości, ale mogło być gorzej. Poza tym parę siniaków i zadrapań – dla toreadorów to przecież chleb powszedni. Oczywiście o dalszej jeździe nie mogło być mowy – z nogą w gipsie trudno się pedałuje. Zresztą rower był w o wiele gorszym stanie niż jego właściciel. Jacek zaproponował, że wróci z Madrytu razem z Marcinem, ale odetchnął z ulgą, kiedy ten powiedział:

– Zwariowałeś? Niech przynajmniej jeden z nas dojedzie do tej Lizbony.

Zadzwonili gdzie trzeba, sprawdzali, kupili jeden bilet do Warszawy, Jacek wsadził Marcina do samolotu i następnego dnia ruszył do Portugalii. Żeby nadrobić stracony czas, pojechał tym razem najkrótszą drogą i pedałowal tak sumiennie, że już czwartego dnia pod wieczór był na przedmieściach Lizbony. Kiedy piął się pod górę wąskimi uliczkami Starówki za żółtym wagonikiem śmiesznego tramwaju, słońce wisiało tuż nad czerwonymi dachami i nie świeciło już tak zawzięcie. Ostre kanty białych kamieniczek miękły w przedwieczornym świetle, a ciepły półcień koił zmęczone oczy. Potem został tylko ostatni zjazd, ostatnie metry z milionów, które uciekły spod kół. Nie musiał już pedałowac. Rower sam rwał się w dół jak koń czujący bliskość stajni. Brzeg zatoki był coraz bliżej i Jacek lekko naciskał hamulce – żeby się nie rozpędzać, żeby na nikogo nie wpaść, żeby to jeszcze troszkę potrwało.

– No to ogólnie jak było? – pytam, kiedy przychodzi czas podsumowań.

– Bajka! Kłapa! – mówią jednocześnie i przez moment jestem zdezorientowany.

Patrzę na błyszczące oczy Marcina i zaciśniętą szczękę Jacka. Dopasowuję słowa do min.

– Dlaczego kłapa? – pytam. – Dojechałeś, zobaczyłeś, dałeś radę, spełniłeś marzenie, wróciłeś cały. Nic, tylko się cieszyć, nie?

– Cieszyłbym się – wzdycha Jacek. – Gdyby nie ten pech.

– Jaki pech?

– Jak to jaki?! – złości się. – Z tym spóźnieniem! Jeden głupi dzień, wyobrażasz sobie?

Nie rozumiem, o co mu chodzi, więc krzywi się i niechętnie tłumaczy:

– Przyjechałem w środę wieczorem, tak? No właśnie. Postąłem chwilę nad tą wodą, zrobiłem zdjęcie, posłałem Marcinowi i poszukałem kempingu. Rozbiłem się pod jakimś drzewem, żeby mieć rano cień, a obok stał namiot młodych Niemców, mniej więcej w moim wieku. Zobaczyli, że jestem rowerem, spytali, skąd jadę, i tak jakoś zaczęliśmy gadać. „Szkoda, że cię tu wczoraj nie było”, mówi jeden z nich. „Ronaldo przyjechał”. Myślałem, że źle słyszę, więc pytam, jaki Ronaldo, a oni: „Jak to jaki? Ten Ronaldo! Cristiano Ronaldo! ”. Ja, że to niemożliwe, skąd Ronaldo tutaj, a oni wyciągają komórki i pokazują zdjęcia. I proszę bardzo: Cristiano Ronaldo pod drzewem – dokładnie w miejscu, gdzie stoi mój namiot, Cristiano Ronaldo z moimi Niemcami, Cristiano Ronaldo na kempingowym boisku, a moi Niemcy z nim w jednej drużynie... I to wszystko we wtorek, rozumiesz? Dzień wcześniej! Jeden, jedyny dzień! Cristiano Ronaldo! ... Gdyby nie głupi pech...

Marcin nie wspiera go w bólu. Trochę się nawet podśmiewa.

– Gdyby nie dwa pechy, byłbyś o dzień za wcześniej.

– Ale wtedy bym nie wiedział, co straciłem! – wścieka się Jacek. – A ty co taki zadowolony? W gipsie wrócił, a cieszy się, jakby go nie wiem jakie szczęście spotkało!

– A nie spotkało?

– Chyba byk cię spotkał!

– A wiesz, jakie to robi wrażenie na dziewczynach, kiedy im opowiadam, że byłem toreadorem?

Oddalam się po angielsku, żeby im nie przeszkadzać. Przez chwilę jeszcze się sprzeczą, a potem Marcin wstaje i podchodzi do kul. Jeszcze trochę utyka. Bierze jedną z podłogi, robi zamach i turla po torze. Wszystkie kręgle spadają, więc podnosi ręce i cieszy się jak dziecko. Jacek też trafia idealnie. Kręci głową i mruczy coś pod nosem.

– Jeden, jedyny dzień! – czytamy z ruchu warg.

WOJCIECH CESARZ
SZTUKA PROGRO-
MOWANIA



WIECZO-
REM,
TUŻ PRZED
SNEM, RADEK
POCZUK,
ŻE JAKIŚ
WIELKI CIĘŻAR
SPADŁ MU
Z SERCA.
DAWNO
NIE CZUK SIĘ
TAK DOBRZE.



PRZYJAŹŃ to silny związek między ludźmi, oparty na wzajemnej sympatii i szacunku, lojalności, zaufaniu, życzliwości, solidarności, zrozumieniu, wspólnych zainteresowaniach i podobnym systemie wartości. Przyjaźń wymaga symetrii – nie można przyjaźnić się z kimś, kto nie przyjaźni się z nami, nie wnosi w tę relację równoważnego wkładu lub nas wykorzystuje. O przyjaźń trzeba dbać – spędzać razem czas lub pozostawać w bliskim kontakcie, pomagać sobie wzajemnie. Należy dochowywać tajemnic przyjaciela, a także wspierać go w trudnych sytuacjach. Ważne jest, by być wielkodusznym i wybaczać sobie drobne błędy. Prawdziwa przyjaźń nie oznacza jednak, że powinniśmy aprobować wszystkie pomysły czy zachowania przyjaciela – przeciwnie, czasem trzeba mu się przeciwstawić, odwieść od złych działań i wyborów. Gdy na przykład próbuje narkotyków lub planuje niebezpieczne akcje, należy interweniować: najpierw z nim porozmawiać, a jeśli to nie skutkuje, zawiadomić jego rodziców lub inne właściwe osoby, zanim wydarzy się coś złego. Prawdziwa i długotrwała przyjaźń jest jednym z największych skarbów w życiu.

Woda w morzu była wyjątkowo ciepła, Radek płynął spokojnie w stronę palm rosnących na plaży. Zostało mu jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy będąc na szczycie fali, zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Od strony otwartego morza szybko zbliżała się, widoczna na powierzchni wody, płetwa rekina. Ludzie na brzegu zaczęli wrzeszczeć i dawać mu jakieś znaki. Chłopiec błyskawicznie przeszedł do kraula i młócił wodę rękami i nogami jak jeszcze nigdy w życiu. Rekin zbliżał się szybko...

Nagle usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Ocknął się gwałtownie i lekko nieprzytomnym wzrokiem powiódł po klasie. Zobaczył znajome twarze, wszyscy byli opaleni i zrelaksowani. Wiedzieli, że kłopoty zaczną się dopiero od jutra. Przy wejściu stała pani Kawecka i patrzyła z półuśmiechem na rozgadanych wychowanków. Tuż przy niej przestępował z nogi na nogę jakiś chłopak w okularach.

– Witam was. I ciszej, proszę, dzisiaj zaczęliśmy nowy rok szkolny – rzuciła. – Przedstawiam wam nowego kolegę.

Nowy patrzył pod nogi, nie wykonał żadnego gestu. Ale po chwili się zreflektował.

– Dzień dobry – mruknął. – Jestem Jacek.

Klasa przyjęła go bez entuzjazmu. Pierwsze wrażenie, przynajmniej Radka, było raczej mizerne. Po chwili zapomnieli o Nowym, bo omawiali plan zajęć sportowych. Lekcja minęła szybko. Na przerwie razem z kumplami podeszli do Nowego. Stał w kącie boiska i czytał książkę.

– Chłopaki, to chyba jakiś kujon – powiedział Steffi, najlepszy piłkarz w szkole.

– Może ma coś ciekawego, no wiecie... – zainteresował się długowłosy Modry.

Otoczyli Nowego kręgiem i któryś zapytał:

– Ty, Nowy, co tam czytasz po kryjomu?

– Mam na imię Jacek – powiedział z naciskiem chłopak w okularach.

– Na imię to trzeba zasłużyć – zaśmiał się Modry.

Radek szybkim ruchem wyrwał Jackowi książkę.

– *Wstęp do programowania języka C* – przeczytał zdumiony.

– Co za jakieś bzdury, żenada – roześmiał się Steffi – Mówiłem, że kujon.

Radek – zmieszany – szybko oddał Jackowi książkę. Kilka dni temu sam zapisał się na kurs programowania. Zrobiło mu się trochę głupio.

– To nie takie bzdury – mruknął – to jest przyszłość.

Ale nikogo to specjalnie nie interesowało. Na następnej przerwie Modry nadal dokuczał Jackowi, ale Radek nie brał już w tym udziału. Zastanawiał się, że może z nim samym coś jest nie tak, skoro zamiast grać z chłopakami w piłkę, zapisał się na ten kurs. Długo dojrzywał do tej decyzji, więc był bardzo podniecony, bo programowanie to było coś tajemniczego i wprowadzającego w dorosłość.

Dzień szybko minął, a po powrocie do domu odpalił komputer i włączył swój debiutancki, nieudolnie skompilowany program. Niestety, kolejny raz nie chciał się otworzyć.

Przez cały tydzień w szkole nic się nie działo, poza codziennym dogryzaniem Nowemu. Ale on ze spokojem znosił wszystkie zaczepki i trzymał się na uboczu, nie nawiązując żadnych bliższych znajomości.

– Co za przymuł z niego – codziennie powtarzał Modry. – Skąd on się urwał?

W piątek po południu Radek stawił się w MDK-u na pierwszej, długo wyczekiwanej lekcji programowania. Ze zdumieniem zobaczył wśród grupki chłopców znajomą twarz w okularach. Nie namyślając się długo, usiadł po drugiej stronie sali. Pierwszy wykład to był prawdziwy koszmar, kompletnie nie rozumiał słów wykładowcy. Jediną osobą, która brała aktywny udział w zajęciach, był Jacek. Trochę go to wkurzyło. Ale przypomniał sobie, że to przecież kujon.

Wracając do domu, zauważył Jacka, który szedł przed nim. Wyglądało na to, że mieszkają na tym samym osiedlu. Szybko go dogonił.

– Cześć, co tak pędzisz?

– Muszę się zająć siostrą.

– Co ty, niańka jesteś?

Jacek wzruszył ramionami i przyśpieszył. Radek ruszył za nim.

– Skąd tyle wiesz o tym programowaniu? – zapytał.

– Jestem zielony jak każdy, tylko trochę o tym czytałem – wyjaśnił Jacek.

– W ogóle od niedawna mam komputer. Jak chcesz, to pożyczę ci książkę, znam ją na pamięć.

– Nie bardzo mam czas... – zachnął się Radek – a zresztą dobra, mogę wpaść na chwilę.

Jacek mieszkał z drugiej strony osiedla, w pobliżu parku. Gdy weszli do mieszkania, powitał ich wielki kudłaty pies. Skoczył na Jacka i z radości polizał go po twarzy, a potem spojrzał czujnie na Radka i już po chwili usiłował powitać i jego. Jacek z trudem odciągnął ogromne psisko.

– To jest Koks, lepiej zamknę go w kuchni.

– Zostaw, psy są spoko – zaproponował Radek.

Po chwili tarzał się z Koksem po podłodze, a gdy przyłączył się do nich Jacek, o mało nie zdemolowali pokoju. Zabawę przerwał głośny śmiech. Radek zerwał się i zobaczył stojącą w progu jasnowłosą dziewczynkę, bardzo podobną do Jacka.

– Cześć – powiedział niepewnie, a potem spojrzał z niedowierzaniem na koleżkę. – Jesteście bliźniakami?

– Ja jestem młodsza o kilka minut – roześmiała się dziewczynka. – Cześć, mam na imię Matylda.

Dopiero gdy podeszła do niego z wyciągniętą dłonią, Radek zauważył, że Matylda mocno utyka i ma na nodze stabilizator.

– Co ci się stało? – zapytał niezręcznie.

– Nic, mam tak od urodzenia. Nic poważnego. – Wyraźnie posmutniała.

Koks domagał się dalszej zabawy, ale atmosfera się popsuła i Radek szybko się pożegnał. Zapomniał zabrać książkę, po którą przyszedł.

Następnego dnia w szkole dowiedział się od Jacka, że stan Matyldy pogarsza się z roku na rok, a operacja, która mogłaby jej pomóc, jest bardzo droga. Koledzy trochę się z Radka nabijali, że rozmawia z Nowym.

– O czym tak gadasz z tym kujonem? – spytał Modry. – Chcesz zostać prymusem czy co?

– Nie twój interes – odciął się Radek.

Codziennie po lekcjach grali w piłkę na szkolnym boisku. Pewnego dnia rozgrywali mecz z chłopakami z innej szkoły. Ktoś z drużyny zachorował i na gwałt szukali zawodnika.

– Może weźmiemy Nowego? – zaproponował ktoś z klasy.

– Czy ja wiem? – Steffi zawahał się. – Zresztą zobaczymy, czy coś umie.

– Zagrasz z nami w piłkę? – krzyknął Radek.

Jacek podszedł do nich i popatrzył tęsknie na boisko.

– Chciałbym, ale muszę wracać do domu.

Potem odwrócił się i szybko ruszył przed siebie. Ciszę, która zapanowała w grupce chłopców, przerwał w końcu Modry:

– Co za dziobak i niedojda, musi wracać do mamusi.

– No to już nigdy z nami nie zagra – wściekł się Steffi. – Pewnie to łamaga.

Wszyscy się zaśmiali. Radek przypomniał sobie Matyldę i zrobiło mu się głupio. Chciał coś powiedzieć, ale popatrzył na kolegów i postanowił się nie odzywać. W końcu to nie jego sprawa.

Programowanie wciągnęło Radka, kilku kursantów co prawda odpadło, ale on odkrył swoją nową pasję. Jacek chyba też, bo nie opuścił żadnych zajęć. Zresztą dzięki jego pomocy w głowie Radka szybko zaskoczyły wszystkie trybiki. Po zajęciach bardzo często odwiedzał Jacka – bawił się z Koksem i dużo rozmawiał z Matyldą. Sam już nie wiedział, czy przychodzi do kolegi, bo chce skorzystać z jego wiedzy czy raczej pogadać z jego siostrą. Jedno było pewne, Matylda bardzo mu się podobała. Tym bardziej, im częściej ją widywał.

Nie wiadomo kiedy zrobiła się jesień. Któregoś dnia po lekcjach, gdy kompletowali drużynę piłkarską, podszedł do nich Jacek.

– Mógłbym z wami zagrać? – spytał, patrząc na Radka.

– Spadaj! – mruknął Modry.

Radek, zakłopotany, starał się unikać wzroku Jacka.

– Twój czas minął, miałeś szansę, ale nas wystawiłeś! – obruszył się Steffi.

– Naprawdę nie mogłem wtedy zostać. – Jacek znów popatrzył na Radka, który uparcie gapił się w ziemię.

– Zjeżdżaj, kujonie! – krzyknął Modry.

– Pójdę, jak będę chciał – powiedział Jacek spokojnie.

Wtedy Modry podskoczył do niego i tak go popchnął, że chłopak przewrócił się na trawę. Rozległy się śmiechy i gwizdy. Radek był zły na kolegów, ale nie zareagował, tylko odwrócił się i przyklęknął, żeby zawiązać sobie sznurowadło. Gdy się podniósł, Jacek już schodził z boiska.

Wieczorem na kursie Radek miał jak zwykle dużo pytań do Jacka, ale ten siedział apatycznie i w ogóle się nie odzywał.

– Co się stało? – zdenerwował się w końcu Radek. – Chodzi ci o to w szkole? Zawsze tak jest na początku.

– Nie wiesz, co się stało? – zapytał Jacek.

– A co mogłem zrobić?

– Cokolwiek – powiedział cicho Jacek. – Myślałem, że jesteś moim przyjacielem, zresztą nieważne... – Urwał i przesiadł się na inne miejsce, daleko od Radka.

Po powrocie do domu Radek długo jeszcze myślał o tej rozmowie. Chyba nigdy nie miał przyjaciela i nie bardzo wiedział, co to znaczy. Było mu trochę smutno i żałował, że Jacek nie zaprosił go do domu, gdzie mógłby pogadać z Matyldą i poszaleć z Koksem, a także wspólnie z Jackiem przygotowywać program do wyświetlania zdjęć, który razem pisali.

Minęło kilka tygodni. Sytuacja Jacka w klasie nie poprawiła się, zresztą od kilku dni nie przychodził do szkoły. Radek próbował rozmawiać o Nowym z kolegami, ale powiedzieli mu, żeby nie zawracał głowy i dał sobie spokój. W końcu zdenerwowała go ta cała historia. Trudno, nie będzie się napraszał! W sumie nie czuł się winny, chociaż zdawał sobie sprawę, że jednak... może powinien wtedy jakoś zareagować. Słowo „przyjaciel” nadal chodziło mu po głowie, właściwie ciągle o tym myślał. Któregoś dnia, gdy wracał ze szkoły, przypadkiem zobaczył na szybie sklepu znajome zdjęcie. Ze zdumieniem przeczytał anons: „...zaginął pies, wabi się KOKS”.

Serce zabiło mu gwałtownie. Rozejrzał się dokoła, w okolicach parku roilo się od psów i piesków, ale na ogół z właścicielami. Jak mogli zgubić Koksa? Ogarnęła go złość. Wyjął z kieszeni telefon. Krótka rozmowa z Matyldą przyniosła fatalne wiadomości. Podczas spaceru Jacek miał wypadek, potracił go motocyklista. Koks uciekł w panice, a Jacek jutro wychodzi ze szpitala.

– Jak mogę pomóc? – spytał Radek po chwili.

Niestety, Matylda już się rozłączyła. Po chwili zastanowienia ruszył biegiem do domu po rower. Do późnego wieczoru jeździł po parku oraz okolicznych ulicach i nawoływał Koksa, pytał o niego spotkanych znajomych i nieznajomych. Bez rezultatu. Po powrocie do domu jeszcze raz zadzwonił do Matyldy. Tym razem odebrała mama. Po krótkiej rozmowie dowiedział się, że z Jackiem wszystko w porządku. Jest tylko mocno potłuczony i jeszcze przez kilka dni pozostanie w domu.

– Czy mogę teraz do niego zadzwonić? – zapytał.

– To raczej niemożliwe, syn nie ma komórki. – Mama odłożyła słuchawkę.

Nie ma komórki? Radkowi nie mieściło się w głowie, jak można nie mieć telefonu. Całe sobotnie przedpołudnie spędził, jeżdżąc po osiedlu i jego okolicach. Nawet raz mu się wydawało... Ale nie, to nie był Koks i w dodatku miał właścicielkę. Gdy pedałowiał z szybkością ponaddzwiękową w jego stronę z dzikim okrzykiem „Kooooks!”, właścicielka pogroziła mu parasolką, a potem przywołała psa, który nazywał się Ringo i pokazał Radkowi kły. Wracając do domu na obiad, chłopak postanowił poprosić o pomoc ojca, ale okazało się, że to kolejny roboczy weekend w jego agencji reklamowej. Obraz zaginionego Koksa nie dawał chłopcu spokoju, zadzwonił więc do Matyldy i dowiedział się, że Jacek jest już w domu.

– Czy on... – wyjąkał Radek – czy wszystko jest okej?

– Chcesz, to go zapytaj.

– Może nie... – szybko wycofał się Radek. – Nie wiem, czy będzie chciał ze mną rozmawiać. A Koks?

– Koksa nadal nie ma. – Matylda zaczęła płakać.

Radek pożegnał się czym prędzej. Czuł się dziwnie, jakby coś nie dawało mu spokoju. Do późnego wieczoru szukał psa. Na darmo.

Następnego dnia rano przygotował sobie kanapkę, zabrał wodę i spakował plecak. Postanowił odwiedzić okoliczne miejscowości. Pogoda się popsuła i zanosilo się na deszcz. Szybko pokonywał lokalną drogę do Jabłonki, małej wioski położonej kilka kilometrów od granicy jego osiedla. Gdy tam dojechał, niebo zrobiło się czarne, a porywisty wiatr zaczął szarpać konarami drzew, strząsając ostatnie liście. Wioska wydawała się opustoszała, tylko z kościoła dobiegały dźwięki organów z niedzielnej mszy. Powoli przejechał główną drogą, uważnie lustrując wszystkie podwórka. Nie zauważył śladu Koksa. Postanowił poczekać, aż skończy się nabożeństwo, i popytać ludzi. Gdy ruszył w kierunku ostatniego zabudowania pod lasem, wichura zrobiła się niepokojąca i lunął deszcz. Był może w połowie drogi, gdy dobiegło go ochryple szczekanie. Nigdy nie słyszał, jak Koks szczeka, ale to brzmiało jak wołanie o pomoc. Gdy dotarł do zamkniętego podwórka, zobaczył wściekle szarpiącego się na łańcuchu wielkiego psa. Wyglądał znajomo, ale Radek nie był pewien, czy to Koks – deszcz zalewał mu oczy a szalejący wiatr targał chmurami zeschniętych liści.

– Koks! – zawołał. – Koks!

Pies przysiadł nagle, postawił uszy i spojrzał na Radka sterczącego za płotem. A potem zawył dziko i zaczął skakać z radości. Chłopiec rzucił się do furtki i szarpnął rygiel. Do dzisiaj nie wie, jak udało mu się dostać do środka i uwolnić psa z łańcucha. Dom wydawał się zamknięty i pusty. Gdy wybiegali na drogę, deszcz przeszedł w ulewę i zrobiło się szaro. Wskakując na rower, Radek zauważył w oddali światła zbliżającego się samochodu i szybko skręcił w boczną drogę. Koks pognał za nim. Rozpędzony samochód skręcił za uciekinierami, ale to była droga dla krów i rowerzystów, musiał się więc zatrzymać. Z auta wyskoczyła jakaś barczysta postać i pobiegła za nimi. Radek pedałowal szaleńczo, a Koks rwał teraz przodem.

– Stój, gówniarzu! Oddawaj psa!!! – usłyszał.

Nacisnął mocniej na pedały, aby zwiększyć dystans, ale nagle spadł mu łańcuch i Radek przewrócił się prosto w ogromną kałużę. Podnosząc się, ujrzał nadbiegającego wielkiego faceta – jego czerwona twarz była wykrzywiona z wściekłości. Przerażony chłopiec usiłował szybko podnieść rower, ale było już za późno. Przygotował się na najgorsze, zacisnął mocno powieki. I wtedy usłyszał głucho warczenie. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że mężczyzna cofa się z szeroko rozłożonymi rękami. Koks już nie wyglądał na łagodnego psa, właściwie w ogóle nie wyglądał na psa, tylko na groźnego cyborga. Powoli zbliżał się z obnażonymi kłami do przerażonego draba, który wycofywał się coraz szybciej.

– Koks! – przywołał psa Radek.

Pies zatrzymał się i szczeknął głośno. Facet podskoczył, odwrócił się i ruszył pędem przed siebie, przeskakując kałuże, jakby go wystrzelono z procy. W innej sytuacji Radek może by podziwiał jego sprint, ale nie tym razem. Podrapał Koks za uchem, poprawił łańcuch w rowerze i ruszyli dalej. Z daleka dobiegł do nich wściekły wrzask osiłka:

– Jeszcze się policzymy, szczeniaku. Niech ja cię tu kiedyś zobaczę!

Gdy podjechał pod dom Jacka, wyglądali z Koksem jak zjawy z mrocznych bagien. Szybko nacisnął dzwonek domofonu i po chwili wpadli na klatkę schodową. Radek zastanowił się chwilę, po czym porzucił rower przy windzie i ruszyli po schodach. Koks pędził pierwszy i szczekał radośnie. Na drugim piętrze otworzyły się drzwi i Koks wykonał długi skok. Radek dotarł do progu i ujrzał jakiegoś pana w białej (jeszcze przed chwilą) koszuli, który leżał na podłodze pod ubłoconym psem. Po chwili

z głębi mieszkania wyłonili się Matylda i Jacek z siniakiem na czole. Ogólny pisk radości przerwał ciszę, a potem... Koks zerwał się na cztery łapy i gwałtownie się otrzepał. Bryzgi błota prysnęły na ściany i nagle zrobiło się cicho. Ale nie na długo. Jeszcze ojciec Matyldy i Jacka (jak się okazało) nie zdążył się zebrać z podłogi, gdy gruchnął głośny, radosny śmiech.

– Zrobimy remont mieszkania – zawołał pan w niegdyś białej koszuli – nie ma strachu.

– Koks? – Do przedpokoju weszła mama i od razu przygarnęła psa.

Ścisnęła go długo, a do niej dołączyła cała rodzina. Gdy w końcu – umorusani błotem – nieco ochłonęli, a Koks pognał do swojej miski, zauważono Radka.

– Nie wiem, jak ci dziękować – zaczął ojciec.

– Chętnie pomogę w remoncie – odezwał się Radek. – To błoto to trochę moja wina...

W tym momencie wtrącił się Jacek:

– To jest Radek, mój kolega z klasy.

– Nasz przyjaciel – dodała Matylda.

Jacek popatrzył uważnie na Radka, a potem poszli do jego pokoju i Radek opowiedział mu całą historię. Gdy dołączyła do nich Matylda, musiał zacząć wszystko od początku. A potem zaproszono go na kolację i przy stole opowieść zabrzmiała po raz trzeci. Przy pożegnaniu Radek rzucił jeszcze do Jacka zakłopotany:

– Zapomnij, proszę, o tamtym. Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie masz telefonu.

– Nie mam. Po prostu rodzice zbierają na operację Matyldy i postanowiłem, że ja też mogę coś zrobić. O czym mam zapomnieć? Nic nie pamiętam – uśmiechnął się Jacek.

Wieczorem, tuż przed snem, Radek poczuł, że jakiś wielki ciężar spadł mu z serca. Dawno nie czuł się tak dobrze.

Zbliżały się święta i Radek postanowił porozmawiać z rodzicami. Opisał im sytuację Matyldy i poprosił ojca, aby spróbował zrobić jakąś zbiórkę w swojej firmie. W szkole zaczął się czas intensywnej nauki. Steffi i Modry mieli tyle kłopotów z ocenami, że odpuścili sobie dokuczanie Jackowi, a zresztą Radek miał wszystko na oku. Kurs podstaw programowania wkrótce się kończył i razem z Jackiem przygotowywali swój autorski

program do wyszukiwania i katalogowania plików muzycznych. To miała być praca egzaminacyjna. Zabierała im sporo czasu. Doskonale się czuli w swoim towarzystwie i Radek nie mógł pojąć, że kiedyś nie potrzebował kogoś takiego, z kim mógłby pogadać o wszystkich trudnych i łatwych sprawach. Czuł się jak na innej planecie i w innym życiu.

Któregoś dnia Jacek przyszedł do szkoły spóźniony, co dotąd mu się nie zdarzyło. Okazało się, że Matylda bardzo źle się czuje i nie może już chodzić. Radek spędzał długie godziny w domu Jacka i Matyldy, starał się poprawiać humor dziewczynce i pocieszać załamane Jacka. Nad prawie beztroskimi dotychczas dniami zawisły ciężkie chmury.

Wiosną rozgrywali pierwszy trening piłkarski. Jacek stał za bramką i podawał wykopane na aut piłki. Za którymś razem – zamiast jak zwykle podać do bramkarza – rzucił ją sobie pod nogi i wkroczył na boisko.

– Co robisz, durniu, dawaj piłkę! – wkurzył się Steffi.

– Zaraz ci wybiję żarty z głowy – wrzasnął Modry i ruszył w stronę Jacka.

Radek zacisnął pięści, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, Jacek sprytnie założył Modremu siatkę i pomknął na bramkę, przy której stał Steffi. Potem bez trudu okiwał Steffię i strzelił w samo okienko. Na boisku zapadła cisza. Modry stał z otwartymi ustami, inni zawodnicy wpatrywali się ze zdumieniem w Jacka, który oddalał się spokojnym krokiem. Tylko Steffi nie wytrzymał.

– Ten pląfus nie ma prawa pojawiać się na moim boisku – krzyknął, machając rękami.

– Ale... – odezwał się ktoś – widziałeś, co on umie?

– Nie słyszałeś? Albo on, albo ja – wściekał się Steffi.

– Daj spokój – powiedział Modry. – On jest dobry. Może nie tak dobry jak ty – dodał szybko – ale na pewno przyda się drużynie.

A potem Modry dogonił Jacka i wybąkał:

– No tak, było, minęło... Czasem zachowuję się głupio, wiesz. Spoko?

– Spoko – powiedział Jacek.

Tym razem to Radek otworzył usta ze zdumienia.

Steffi boczył się tylko do momentu, gdy w finale ligi międzyszkolnej Jacek strzelił trzy bramki.

Rok szkolny dobiegał końca. Któregoś upalnego dnia Jacek zdradził Radkowi, że załatwił sobie pracę na wakacje.

– Ale mój ojciec zamówił dla nas właśnie obóz windsurfingowy.

– Jedź beze mnie, wiesz, jak jest.

– Nie musisz mi przypominać. I wiesz co? Pojedziemy kiedy indziej, a na razie popracuję z tobą. Załatwiał miejsce dla mnie.

– Poważnie?

Po raz pierwszy uścisnęli się jak starzy... No... przyjaźń to poważne słowo, ale tak właśnie się czuli albo tak to rozumieli.

Tuż przed wakacjami ojciec Radka zebrał całą brakującą kwotę. Był bardzo dumny z siebie, ale jeszcze bardziej z syna. Ostatecznie chłopcy postanowili skrócić czas wakacyjnej pracy i pojechać na obóz. W końcu windsurfing to coś, czego warto się nauczyć, zwłaszcza podczas wakacji.

Na początku lipca Matylda poleciała za ocean na operację. Rokowania były dobre, ale nie rozwiało to niepokoju Radka. Jacek też był ciągle spięty i lekko nieobecny. Obaj często myśleli o Matyldzie, ale każdy trochę inaczej.

KATARZYNA RYRYCH
ZŁOMEK

OD TEGO CZASU
ZASTANAWIAŁEM SIĘ,
DLACZEGO BYCIE
UCCIMYM JEST
TAKIE
TRUDNE.

DZIEŃ PO DNIU
STAWAŁEM SIĘ
JAK MÓJ
PRZYJACIEL.



SOLIDARNOŚĆ jest poczuciem współodpowiedzialności w obliczu potrzeby, doznanej krzywdy, niebezpieczeństwa lub nieszczęścia. Wyraża się wsparciem, pomocą, poświęceniem, dzieleniem się obowiązkami i obciążeniami. Solidarność wynika z umiejętności dostrzegania cudzych potrzeb, z empatii, życzliwości i poczucia wspólnoty. Możemy być solidarni z ludźmi, ideami, ważnymi sprawami i okazywać solidarność na wiele różnych sposobów: pomagając osobom słabszym, skrzywdzonym czy potrzebującym; uczestnicząc w protestach przeciwko zatruciu środowiska lub w organizowaniu pomocy dla ofiar klęsk żywiołowych.

Fałszywą solidarnością jest ukrywanie cudzych występków i złych uczynków, gdy na przykład wiemy, kto dopuścił się kradzieży, pobicia, zniszczenia sprzętu lub błędu o poważnych następstwach, ale ukrywamy to, by winowajca nie poniósł kary.

Solidarność wypływa ze szlachetnych pobudek, bez oczekiwania wdzięczności od osób, do których jest kierowana.

Miałem dziewięć lat, gdy przyszło mi do głowy, że nigdy nie chciałbym być kotem. To znaczy takim bezpańskim. „Wolnym Kotem”, jak mawiała Anoreksja.

Anoreksja miała chyba ze sto lat i nazywaliśmy ją tak dlatego, że gdy gdzieś szła, miało się wrażenie, że to maszeruje sam płaszcz albo szara sukienka. W ogóle Anoreksja cały rok chodziła w płaszczu. Czy było zimno, czy ciepło.

Anoreksja nie miała rodziny, tylko te Wolne Koty, które karmiła i kochała, chociaż nigdy nie widziałem, żeby któryś z nich dał się jej pogłaskać. To znaczy, że kochała je po nic.

Anoreksja mówiła, że dzieje się tak dlatego, że przestały ufać ludziom, ponieważ doznały od ludzi samych złych rzeczy.

Temu akurat trudno było zaprzeczyć.

Kiedyś dwóch chłopaków w za dużych spodniach złapało takiego kota i ogoliło go maszynką. To znaczy, ogolili go tam, gdzie się dało. Potem chwalili się, że kot ma irokeza, niby taką modną fryzurę.

Wiem, jak się czuł ten kot, bo kiedyś zrobili mi to samo.

I gdyby nie Złomek...

Złomek mieszkał w dużym domu za naszym osiedlem, a jego ojciec prowadził skup złomu. Dlatego Złomka nazywali Złomkiem.

Pod koniec czerwca kotu odrosła sierść, ale bał się podejść nawet do Anoreksji. Z tego powodu nigdy nie mógł najeść się do syta. Bo inne koty (choć nie dały się pogłaskać) przychodziły, kiedy Anoreksja napełniała plastikowe miski, i dla biednego Łysego (bo tak go nazwałem) zostawały jedynie resztki.

A potem Łysy zniknął.

– Co ty się tak tym przejmujesz? – zapytała moja ciotka.

Dobrze wiedziałem czemu – wyobrażałem sobie, jak Łysy zdycha z głodu albo wpada pod samochód, albo zagryzają go Wolne Psy.

Bo nasze osiedle odwiedzały także bezdomne psy. W nocy czasami słychać było, jak przewracają kubły ze śmieciami i warczą na siebie, walcząc o pożywienie.

– Trzeba będzie zrobić z tym porządek – powiedział jeden z sąsiadów i zadzwonił po takich, co to łapali wałęsające się psy.

Nie wiem, skąd dowiedział się o tym Złomek.

– Musimy je ostrzec – powiedział i choć wydało mi się to śmieszne, zrobiłem, o co mnie poprosił, czyli wypisałem na chodniku wielkimi literami:

**UWAGA. KIEDY TU PRZYJDZIECIE,
TO WAS ZŁAPIĄ.**

Być może Wolne Psy umiały czytać, bo przez kilka dni żaden z nich nie pojawił się na osiedlu.

– On nie jest normalny – oświadczyła moja ciotka.

Fakt, Złomek miał przedziwne pomysły, ale w tamtym czasie był moim jedynym przyjacielem. A przyjaciół się nie porzuca, nawet jeżeli mają zwariowane pomysły. Moja ciotka pewnie wolałaby, abym przyjaźnił się choćby z Maćkiem, który jak każdy normalny chłopak spędza przy komputerze tyle czasu, że jego rodzice muszą go siłą wyganiać na podwórko. I nawet wtedy bez przerwy opowiada o kolejnym poziomie gry, w którą właśnie młóci. I choćby dlatego Maćkowi nigdy nie przyszłoby do głowy, aby ostrzec bezdomne psy przed zagrożeniem.

Gdyby nie Złomek, moja ciotka nie musiałaby mnie szukać po całym osiedlu, wystarczyłoby, żeby zadzwoniła do rodziców Maćka i poprosiła, aby oderwali mnie od komputera i wysłali do domu.

Razem ze Złomkiem przepadaliliśmy na długie godziny w parku, o który nikt nigdy nie dbał, gdzie chodnikowe płyty zasłoniła trawa, a na klombach bujnie rosły pokrzywy i dziki kmin.

Park zamieniał się w dżunglę, wylegujące się w trawie koty urastały do rozmiaru lwów i tygrysów.

– Lwy nie żyją w dżungli – powiedziałem pewnego dnia.

– W tej żyją – stwierdził beztrąsko Złomek. – Zobacz, ten rudy wygląda jak lew.

Miał rację. Ogromny rudy kocur naprawdę przypominał lwa. Patrzył na nas żółtymi oczyma i miarowo poruszał ogonem. Z nim zapewne nie poradziliby sobie nawet ci, którzy ogolili Łysego.

– Z drugiej strony – zauważył Złomek – gdyby go nie ogolili, nigdy nie miałyby imienia.

Trudno było nie przyznać mu racji.

Czasami znikaliśmy na złomowisku. Gdy padał deszcz, chowaliśmy się w jakimś wraku i kręcąc opierającą się kierownicą, wyruszaliśmy na rajd albo w podróż dookoła świata.

Złomowisko było strasznym miejscem. Gdy wiał silny wiatr, strzępy blachy ocierały się ze zgrzytem o siebie, drzwi otwierały się i zamykały z trzaskiem, a piasek uderzał w szyby jak drobne krople deszczu.

Na złomowisku pachniało czymś dziwnym, metaliczno-kwaśny zapach czuło się nawet w domu Złomka, stojącym na skraju osiedla.

– Tak pachnie rdza – rzekł któregoś dnia Złomek.

Po każdej zabawie we wrakach na naszych rękach pozostawał dziwnie tłusty brud. Wtedy Złomek brał puszkę specjalnej pasty, której jego tata używał do czyszczenia rąk. Ale i tak za paznokciami pozostawało zawsze trochę brudu.

Przez te wraki Złomek wiedział wszystko (lub prawie wszystko) o samochodach. Dzięki niemu dowiedziałem się, dlaczego samochód jedzie i jak wygląda silnik. Wiedziałem, co znajduje się pod maską, umiałem zmierzyć poziom płynu hamulcowego i zmieniać biegi.

Czasami tata Złomka pozwalał nam odkręcać lusterka albo prosił, abyśmy wymontowali ze środka to i owo.

Zawsze potem dawał nam drobne pieniądze, bo – jak mawiał – wykonaliśmy kawał dobrej roboty.

Złomek odkręcał znaczki i miał ich całą kolekcję, wszystkie przymocowane do długiej deski nad jego łóżkiem. Niektóre były bardzo stare i mógł je sprzedać jakiemuś dorosłemu kolekcjonerowi, ale nie miał zamiaru tego robić.

– Przecież kiedyś ja też będę dorosły – tłumaczył. – A wtedy może będą jeszcze więcej warte...

Pewnie miał rację.

– W przyszłości będę naprawiać samochody – postanowił któregoś dnia.

To była słuszna decyzja, bo naprawdę się na tym świetnie znał.

Pewnego razu jednej z dziewczyn z podwórka powiedzieliśmy, że na złomowisku straszy.

Podczas pełni księżyca samochody ozywają, reflektory świecą niebieskawym światłem i od czasu do czasu odzywają się zachrypnięte klaksony.

To była fajna historia, więc nie rozumiem, dlaczego się na nas obraziła. Może wolałaby dostać od Złomka kwiatki albo żeby zabrał ją na dyskotekę.

Aha, zapomniałem wam powiedzieć, że Złomek jest prawie dorosły. W tamtym roku skończył szkołę, zupełnie inną niż ta, do której chodziłem, i jesienią miał zacząć kursy zawodowe.

Bo Złomek jest opóźniony. Trochę to do niego nie pasuje, bo zawsze kiedy się umawiamy, czeka na mnie i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żebym to ja na niego czekał.

Problem ze Złomkiem polega na tym, że trudno mu idzie czytanie i pisanie, i to dlatego wiadomość dla Wolnych Psów musiałem napisać ja.

Kiedy Złomek był mały, dużo młodszy ode mnie, spadł z dachu jednego z samochodów i uderzył się w głowę. A potem działy się dziwne rzeczy. Złomek zaczął szybko rosnąć i gdyby lekarz nie przepisał mu tabletek, ze Złomka wyrósłby jakiś Guliwer. Za to po tych tabletkach Złomek zaczął mieć kłopoty w szkole – mieszały mu się litery i nie potrafił zapamiętać tabliczki mnożenia. Dlatego musiał zmienić szkołę.

Ale poza tym wszystko było w porządku. Raz w tygodniu zanosilem Złomkowi audiobooki i siedząc w jego pokoju, słuchaliśmy razem najbardziej fantastycznych historii.

Te wszystkie książki Złomek zapamiętywał bez najmniejszego problemu. Potrafił powtórzyć każdą z nich, kiedy ja już zdążyłem wszystko zapomnieć.

A może Złomek zapamiętywał tylko to, co naprawdę chciał zapamiętać?

Pewnego dnia moja ciotka zaczęła się obawiać, że Złomek, taki duży i silny, i na dodatek opóźniony, może mi wyrządzić krzywdę.

Ale nikt nie słyszał, żeby Złomek komukolwiek zrobił coś złego, i to właśnie on uwolnił mnie z rąk chłopaków w za dużych spodniach, kiedy chcieli ogolić mi głowę na łyso.

Odprowadził mnie do domu i wyjaśnił ciotce, co się stało.

– Dziękuję ci, Romku – powiedziała i wtedy odkryłem, że mój przyjaciel ma imię inne niż Złomek.

– To mój przyjaciel – wyjaśnił Złomek i ciotka odrobinę zmieniła zdanie.

Ale gdyby widziała, co zrobił z tymi dwoma, z pewnością nie pozwoliłaby mi zamienić ze Złomkiem nawet słowa.

Złomek po prostu podniósł obu chłopaków do góry i wrzucił ich do niebieskiego kontenera pomiędzy gazety, obierki ziemniaków i inne paskudztwa.

Pewnie ogolili kota, aby się zemścić na Złomku, bo wszyscy wiedzieli, że Złomek kocha zwierzęta.

– To nie jest historia dla ciebie – powiedział kiedyś Złomek, chowając audiobook do szuflady, a kiedy męczyłem go, by mi powiedział dlaczego, odparł, że w tej książce zabili psa i że psów nie tylko nie wolno zabijać, ale także nie powinno się o tym pisać.

Nie pytałem już o nic, tylko poszliśmy do parku, gdzie na ławce siedziała Anoreksja. Mimo że było naprawdę ciepło, miała na sobie swój szary płaszcz.

– Nie widzieliście gdzieś... tego kota, tego bez futra? – zapytała.

– Łysego? – zapytał Złomek, a Anoreksja pokiwała głową chybocząc się na chudej szyi.

– Nie widzieliśmy – odpowiedziałem i dodałem, że sam szukam go od jakiegoś czasu.

Niebieskie oczy Anoreksji na chwilę zwilgotniały i Złomek usłużnie podsunął jej paczkę chusteczek.

– Tak bardzo się boję – szepnęła. – Zawsze trzymał się na uboczu... Tak mało jadł.

– To przez ten wypadek – stwierdziłem, a Złomek pokiwał głową. – Ludzie są paskudni – ciągnąłem. – Złomek słyszał taką jedną historię...

– Może zrobimy ogłoszenia – przerwał mi Złomek.

Widać jego zdaniem historia nie nadawała się także dla Anoreksji.

– Nikt nie będzie szukał bezdomnego kota – westchnąłem, a Anoreksja znów pokiwała głową.

Zanim ruszyliśmy na złomowisko, musieliśmy jej obiecać, że poszukamy Łysego, a jeżeli dowiemy się czegoś, natychmiast ją powiadomimy.

– To tylko tak, żeby ją uspokoić... – powiedziałem, ale Złomek pokręcił głową.

– Musimy znaleźć Łysego – oświadczył.

I poszliśmy obmyślić plan.

Po złomowisku kręciło się kilku mężczyzn poszukujących części zapasowych.

– Dywanik potrzebuję – powiedział jeden z nich. – Do skody.

– Tam powinien być – odparł Złomek i ruszyliśmy w stronę stojącego na uboczu czerwonego samochodu.

Złomek otworzył drzwi i szybko je zamknął.

– Tu go nie ma – zawołał. – Ale tata pewnie coś znajdzie.

Miałem wrażenie, że próbuje zasłonić czerwony samochód przed szperaczami. Gdy odeszli, dał mi znak, żebym się zbliżył. Położył palec na ustach i odsunął się na bok, a ja zajrzałem do środka.

Na tylnym siedzeniu leżał... Łysy, a tuż obok trzy małe, jeszcze ślepe kociaki.

– Lećmy do Anoreksji – szepnąłem, ale Złomek pokręcił głową.

– Najpierw musimy zrobić plan – oznajmił.

Posłusznie usiadłem obok niego na piasku pachnącym rdzą i olejem samochodowym. Złomek taki był. Jeżeli coś postanowił, musiał to zrobić i wszelki sprzeciw mijał się z celem.

– Łysy nie może tu zostać – powiedział. – Tu nie jest bezpiecznie.

Natychmiast przypomniały mi się historie o samochodach ożywających nocą, ale Złomek wyjaśnił mi, że chodzi mu o ludzi.

– Kiedy Łysy będzie bezpieczny, pójdziemy i powiemy, że się znalazł.

Potem kazał mi zostać przy samochodzie i nie ruszać się, choćby nie wiadomo co się działo, i poszedł do domu.

Modliłem się, aby o mnie nie zapomniał, bo czasami mu się zdarzało. Po prostu wpadał na jakiś pomysł i zapominał o wszystkim. Potem było mu bardzo przykro.

Siedziałem więc i zastanawiałem się, co będzie, jeśli Złomek nie zjawi się do wieczora. Bałem się, że spóźnię się na kolację i wtedy ciotka już na pewno zabroni mi się bawić ze Złomkiem. Bo ciotka zawsze mówiła „bawić się”, tak jakbym był małym dzieckiem.

Na szczęście Złomek wrócił, niosąc duże kartonowe pudło. W pudle leżał stary sweter jego ojca i kawałki jakiegoś koca.

– Spłoszysz go – powiedziałem, kiedy Złomek otworzył drzwi.

Pokręcił głową i położył palec na ustach. Wyciągnął rękę, a Łysy trochę tylko się najeżył i zwinął się w kłębek tak, że otulił sobą swoje dzieci.

– Nie możesz tu zostać – rzekł Złomek i postawił na siedzeniu pudełko. – Tu przychodzą ludzie.

Łysy spojrział na niego i zasyczał, a wtedy Złomek zamknął drzwi i usiadł obok mnie na ziemi.

– Pewnie musisz już iść – powiedział. – Dopilnuję wszystkiego. Jutro powiemy Anoreksji.

Pozegnaliśmy się i pobiegłem przez złomowisko w stronę osiedla. W niektórych oknach paliły się już światła. Okno Anoreksji było uchylone i dochodziły dźwięki radia.

Korciło mnie, aby opowiedzieć jej, jak znaleźliśmy Łysego. Możliwe, że dostałbym czekoladę albo co innego... ale nie mogłem tego zrobić Złomkowi. Wiedziałem, że będzie się bardzo cieszył, gdy razem pójdziemy do Anoreksji i opowiemy jej o tym, co odkryliśmy w samochodzie.

Ciotka była w świetnym humorze, bo kiedy byłem ze Złomkiem i z Łysym, zadzwoniła mama i powiedziała, że we wrześniu wraca do Polski i nareszcie pospłacamy wszystkie kredyty. To oznaczało, że będzie się nam lepiej żyło, a może nawet dostanę rower.

Szybko zjadłem przygotowane przez ciotkę kanapki i usiadłem obok niej przed telewizorem. Obejrzelismy film, który wydawał mi się głupi i nudny, tymczasem ciotka co rusz wycierała oczy chusteczką.

A potem poszedłem spać. To znaczy położyłem się na swojej wersalce, ale nie mogłem zasnąć. Myślałem o Złomku – czy nadal pilnuje Łysego i jego dzieci. Myślałem o mamie, która wróci dokładnie wtedy, kiedy zacznie się rok szkolny, i o Anoreksji, jak bardzo będzie się cieszyć, że Łysy się odnalazł. I to na dodatek z dziećmi.

Potem śniły mi się kredyty.

Wyglądały jak wielkie, tłuste czarne pijawki, które przyczepiły się do mojej łydki.

Obudziłem się więc naprawdę szczęśliwy, że to był tylko sen. W pośpiechu zjadłem śniadanie i zacząłem czekać na Złomka.

Przyszedł na ławkę przed blokiem o dziesiątej. Bardzo zadowolony z siebie. Opowiedział, że spędził całą noc obok czerwonej skody i że udało mu się przekonać Łysego, aby razem z dziećmi wprowadził się do pudełka.

Kiedy Złomek zamykał pudełko, Łysy go podrapał, ale tylko trochę. Bo gdyby chciał go naprawdę podrapać, Złomek z pewnością wyładowałby w szpitalu.

– Zniosłem go do pralni – powiedział. – Mama mówi, że dobrze zrobiłem. I że może się oswoi, widząc, że są też dobrzy ludzie.

Potem poszliśmy do Anoreksji.

Najpierw cztery razy upewniła się, że my to my, potem kazała nam wyjść z klatki i stanąć na chodniku tak, aby mogła nas zobaczyć, i dopiero potem wpuściła nas do domu.

Tak jak przypuszczałem, ucieszyła się bardzo i nazwała nas dobrymi chłopcami. A potem Złomek dostał dwadzieścia złotych, żeby mógł kupić sobie oranżadę i jedzenie dla Łysego, a ja dostałem czekoladę.

Czekolada była bardzo stara i dało się z niej zjeść tylko orzechy.

– Nie martw się – zaśmiał się Złomek i kupił mi batonik.

Kiedy opowiedziałem o tym ciotce, powiedziała, że Anoreksja co miesiąc kupuje czekoladę i czeka na odwiedziny wnuczki. Ale wnuczka nie pojawiła się ani razu, więc Anoreksji poszło w koty.

Od tego pilnowania Łysego w samochodzie Złomek się przeziębił i następnego dnia nie zjawił się pod klatką. Poszedłem do niego z butelką soku malinowego, który dała mi ciotka. Kiedy zobaczyłem, jak leży w łóżku, zrobiło mi się głupio, bo ja nawet nie złapałem kataru. Obejrzelśmy kreskówki, a potem poszedłem do pralni zobaczyć, jak się miewa Łysy. Na mój widok tak się najeżył, że zrobił się ze dwa razy większy.

Pomyślałem, że wcale nie zależy mi na tym, aby mnie lubił. Najważniejsze było to, że Złomek nie musiał już pilnować samochodu.

Wracając do domu, odwiedziłem Anoreksję i powiedziałem, że Łysy ją pozdrawia. Anoreksja aż musiała wytrzeć oczy, a gdy poszła do łazienki, rozejrzałem się po kuchni i zobaczyłem, że na kredensie stoi cała masa zdjęć jakiejś dziewczynki. To pewnie była ta wnuczka...

Oczywiście nie zapytałem o to.

Łysy okazał się bardzo mądrą kotką. Zadomowił się w pralni i mimo że jego dzieci nauczyły się łączyć do ludzi, zawsze trzymał się z daleka.

Reszta wakacji upłynęła normalnie. Razem ze Złomkiem grzebałem w samochodach albo chodziliśmy do parku, żeby bawić się w dżunglę.

Pierwszego września przyjechała moja mama i ciotka nareszcie mogła wrócić do siebie na wieś. Dostała ode mnie i Złomka jedno z dzieci Łysego. A chociaż pieniędzy, które zarobiła mama, nie starczyło na rower, byłem naprawdę szczęśliwy. Bo mama nie miała nic przeciwko temu, żebym nadal przyjaźnił się ze Złomkiem, chociaż tak jak wszyscy wiedziała, że jest opóźniony.

– Masz prawdziwego przyjaciela – powiedziała, wysłuchawszy opowieści o tym, jak Złomek potraktował dwóch chuliganów, i nie protestowała, gdy po odrobieniu lekcji biegłem spotkać się ze Złomkiem.

Rzecz jasna ani on, ani ja nie mieliśmy już tyle czasu, co w wakacje. Złomek poszedł do szkoły, w której miał się nauczyć naprawiać samochody. Jak wiecie, naprawdę to lubił.

Mijał czas. Myślę, że powoli wyrastaliśmy z dziecinnej przyjaźni, tak jak się wyrasta z zabawek, butów czy trójkołowego rowerka.

Wszystko inne dokoła nas też się zmieniało. Ktoś zaproponował, aby uporządkować park, i ze ścieżek zniknęła trawa, odsłaniając szare, popękane płyty. Na klombach zamiast okazałych chwastów pojawiły się róże, a w letnie popołudnia na kępkach skoszonej trawy wylegiwały się koty.

Być może były wśród nich dzieci i wnuki Łysego, któż to mógł wiedzieć.

Po tych wszystkich zmianach park stał się jakiś obcy, dziwnie grzeczny, jak uczesany dzieciak.

Wyrosłem. Wydłużyły mi się ręce i nogi, a na czole pojawiły pryszcze. Na złomowisku nadal pachniało smarem, olejem i rdzą i jedyne, co się zmieniło, to były marki samochodów, z których Złomek nadal odkręcał znaczki.

Byłem trochę zaskoczony, że mój przyjaciel zmienia się fizycznie. W środku bowiem pozostał dawnym Złomkiem, chłopakiem, z którym ostrzegaliśmy Wolne Psy i poszukiwaliśmy Łysego.

Nadal słuchaliśmy książek, ale te, które mi się podobały, Złomek uważał za nudne albo stwierdzał nagle, że nic się w nich nie dzieje.

Za to nadal chętnie po raz nie wiadomo który słuchał opowieści o przygodach Hobbitów lub rycerzy Okrągłego Stołu.

– To są dobre historie – mówił. – Dobra historia to taka, która dobrze się kończy.

Większość książek, które wtedy pochłaniałem, nie kończyła się dobrze, ale nie rozmawiałem o tym z moim przyjacielem. Wiedziałem, że nie chciałby o nich gadać.

Za to nadal opowiadaliśmy sobie historie o samochodach, które ożywają nocą i mrugając światłami, rozmawiają o wszystkim, co widziały lub zarejestrowały ich kamery. To były naprawdę przerażające opowieści, ale każda z nich kończyła się dobrze. Myślę, że Złomkowi chodziło właśnie o to, aby najpierw czegoś się bać, a potem odkryć, że to nie jest straszne. Szczególnie gdy obok jest ktoś, kogo nazywamy przyjacielem.

Te historie podobały się również moim kolegom z klasy, a jedna z dziewczyn zachęcała mnie, abym to wszystko opisał.

– Ostatecznie – powiedziała – autor *Eragona* wcale nie jest aż tak dużo starszy od ciebie.

Zachęcony zacząłem zapisywać wszystko, co wymyśliliśmy razem ze Złomkiem. Po miesiącu na pulpicie mojego komputera znalazł się potężny plik o nazwie:

PRZYGODY CZARNEGO BOHATERA.

Wszystko działo się na złomowisku, gdzie Zbuntowane Koparki kradły resztki paliwa, a jedynym, który ośmielił się stawić im czoło, był Czarny Bohater, mały, dzielny samochodzik. Wszystkie inne samochody bały się Zbuntowanych Koparek, a Czarny Bohater, mimo że też się ich bał, w pojedynkę odpierał atak napastników tak długo, aż inne samochody do niego dołączyły. Czarny Bohater w zadziwiający sposób przypominał Złomka – stawał po stronie słabszych i gdyby komuś przyszło do głowy nakręcić o nim film, mówiłby jak mój przyjaciel.

Historie potrafiły mrozić krew w żyłach – słyhać w nich było szelest blachy i skrzypienie zardzewiałych gaśienic, a wszystko działo się nocą. Ludzi w tych opowieściach nie było, a jeżeli się pojawiali, to przypominali tych, którzy porzucają stare psy w środku lasu.

Myślę, że – według Złomka – każdy przedmiot, każda rzecz, nawet najmniejszy drobiazg miał duszę. Samochody odczuwały prawdziwie ludzki głód, gdy kończyło im się paliwo, było im zimno lub gorąco i umiały wspominać dawne trasy.

Aż mi się nie chciało wierzyć, że to wszystko powstało na złomowisku, kiedy razem ze Złomkiem wdrapywaliśmy się do szoferki starej ciężarówki.

– Skąd ty bierzesz takie pomysły? – zapytała ta sama dziewczyna, kiedy przesłałem jej plik.

Miała śmieszne, sterczące na wszystkie strony włosy i naprawdę bardzo mi się podobała. Nie robiła maślanych oczu i czytała książki, a to wystarczyło, żebym oszalał na jej punkcie.

Gdy zapytała mnie o te pomysły, w jej głosie słyszałem szczerzy podziw.

Ale co miałem jej powiedzieć? Że autorem opowieści był mój opóźniony przyjaciel Romek Złomek, olbrzym o twarzy dziecka? Że moja rola polegała jedynie na tym, że jako mały dzieciak słuchałem ich z otwartymi ustami i pytałem: „Co dalej?” albo „I to się dobrze skończy?”.

A potem, kiedy dostałem komputer, po prostu zacząłem to wszystko spisywać.

Czy miałem skłamać i powiedzieć, że to ja, spędzając długie godziny przed ekranem, udaję się w niebezpieczne podróże po bocznych drogach?

Oczywiście Złomek nigdy by się o tym nie dowiedział. Interesowało go tylko to, że siedzę obok w szoferce rozpadającej się ciężarówki i słucham, zupełnie jakby nic się nie zmieniło. Że zamieniam się znów w ośmioletniego chłopca, którego uszy łapią każdy szelest.

Że moje serce bije jak serce przestraszonego zwierzątka i boję się tak jak dawniej. Że przed moimi oczyma niby film przesuwają się widma starych samochodów, koparki szczerzące zęby i dzielny mały czarny samochodzik, zawsze gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu.

– To nie jest do końca mój pomysł – odparłem uczciwie.

A przecież nigdy by się o tym nie dowiedział, odezwał się w mojej głowie jakiś złośliwy chochlik. I poczułem się dokładnie tak samo jak kiedyś, kiedy stałem pod oknem Anoreksji.

– A czyj? – zapytała dziewczyna. – Powiesz mi?

– Powiem. – I sam nie wiem, jak to się stało, że opowiedziałem jej wszystko od samego początku.

Zacząłem od dnia, kiedy koledzy z podwórka wyśmiewali się z mojej ciotki. „Wieśniara”, wołali, kiedy wychodziła z domu w kolorowej chustce na głowie. „Wieśniak”, wołali, kiedy pojawiałem się na huśtawkach. A kiedy dwóch chłopaków w opadających spodniach złapało mnie i zaczęło golić mi głowę, pojawił się Złomek.

O Złomku opowiadano dziwne historie. Że jest silny jak Pudzian, że zamiast gumy do żucia żuje stare opony i mieszka na złomowisku. Tak mówiły dzieciaki, a dorośli się nie wtrącali. Dodawali jedynie niezrozumiałe słowo „opóźniony”, które budziło lęk. Dlatego kiedy Złomek pojawiał się na placu zabaw, nikt nie ośmielał się go zaczepić.

Gdy podszedł do moich prześladowców, byłem przerażony nie mniej niż oni. A kiedy wpakował obu chłopców do kontenera, między plastikowe butelki i inne paskudztwa, i wytarł mi twarz skrajem swojej flanelowej koszuli, zrozumiałem, że to wszystko to tylko bajki, którymi straszy się małe dzieci.

– Nie bój się – powiedział i zaprowadził mnie na swoje podwórko, gdzie pachniało rdzą i smarem...

A jego mama potraktowała mnie tak, jak traktuje się kolegów syna. Poczęstowała mnie domowym ciastem i wodą z sokiem, a uśmiech na jej twarzy mówił, że cieszy się, iż jej syn znalazł nareszcie przyjaciela.

Razem musieliśmy wyglądać naprawdę śmiesznie – wysoki i potężny Złomek i mały chudy dzieciak. Ale nikt nie ośmielił się z nas śmiać. Myślę, że z czasem zrozumieli, że jesteśmy przyjaciółmi, i gotów byłem bronić Złomka tak, jak on kiedyś bronił mnie.

Mogłem opowiedzieć mu o wszystkim – o tym, co mnie cieszyło albo smuciło. Podobnie ja byłem gotów go słuchać, ale Złomek nigdy nie miał problemów. Po prostu przyjmował życie, jakie jest, ze wszystkim co przynosiło ze sobą, a najważniejsze dla niego było to, czy coś jest uczciwe, czy nie.

Dziewczyna słuchała mojej opowieści i kiwała głową. Wyglądała jak zmoknięty wróbel – z tymi sterczącymi jak piórka włosami.

A kiedy zaproponowałem, że przedstawię jej mojego przyjaciela, była w siódmym niebie.

Poszliśmy do Złomka w piątek po szkole. Po drodze pokazałem jej śmietnik i kubeł, w którym wylądowali moi dręczyciele. Gdy dotarliśmy na złomowisko, mój przyjaciel urósł w oczach Gagaty do rangi Supermana. Wyszedł z garażu, wycierając brudne ręce w stary ręcznik. Miał na sobie granatowy kombinezon i nie wyglądał na autora niesamowitych opowieści. Jego twarz była upaprana smarem. Gdy zobaczył, że nie jestem sam, uśmiech znikł z jego twarzy.

– To jest Gagata – powiedziałem. – Hej, naprawdę ma na imię Agata, ale nasza wychowawczyni mówi, że niezły z niej gagatek.

Żart nie rozbawił Złomka, a wręcz przeciwnie...

Przeszedł obok nas, jakbyśmy byli niewidzialni, i zniknął w domu. Gagata pociągnęła nosem i zmarszczyła brwi.

– Dziwnie tu pachnie – powiedziała.

Wyjaśniłem, że właśnie tak pachnie rdza.

Złomek pojawił się po kwadransie, w dzinsach i koszulce, a ręce miał starannie wymyte.

– Ja jestem Zło... – zaczął, ale przerwałem mu.

– To jest Romek, mój przyjaciel, o którym ci tyle mówiłem – powiedziałem, a Złomek uśmiechnął się jak dziecko, które właśnie dostało prezent.

Mama Złomka przyniosła nam dzbanek kompotu z rabarbaru i usiedliśmy w altance, którą Złomek wybudował ze swoim ojcem.

Po chwili rozmawialiśmy jak starzy znajomi, o wszystkim i o niczym. O tym, że na złomowisku pojawił się młody kot kropka w kropkę podobny do Łysego i zaczęliśmy się spierać, bo ja stwierdziłem, że wszystkie pręgowane koty są do siebie podobne, a Złomek dopatrywał się czegoś znajomego w układzie pasków na bokach kota.

– To musi być dziecko Łysego – upierał się.

Było to oczywiście niemożliwe, bo Łysy odszedł ubiegłego lata, a kot miał zaledwie parę miesięcy. Ale Złomek tak bardzo przywiązany był do Łysego, że w każdym pręgowanym kocie widział dziecko albo wnuka, albo prawnuka Łysego.

I choć to może się wam wydać nie do uwierzenia, to Łysy naprawdę pozwalał się głaskać Złomkowi! To znaczy, nie było to może takie zwyczajne głaskanie, bo tylko ocierał się o jego nogi. A od wszystkich

innych ludzi trzymał się nadal z daleka. Widać pojął, że Złomek nie był taki jak inni.

– Tak sobie czasem gadamy – powiedział Złomek i zaczerwienił się, kiedy Gagata zapytała go o straszne historie.

– Są piękne! – zawołała. – Naprawdę straszne. Gdybyśmy mieszkali w Ameryce, byłbyś sławny.

Gdy już wypiliśmy kompot, poszliśmy na złomowisko, gdzie Gagata obejrzała wszystkie wraki.

– Czy to jest Czarny Bohater? – zapytała, podchodząc do niewielkiego nissana. Na jego drzwiczkach jakiś dowcipniś nakleił żółtą mrówkę i napis „MRUFFKA”.

– Tak – odpowiedział poważnie Złomek. – To jest Czarny Bohater.

– A Zbuntowane Koparki? – Gagata rozejrzała się dokoła.

– Nie ma ich tutaj – odparł mój przyjaciel. – Są złe, więc nie mogą tu mieszkać. Kryją się na Piaskach. Czekają na nadejście nocy.

Nie pozostało mi nic innego, jak zaprowadzić Gagatę do starej piaskarni, gdzie pośrodku niewielkiego bajorka, zasypane do połowy gruzem, stały zardzewiałe koparki, nieruchome jak prehistoryczne zwierzęta.

I mimo że byliśmy tam w biały dzień, robiły naprawdę upiorne wrażenie. A gdyby ktoś zobaczył je w świetle księżycy...

– Mogę przyjść jeszcze kiedyś? – zapytała Gagata, kiedy zegnaliśmy się ze Złomkiem.

– Jasne – uśmiechnął się Złomek.

Gagata była naprawdę pod wrażeniem.

– To niemożliwe, żeby był opóźniony – powiedziała, kiedy dotarliśmy pod jej blok. – On jest po prostu inny.

Zgodziłem się z nią. Naprawdę nie miałem pojęcia, kto i w jaki sposób określa, czy ktoś jest, czy nie jest opóźniony.

Złomek po prostu żył we własnym świecie – świecie, gdzie wszystko musiało się dobrze kończyć. Dlatego obronił mnie przed chuliganami i dlatego kazał mi ostrzec Wolne Psy. I dlatego kochał Łysego, który od ludzi doznał zbyt wielu krzywd.

Świat Złomka z pewnością był lepszy od tego, w którym żyłem. Czasami przychodziło mi do głowy, że byłoby dobrze, gdybyśmy wszyscy byli opóźnieni, bo choćby taka uczciwość, o której przegadaliśmy niejedną godzinę wychowawczą, nie byłaby pustym słowem. Rozmawialiśmy o niej,

kiedy ktoś świsnął komuś gumkę albo wyjątkowo fajny ołówek, ale i tak ani jedno, ani drugie nie wracało do właściciela, za to wszyscy potrafili powiedzieć, czym jest bycie lub niebycie uczciwym.

Złomek nie miał takich problemów. Podejrzewam, że trudno byłoby mu wyjaśnić, co to uczciwość, za to potrafił cały dzień poszukiwać jakiegoś dziecka, które zostawiło w piaskownicy plastikowe wiaderko. Albo kiedy przed sklepem znaleźliśmy brudny, przemoknięty banknot dziesięciozłotowy i Złomek oddał go kasjerce na wypadek, gdyby ktoś się po niego zgłosił. Kątem oka dostrzegłem, że kasjerka chowa go do kieszeni fartucha, bynajmniej nie po to, aby oddać właścicielowi. Ale nie powiedziałem tego Złomkowi. Myślę, że on by mi nie uwierzył.

Tak czy inaczej pierwsze lekcje uczciwości odebrałem właśnie od niego.

Od tego czasu zastanawiałem się, dlaczego bycie uczciwym jest takie trudne. I dzień po dniu stawałem się jak mój przyjaciel.

Koledzy w klasie śmiali się, kiedy podnosiłem z podłogi kredkę i pytałem, do kogo należy.

– Zaraził się od Złomka – mówili.

I uciekali przede mną na przerwie.

Nie przeszkadzało mi to. Miałem swój świat. Chroniłem się w szoferkach starych ciężarówek, gdzie zamieniałem się w superbohatera.

O tym wszystkim opowiedziałem dziewczynie o śmiesznych, nastroszonych włosach.

I wcale nie wyglądała na zdziwioną.

Do pisania o dalszych przygodach Czarnego Bohatera przystąpiłem z lekkim sercem. Było mi wstyd, że przez moment przyszło mi do głowy, aby nie wspominać o Złomku...

To nie byłoby uczciwe, myślałem, nawet jeżeli zależało mu tylko na tym, aby opowiadać tę historię i codziennie wymyślać nowe przygody.

W gruncie rzeczy moja rola polegała tylko na zapisywaniu ich dzień po dniu, o czym do niedawna nie wiedział.

– No to jestem autorem – stwierdził, kiedy w jakiś deszczowy dzień siedzieliśmy w jego pokoju. – I ty też jesteś autorem – dodał po chwili.

Potem rozmawialiśmy o tym, co by się stało, gdybyśmy wydali Prawdziwą Książkę, w kolorowej, błyszczącej okładce. Na tej okładce byłyby nasze imiona, a za pieniądze ze sprzedaży książki kupilibyśmy sobie samochód, w którym dałoby się mieszkać.

I pojechalibyśmy tym samochodem w podróż dookoła świata.

WPRAWDZIE
ZAMIERZAK
OSŁODZIĆ
MAŁĘJ TĘ
WSPÓLNĄ
WYPRAWĘ,
POWIEDZIEĆ, JAKA
TO Z NIEJ GÓRSKA
KOZICA, ALE
ZACHWYTY KUSEGO
SPRAWIŁY,
ŻE ANULKA
WYDAŁA
MU SIĘ
NAGLE
KIMŚ
OBCYM.



FAN-FATALNE ZAUROCZENIE

BARBARA
KOSMOWSKA



PIĘKNO to coś, co nas zachwyca i czyni lepszymi. Powinniśmy je tworzyć i chronić. Piękno może być dziełem przyrody – jak potężne góry lub lśniąca kolorami zorza – ale też dziełem człowieka – na przykład wybitne koncerty lub malarstwo, wspaniałe ogrody czy znakomita architektura. Jest także piękno, którego doświadczamy w kontakcie z ludźmi: to piękno wewnętrzne danego człowieka, które wyraża się jego dobrocią, przyzwoitością, odwagą cywilną, gotowością służenia innym. Wewnętrzne piękno ludzi czasem trudniej zauważyć, ale jest ono dla nas równie, a może nawet bardziej cenne!

Same kłopoty. I to tak delikatnej natury, że Filip, choćby chciał, nie piśnie kolegom ani słowa. Nawet Kusemu, przed którym nie ma żadnych tajemnic. Bo jak tu, kiedy jest się w słusznym nastoletnim wieku, mówić o miłości, która dopadła go w dniu, gdy kupował obrózkę dla głupiutkiej Fifi, pudła cioci Zuli? Nigdy nie bywał w tych małych zoologicznych sklepikach wypełnionych papuzim ćwierkaniem i dusznym zapachem tysiaca karm. Gdyby więc ciotka nie złamała nogi albo on, Filip, znalazłby w sobie to asertywne „nie”, w dalszym ciągu omijałby z daleka szyldy, w których zapewniano: „Wszystko dla zwierząt”. I tamtego dnia nie stanąłby przed witryną mrocznego sklepu z takim napisem. Ale stanął, a nawet wszedł do środka, obiecując sobie, że poświęci Fifi tylko pięć minut swego starannie przemyślanego rozkładu dnia.

Wiedział, że spóźni się na przedobozowe spotkanie młodych alpinistów. Wprawdzie mógł się tam nie pojawić, bo był już doświadczonym zdobywcą tatrzańskich szczytów, lubił jednak poznawać lekko przerażonych swą decyzją debiutantów, którzy co roku powiększali szeregi szkółki wspinaczkowej. I zapewne poznałby skład tegorocznego turnusu, gdyby pokonując wąski tunel wypełniony klatkami, nie trafił na nią. Na szynszylę. Niby niepozorną, przycupniętą i lekko wystraszoną, ale patrzącą Filipowi prosto w oczy. Przelewając na niego cały swój futrzany smutek, który mógł brać się wyłącznie z tęsknoty i samotności. Aż przystanął zmieszany, szybko jednak odwrócił wzrok od tego świdrującego spojrzenia i zaczął się wpatrywać w krzywy dziób jakiejś hałaśliwej ary czy innej nierozłączki. Czym prędzej wybrał obrózkę dla Fifi i szybko wybiegł ze sklepu, pełen obaw, że szynszyla jakimś sposobem opuści swe więzienie i ruszy za nim. Wskoczył do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju i szybko sprawdził, czy przypadkiem nie zgubił po drodze obrózki. Była. Oglądał ją bardzo uważnie, byle tylko zapomnieć o zgaszonych oczach zwierzątka, jakby ten szynszyli smutek miał z nim coś wspólnego. Jakby to on skrzywdził niewinne stworzenie, biorąc nogi za pas. Nie wytrzymał i już na następnym przystanku wysiadł, niecierpliwie wypatrując tramwaju w przeciwnym

kierunku. A po chwili, zdyszany i rozgrzany emocjami, stał przed sprzedawcą.

– Chyba ją kupię – wydusił jednym tchem.

– Wiedziałem, że wrócisz – uśmiechnął się szpakowaty handlarz żywym towarem. – Ona też to czuła – dodał tonem specjalisty od mowy zwierząt. – Kiedy wyszedłeś, po raz pierwszy szalała w klatce. Nie uwierzysz! Fuką, szczekała, piszczła i płakała jednocześnie, a nie jest zazwyczaj zbyt rozmowna... – Spojrzał znacząco na chłopca szukającego nerwowo pieniędzy.

Filip z ulgą odliczył potrzebną kwotę i dopiero wtedy uśmiechnął się szeroko.

– Jest moja – powiedział z dziwną czułością w głosie, o którą nigdy by siebie nie posądzał.

Szczerze mówiąc, mało o sobie wiedział. Na przykład dlaczego tak się stało, że tamtego dnia, bez uzgodnienia z rodzicami, bez namysłu i bez najmniejszych wątpliwości kupił szynszylę. A kiedy wiózł ją do domu, drżącą i przerażoną, myślał wyłącznie o tym, że całe życie na nią czekał, co miało być koronnym argumentem dla rodziców, nieświadomych, że bez koniecznej w takiej sytuacji rozmowy i wspólnych ustaleń powiększa się im rodzina.

Nie przewidywał jednak kłopotów. Rzadko o cokolwiek prosił. Tym razem miało być inaczej. Na szczęście walka o prawa nowej lokatorki przebiegła w atmosferze całkowitego zrozumienia. Szynszyla jednym magicznym spojrzeniem wywalczyła możliwie najlepsze warunki lokalowe, nie wspominając o należnych jej uczuciach.

– Femme fatale, kobieta fatalna – szepnął wpatrzony w nią ojciec, co rozwiązało problem braku imienia. Fanfatałka rozpoczęła swe niepodzielne miłosne rządy, uczciwie wyróżniając Filipa swą szynszylą miłością.

Od tamtej chwili minęły trzy miesiące. Kolejny nie pozostawiał już złudzeń.

– To alergia – westchnęła mama, przyglądając się zmienionej twarzy Filipa.

Zaczerwienione oczy, katar i inne kłopotliwe dolegliwości prześladowały go od dłuższego czasu. Nie skarżył się, ale coraz trudniej przychodziło mu udawanie, że nic złego się nie dzieje.

– Chyba nie powinieneś z nią mieszkać – szepnęła rozgoryczona.

Przepadała za Fanfataką i perspektywa rozstania z ukochanym zwierzęciem napełniała ją ogromnym smutkiem.

Do rozmowy o przyszłości „szyszuni” wrócono po kolejnej wizycie u specjalisty.

– Przykro mi, synu. Bywają takie toksyczne miłości – próbował żartować ojciec, sam daleki od uśmiechu.

Godzinami głaskał zwierzątko, oglądał z nim swe piłkarskie mecze i codziennie witał Fanfatkę miękким, czułym głosem, opowiadając jej dowcipne scenki z biura. Podobnie jak reszta rodziny nie wyobrażał sobie rozstania z najcierpliwszą słuchaczką.

– Może wybraliśmy jej jednak nieodpowiednie imię? – Spojrzał na szynszylę zalotnie zerkającą z kąta pokoju.

Była uosobieniem niewinności. I znowu wszystkim zrobiło się niewymownie przykro.

Ostateczna decyzja zapadła, gdy wszelkie środki ostrożności – zmiana płynu do kąpieli, leków i metod opieki nad Fanfataką – nie przyniosły spodziewanych zmian.

– Zadbam o to, by opiekował się nią ktoś absolutnie wyjątkowy – oświadczył Filip. – To mój warunek – dodał, pociągając nosem.

Alergia w ostatnich dniach musiała się nasilić, bo pociągał tak niemal bezustannie.

– My to my! – Mama załamała ręce. – Już się jakoś przyzwyczailiśmy do myśli, że „szyszunia” znajdzie nowy, wspaniały dom... Najlepiej taki, w którym można ją będzie odwiedzać... – Podniosła pełne nadziei oczy do sufitu. – Ale co powiemy Anulce?!

– Anulka! – Tata aż klepnął się w czoło. – Zupełnie zapomniałem! Na mnie nie liczcie! – zastrzegł natychmiast. – Ja jej nie powiem. Nie mogę patrzeć, kiedy młodym damom szklą się oczy, a już zwłaszcza Anulce!

– Ja jej powiem. – Filip wzruszył ramionami.

Miał za złe rodzicom, że w momencie, gdy jego świat zaczyna tonąć w mroku, oni bardziej przejmują się córką sąsiadki.

Lubił Anulkę, rzecz jasna, ale bez przesady! To, że oszalała na widok nowej mieszkanki pokoju Filipa, było przecież przewidywalne.

Anulka mieszkała tylko z matką. Od lat traktowała Filipa jak brata, a do jego rodziców mówiła „ciociu” i „wujku”. Ostatnio myślał nawet, że powinna już chyba z tego wyrosnąć, skoro już niedługo skończy trzynaście

lat. W każdym razie jej wynikająca z samotności „rodzinność” nikogo tu nie dziwiła, Filipa lekko denerwowała, ale musiał przyznać, że Anulka jakimś dodatkowym zmysłem zawsze wiedziała, kiedy milczeć i kiedy zniknąć. Trudno więc było mieć do niej o cokolwiek pretensje...

– Anulka! – prychnął zły, pochylając się nad Fanfatalką. – Myślałby kto, że to jej strata! Nikt tak nie będzie za tobą tęsknił jak ja – szepnął do futrzanego uszka i natychmiast zawstydził się swej wylewności.

Weekend rozpoczął się od potoku łez, który popłynął z Anulkowych oczu, mimo że z największym taktem przekazano jej złe wieści. Ten smutny widok poruszył nawet Filipa, dotąd nieczułego na dziewczynskie szlochy. Anulka obróciła się na pięcie i bez słowa uciekła do siebie.

Pojawiła się po kilku godzinach. Przykucnęła przy klatce Fanfatalki, oświadczając, że to jest strajk okupacyjny. Wyznała również, że zamierza bronić ukochaną szynszylę przed każdym, kto czyha na jej spokój. Po Anulkowej deklaracji Filip poczuł się co najmniej niezręcznie. Bo czy to nie jemu należało się całe współczucie? Gdyby nie zdradliwe i wrogie alergeny, o których istnieniu nie miał dotychczas pojęcia, nic nie zachwiałoby rodzinną stabilnością i szczęściem.

Westchnął ponuro, włączając komputer. Jedyne, co mógł zrobić, to zadbać o komfort swej ulubienicy. Znaleźć jej zastępczą matkę lub ojca, najlepszych z najlepszych, w myśl głębokiego przekonania, że jaka szynszyla, taki rodzic.

– Czy masz już jakiś pomysł? – nieśmiało zagadnęła mama podczas wczorajszej kolacji. Uspokoił ją, że ma.

– Znajdę kogoś... To znaczy kogoś pięknego...

– Pięknego? – Zdumienie matki trwało zaledwie chwilę, ale i ojciec spojrzał na Filipa z niedowierzaniem.

– Chodzi mi o osobowość! – zachnął się. – Zauważcie, że gdy tylko mowa o pięknie, wszyscy myślą wyłącznie o urodzie. A piękno charakteru jest w odstawce! – Pokiwał głową nad niefrasobliwością rodziców. Nawet

oni, niby tacy mądrzy, traktują słowa dosłownie, co można wybaczyć dzieciom, ale nie dojrzałym ludziom.

Myślał o tym i teraz, próbując ułożyć zgrabne ogłoszenie, w którym zamierzał wyłuszczyć swój najważniejszy warunek.

„Oddam szynszylę...”.

– Nie tak – strofował siebie i zaczął po raz kolejny:

„Z powodu alergii jestem zmuszony znaleźć dla mojej szynszyli nowego opiekuna. Choroba to jedyny powód, dla którego muszę rozstać się z moją ulubienicą. Dodam: wyjątkową i pod każdym względem jedyną w swoim rodzaju. Dlatego może się nią zajmować wyłącznie osoba również wyjątkowa. Z pięknym wnętrzem. Mająca do zaoferowania miłość i cierpliwość. Ktoś, kto potrafi poświęcić drugiej istocie swój czas i dzielić z nią smutki oraz radości. Słowem: człowiek piękny i bogaty duchowo”.

– Kiepskie ze mnie biuro adopcyjne. – Filip skrzywił się, czytając ogłoszenie zdanie po zdaniu. Uznał jednak z pokorą, że niczego mądrzejszego nie wymyśli. Dopisał więc szybko:

„Czekam na Wasze oferty. Umieszczajcie je w wiadomościach. Na zdjęciu: Fanfatalka i ja”.

– Anulka, cyknij nam fotkę – poprosił, podając jej telefon.

I po chwili ze wzruszeniem patrzył na wspólny portret: wtuloną w jego ramię szynszylę, zalotnie zerkającą prosto w obiektyw.

Zgrabnie umieścił całość ogłoszenia na Facebooku i spojrzał pytająco na koleżankę. W skupieniu studiowała zza jego pleców nowy post.

– Co powiesz? Fajnie? – Trochę go zmroził brak aprobaty na twarzy dziewczyny.

– Przemilczę. – Wzruszyła ramionami. – Jest mi zbyt przykro, żeby to komentować – odpowiedziała wymijająco i krótkim „narka” pożegnała kolegę.

Pokonała w mistrzowskim tempie klatkę schodową i najszybciej jak mogła uruchomiła laptop. Pod zdjęciem Filipa był już wysyp komentarzy. Od „wow” i „super”, po „lubię to”. Większość od dziewczyn. Nic dziwnego. Ze zdjęcia patrzył na swoich wirtualnych znajomych najprzystojniejszy chłopak, jakiego znała. Nawet wieloletnia bliska przyjaźń z nim nie przeszkadzała jej dostrzegać tego faktu. A może wręcz utrwalała coraz mocniejsze przekonanie, że dotąd nie urodził się nikt, kto by dorównał Filipowi, jeśli chodzi o zalety. I nie chodziło Anulce wyłącznie

o jego zewnętrzne atuty. Ważniejszy wydawał się jej ten Filip „od środka”. Spokojny i życzliwy. Lubiący sąsiadów. Nawet pana Makucha, który był skłócony z całym światem. Przy Filipie nigdy nie czuła się zakłopotana. Mogła o wszystko zapytać. Nie drwił z niej. Czasami tylko pojawiały się w jego oczach żartobliwe ogniki. Najczęściej wtedy, gdy klepnęła coś głupiego i chwilę później oboje zaśmiewali się z tego do łez.

Jedyne, co mogła zarzucić Filipowi, to jego ślepotę. Bo jak inaczej nazwać to, że wciąż widział w Anulce dziecko? Tamtą małą dziewczynkę sprzed lat, z mysim warkoczykiem, choć warkoczyk przeobraził się już w burzę rudych włosów. Dawno porzuciła dziecięce przyzwyczajenia, a chłopcy z jej szkoły zamiast klockami Lego zaczęli się interesować właśnie nią. Ba! Koledzy Filipa też! Problem w tym, że Anulka marzyła o całkiem innej randce. Z całkiem innym chłopakiem.

Liczba wpisów rosła w zastraszającym tempie, co nie pozostawiało wątpliwości, że miłośniczek wdzięków Filipa będzie z minuty na minutę przybywało. Zmarszczyła nos jak zawsze, kiedy zadanie wymagało od niej wielkiego skupienia, i otworzyła nowy plik. Podpisała go „MOJA OFERTA”. Ponownie zmarszczyła nos i ochoczo zabrała się do pracy.

Pomysł z internetowym poszukiwaniem rodziny zastępczej dla Fanfatałki rodzice Filipa uznali za doskonały. Teraz, kiedy przywłókł się do salonu z okazałym plikiem wydrukowanych ofert, ich wiara w powodzenie akcji adopcyjnej wyraźnie osłabła. Dawno nie widzieli tak przygnębionego syna.

– Koszmar – jęknął, wbijając się w sofę. – Nie jestem w stanie tego czytać – dodał z niemal dziecięcą bezradnością.

– Spokojnie, Filip! – Ojciec trwał na pozycji optymisty ze zdumiewającym uporem. – Czasami trzeba długo szukać właściwej osoby. Na przykład ja... zanim poznałem twoją matkę...

– Otworzyłem niechcący jakieś biuro matrymonialne! – przerwał tacie z rozgoryczeniem Filip. – Spójrzcie sami!

Mama, którą rozsadzała ciekawość Pandory, błyskawicznie przechwyciła pliki. Przejrzała je pośpiesznie i z miną pozbawioną wcześniejszego entuzjazmu przekazała ojcu.

– No cóż... – westchnął po pobieżnej lekturze. – Rzeczywiście... Niby ogromny wybór... Jednak nie sądzę, żeby któraś z tych pięknych panien zrozumiała, o co prosisz...

– „Manuela”. – Filip rozsiadł się wygodnie i głosem spikera cytował wyjątki z obfitej korespondencji: – „Mam trzynaście lat. Mieszkam w ładnym wnętrzu i lubię ładne zeczy. Chętnie cie poznam. Nie przeszkadzają mi ładne zwierzątka. Spendzam dużo czasu na siłowni...”. – Powiódł po rodzicach zrozpaczonym wzrokiem. – Albo tu... – Sięgnął po następną kartkę. – „Jak widać na załączonym zdjęciu, jestem osobą atrakcyjną. Niektórzy mówią, że piękną. Ja tak nie uważam, bo uważam, że od urody ważniejsze są inne zalety. Na przykład lubienie zwierząt. Dotąd nie miałam zwierząt, ale chyba je lubię. Poza myszami. Aktualnie uczę się śpiewać, bo mam sceniczne możliwości. Uwielbiam też horrory...”. – Filip przerwał w pół zdania.

– Horror – zgodził się ojciec, a w jego głosie słychać było rezygnację.

– I dalej... „Mam na imię Justyna, ale mówią o mnie Jusia. Jeśli szukasz kogoś ładnego, to dobrze trafiłeś. To zdjęcie zrobił mój były chłopak. Teraz jestem wolna...”.

– I żadnej normalnej odpowiedzi? – Mama patrzyła ze współczuciem na załamane Filipa.

– No, sami powiedzcie! Isadora, lat szesnaście. „Szukasz mnie!!! Jestem wyjątkowa, mam wymiary jak Aniołki Victoria Secret. Fajnie ci w tym futrze na fotce. Też bym chciała mieć taki kołnierz...”.

Podniósł na rodziców zmęczone oczy. Tak zmęczone, że nie zauważył, z jakim trudem ukrywają niestosowną wesołość. Najchętniej oboje ryknęliby gromkim śmiechem.

– Poczekajmy. – Mama pragnęła wierzyć po swojemu w szczęśliwe zakończenia. – Minęły dopiero dwa dni – zauważyła radośnie. – Na pewno w tym anonimowym tłumie znajdzie się wreszcie jakiś przyzwoity miłośnik szynszyli.

– W najgorszym wypadku umieścimy ją u ciotki Zuli. – W głosie ojca zabrzmiała nuta rozpaczy.

– Nigdy! – Filip ożywił się. – Fanfatałka nie może zamieszkać z kimś tak infantylnym jak ciotka Zula i jej Fifi.

– Uważasz, że te miss z bogatymi wnętrzami są lepsze? – odciął się ojciec, nieco urażony krytyką swojej siostry. – Chociaż może i lepsze. –

Machnął ręką pokonany.

– Chyba niepotrzebnie wspomniałeś w ogłoszeniu o tym całym pięknie...
– Mama bezradnie starała się znaleźć przyczyny, z których powodu świetny plan Filipa nie wypalił.

– Jeśli ktoś nie potrafi czytać ze zrozumieniem albo nie pojmuje, czym naprawdę jest piękno, nigdy nie doceni naszej Fanfatałki – odpowiedział z namysłem. – Moje ogłoszenie to zarazem test. Aby dostać nagrodę, trzeba go zwyczajnie zaliczyć.

Podniósł się z kanapy i bez pośpiechu ruszył w stronę laptopa. Wciąż tliła się w nim nadzieja, że napisze wreszcie choć jedna naprawdę piękna osoba gotowa zaopiekować się najmilszą szynszylą świata.

Niestety, śledził kolejne wiadomości, które nie różniły się zanadto od wcześniejszych postów. Ktoś go zapewniał, że nie je zwierząt, w tym szynszyli. Ktoś inny pytał, ile dostanie za opiekę nad futrzakiem. Znalazł też kilka adresów schronisk i stron internetowych skupiających wielbicieli „szyszek”. A poza tym trwała w najlepsze wielka licytacja zalet, jakiś niepojęty konkurs na najpiękniejszą. Z każdego ogłoszenia wypadały pracowicie robione selfie. W stroju kąpielowym, na tle skał i morskich plaż. Wprawdzie trafił na kilka przemiłych ofert od dzieci, jednak nic nie wskazywało na to, że uzgodniły z rodzicami obecność nowej lokatorki.

– Ja też nie uzgadniałem – przypomniał sobie uczciwie, odpisując na te jedyne sympatyczne listy z prośbą o zamieszczenie w ofercie zgody opiekunów.

Zniechęcony wyłączył komputer. Niedziela była wymarzonym dniem, by wyciągnąć z garażu rower i wyskoczyć z Kusym na skałki. Obiecywał od tygodni Anulce, że zabierze ją na próbną wspinaczkę. Ostatecznie należy się małej nagroda, choćby za jej wielką sympatię dla Fanfatałki. Wysłał więc szybki esemes i chwilę potem, obładowani sprzętem, ruszyli spod domu na wycieczkę.

To nie był chyba dobry pomysł brać ze sobą Anulkę, myślał Filip, patrząc ze zdumieniem, jak Kusy sprytnie przejął asekurację i tłumaczył z wielkim ożywieniem, co to są ekspresy. Całkiem zgłupiał! – ocenił zaangażowanie kolegi, które kojarzyło mu się z bezczelnym uwodzeniem nieletniej. Tymczasem „nieletnia” szalała na skałce. Szybko opanowała podstawową technikę i całkiem zręcznie pięła się ku górze.

– Ona jest zjawiskowo dobra! I ładna jak diabli! – Kusy nie ukrywał zachwytu.

Jednak ten jego zachwyty jeszcze bardziej irytował Filipa. Niechęć do przyjaciela wytłumaczył sobie internetową klęską, a w drodze powrotnej zawzięcie milczał, choć wiedział doskonale, jak bardzo Anulce jest przykro.

– Co zrobiłam nie tak? – zapytała, gdy rowery stanęły w bezpiecznym miejscu pod ich kamienicą.

– Wszystko okej – uciał, pozbawiając ją nadziei na choćby jedno dobre słowo.

Liczyła na nie. Na skromne zapewnienie, że sobie poradziła i „będą z niej ludzie”. Niedawna wesołość musiała trafić wraz z rowerami do garażu, bo kiedy Anulka stanęła przed drzwiami mieszkania, znalazła tylko niewyraźny uśmiech i krótkie „dzięki” pośpiesznie rzucone Filipowi.

– Narka – pożegnał ją zdawkowo, zgrabnie pokonując kilka stopni naraz.

Wprawdzie zamierzał osłodzić małej tę wspólną wyprawę, powiedzieć, jaka to z niej górską kozica, ale zachwyty Kusego sprawiły, że Anulka wydała mu się nagle kimś obcym. Nie potrafił tego określić. Sądził, że staje się jedną z tych Manuel czy innych Eleonor, które od dwóch dni zadreślały go cikliwymi liścikami w sprawie wystroju swego wnętrza i jawnego samouwielbienia. Pokręcił głową z dezaprobatą, wyjmując Fanfatalkę z klatki i przytulając ją delikatnie do policzka.

– Gdybyś tylko wiedziała, jaka jesteś śliczna, skromna i mądra – szepnął do swojej ulubienicy, zanim ponownie usiadł przed komputerem.

Po chwili rozpromieniony wpadł do pokoju rodziców.

– Posłuchajcie! Dostałem to przed chwilą! – cieszył się jak dziecko, wymachując kartką. – Nareszcie jakaś nadzieja!

– Czytaj! – ożywili się jednocześnie.

I choć ojciec jeszcze przed chwilą nie spuszczał wzroku z polskich piłkarzy, a mama z malowanego starannie paznokcia, teraz wpatrywali się w jedynaka, jakby cały wieczór czekali na jego radosny okrzyk.

– „Anna” – rozpoczął. – „Na wstępie chcę cię uprzedzić, że nie jestem piękna, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Zapewniam, że mój wygląd nie ma dla Twojej ulubienicy żadnego znaczenia. Ważniejsze są chyba zamiary, jakie mamy wobec nowych członków rodziny. Jestem odpowiedzialna, dlatego najpierw poprosiłam mamę o wyrażenie zgody na

przyjęcie nowej lokatorki. Ponieważ, jak sądzę, nie przestaniesz tęsknić za swoją pupilką, cieszę się, że mieszkam niedaleko, i będę szczęśliwa, jeśli zechcesz ją odwiedzać. Przy okazji sprawdzisz, czy właściwie wypełniam swoje obowiązki. Będę wdzięczna za pomoc i wskazówki. Ja bym tak postąpiła, gdyby moje zwierzątko trafiło do innych rąk. Wiesz przecież najlepiej, co lubi, a czego nie znosi Fanfatalka. Nie zamieszczam swojej fotki. Nie zdjęcie powinno decydować o człowieku. Przykro mi, że dopadła Cię alergologia. Zawsze jednak można spotykać się z kimś, kogo Kochamy. Pozdrawiam”.

– Cudownie! – Mama aż klasnęła w ręce. – Właśnie takiej opiekunki szukaliśmy! Co jeszcze mówi o niej Facebook?

– Mhm... – westchnął zaszepiony Filip. – I tu jest mały problem. Ta cała Anna założyła stronę na chwilę przed przysłaniem oferty. Nie ufam takim przypadkom.

– Nie bądź aż tak podejrzliwy. – Ojciec poklepał Filipa po ramieniu. – Zresztą tu nie ma żadnych tajemnic. Dziewczyna jest otwarta, mieszka niedaleko, zaprasza do siebie... Liczy na to, że będziesz odwiedzał Fanfatusię. Czego można chcieć więcej?

– Niby tak – zgodził się Filip bez przekonania. – Podała też telefon... Mogę zadzwonić i wyjaśnić wątpliwości.

Spojrzał niepewnie na rodziców. Wyglądali na zachwyconych.

– Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiłeś. – Ojciec filuternie mrugnął okiem. – Ten list wart jest każdego telefonu – dodał i mrugnął ponownie, ale tym razem do żony, dbając, by syn nie przyłapał ich na tym rodzicielskim porozumieniu.

Minął dobry kwadrans, zanim Filip wystukał kilka cyfr. Jakby to od nich zależało najwięcej. Nagle na wyświetlaczu pojawił się napis „Młoda”. Rozłączył się błyskawicznie, sarkając na swą nieuwagę. Taka ważna chwila, a on wydzwania do Anulki! Ponownie usłyszał cichy sygnał i znowu ekran komórki zamigał napisem „Młoda”. Zanim zrozumiał sytuację, w słuchawce odezwał się cichy głos:

– Słucham.

– Anulka? To... to jakaś pomyłka! – wykrztusił z niechęcią. – Bo ja dostałem ten namiar w odpowiedzi na moje ogłoszenie... – rozpoczął, ale Anulka przerwała mu w pół zdania:

– Dlatego słucham – powtórzyła raz jeszcze.

– Czy ty... Czy to ty napisałaś w sprawie Fanfatałki?

– Każdy mógł, więc chyba nie zrobiłam niczego niestosownego – usłyszałam nutę zniecierpliwienia.

– Ale przecież...

– ...przecież nie spełniam kryteriów, prawda? – Anulka nie mówiła już cichym głosem. Jej żal brzmiał wyraźnie i mocno. – Jestem nieodpowiednia, bo co? Za dziecinna? Nie lubię zwierząt? Zbyt przeciętna i nie widzisz mojego wewnętrznego piękna?

– Chwila! – tym razem on wszedł w jej litanie znaków zapytania. – Jestem po prostu zaskoczony!

– Czym? Może brakiem własnej uważności? Ja też jestem zaskoczona. Znamy się tyle lat, a nie przyszło ci do głowy zaproponować mi opieki nad „szyszką”? Wiedziałaś, jak bardzo ją lubię...

– Wpadnij. Pogadamy spokojnie. – Postarał się, aby jego słowa zabrzmiały przyjaźnie.

– Teraz nie mogę. Będę wolna za pół godziny.

– Czekam – rzucił pośpiesznie.

Nagle przeraził go bałagan w pokoju. Poupychał rozrzucone ubrania w komodzie, buty zręcznym kopniakiem wsunął pod łóżko i wygładził kapę. Usiadł na niej głęboko poruszony.

– Co się ze mną dzieje? – Przestraszył się. – To tylko Anulka!

Nigdy wcześniej jej wizyta nie skłoniłaby go choćby do próby ogarnięcia nieładu. A teraz, kiedy w pokoju pojaśniało, dotarło do niego, że powinien zmienić koszulkę polo. Wciąż miał na sobie wspinaczkowe ciuchy.

Gdy odezwał się dzwonek i rodzice ponownie oderwali wzrok, jedno od telewizora, drugie od świeżo pomalowanych paznokci, poinformował ich oficjalnym tonem, że to ważna wizyta.

– Poznacie Annę – rzucił, biegnąc do drzwi.

A kiedy je otwierał, przyszła mu do głowy nieśmiała myśl, że on również pozna Annę. I to może być całkiem wyjątkowa, a nawet całkiem nowa znajomość...

WIEDZA
POTRAFI BYĆ
WSPANIAŁA,
ALE POTRAFI
TEŻ BYĆ
NIEBEZPIECZNA...

ANDRZEJ MALESZKA
GENIALNY POMYL



MĄDROŚĆ jest to celowe przyczynianie się do dobra poprzez właściwe wybory. Chodzi tu o dobro ogólne, wspólne, a nie tylko własne. Wszystko, co robimy, prędzej czy później do nas wraca. Jeśli chcemy żyć w świecie przyjaznym i sprawiedliwym, powinniśmy stać się częścią działań na rzecz takiego świata.

Aby postępować mądrze, nie wystarczą same intencje. Potrzebne są też wiedza, doświadczenie, a także refleksja, które pozwalają patrzeć dalej, szerzej i głębiej, rozważyć możliwe scenariusze wydarzeń i przewidzieć konsekwencje wyborów. Nie tylko natychmiastowe, na przykład w postaci własnych korzyści, ale także te, które na skutek podjętych decyzji pojawią się za wiele lat, zarówno w naszym życiu, jak i w życiu innych ludzi.

Mądrość to także umiejętność dokonania wyboru w sytuacji konfliktu wartości. Pozwala wybrać wartość w danych okolicznościach ważniejszą, na przykład: czy być bezwzględnie prawdomównym, czy może przemilczeć jakąś informację, by niepotrzebnie kogoś nie zranić.

Dzień, w którym spotkałem kosmitę, zaczął się zwyczajnie.

Na matematyce zostałem wywołany do odpowiedzi. Kiedy skończyłem, nauczyciel powiedział:

– Słuchaj, Pomył! Dostajesz jedynkę! A wiesz czemu jedynkę? Bo nie ma oceny zero, ty kosmiczny głupku!

Prawie wszyscy w klasie zarechotali, najgłośniej wielki Capek.

Ja nic nie powiedziałem. Mam ksywę Pomył, bo w szkole często się mylę. Po prostu jak się zdenerwuję, to potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko zrozumieć. Potem ogarniam, o co chodzi. Ale nigdy nie dają mi drugiej szansy, żebym poprawił odpowiedź. Zresztą z Kostuchem, czyli nauczycielem matmy, nie ma co dyskutować. On i tak uważa, że jestem beznadziejny.

Zgłosiła się Maja.

– Proszę pana. Nie powinien pan mówić do uczniów „głupek”.

– A ty, Kalicka, co? – mruknął Kostuch. – Jesteś menadżerem Pomyła?

Dalszą dyskusję przerwał dzwonek. Koniec lekcji. Wszyscy poszli do stołówki na obiad. Ja najpierw musiałem iść do biblioteki oddać lekturę.

Bibliotekarka, którą nazywamy Ciocia Munia, nawet się ucieszyła na mój widok.

– Kuba! Ty jedyny oddajesz książki niezniszczone.

– Bo ich nie czytam – mruknąłem.

– Kiedyś zaczniesz. Jestem pewna.

– Raczej nie. Chociaż tę ostatnią trochę przeczytałem.

– Ciekawa?

– Ten kawałek o kosmitach był dobry. Chciałbym, żeby kosmici tu kiedyś przylecieli.

– A po co?

– Mogliby mnie zabrać na swoją planetę. Bo w tej szkole jest okropnie.

Ciocia Munia wstała zza biurka, co było dość trudne, bo jest masywna. Przydreptała do mnie.

– Matematyk znowu ci powiedział, że jesteś głupi, co? – szepnęła. – Słyszałam, bo przez sufit słychać wszystko z waszej klasy.

Milczałem.

– Wcale, Kuba, nie jesteś głupi – powiedziała bibliotekarka. – Rozumiesz? Jesteś bardzo...

Nie usłyszałem, jaki jestem, bo nagle rozległ się głośny huk. TRACH! Szkoła zadrzała, a w bibliotece zgasły wszystkie światła.

Przez chwilę staliśmy w zupełnej ciemności, bo biblioteka jest w podziemiach szkoły.

– Co się stało? – spytałem niepewnie.

Ciocia Munia nie odpowiedziała. Wyjęła z biurka latarkę, która ledwo świeciła, i poszliśmy razem na korytarz. Tutaj też nie było prądu, więc wybiegliśmy na podwórze.

I wtedy to zobaczyłem.

Nad parkiem obok szkoły coś się unosiło. Jakby wirujące fioletowe światło. Układało się w kształt stożka. Widok był niesamowity, ale tylko ja go widziałem, bo Ciocia Munia nie zabrała okularów. Po chwili niesamowite światło zaczęło gasnąć. Kiedy ze szkoły wybiegli Majka, Capek i inni z naszej klasy, już go nie było widać.

– Co to był za huk? – spytała wystraszona Maja. – Kuba, widziałeś coś?

– Tak – szepnąłem. – Widziałem coś niesamowitego! Tam wirowało takie światło!

– W głowie ci wirowało, Pomył – powiedział Capek. – Po prostu gdzieś walnął piorun. Szkoda, że nie w ciebie!

Dalej już nic się nie działo. Obiad odwołano, bo w stołówce nie było prądu, i wszyscy poszli do domu.

Ja poszedłem do parku. Po prostu chciałem sprawdzić, czy tam naprawdę coś było, czy znowu mi się pomyliło. Maja chciała iść ze mną, ale nie mogła, bo przyjechali po nią rodzice i zabrali do domu.

Park za szkołą jest dziki i zarośnięty, z gałęzi zwisają pajęczyny. A pająki były tego dnia dziwnie nerwowe. Biegały jak zwariowane. Nad drzewami fruwały wrony. Latały w kółko jakby wystraszone i krakały przeraźliwie.

Szedłem i rozglądałem się, ale nie zauważyłem niczego poza śmieciami, które zawsze tu leżą. Nagle usłyszałem jakiś dźwięk. Piski i stukanie. Hałas robił się coraz głośniejszy. Wystraszyłem się i zacząłem uciekać. Z nerwów

pognałem złą drogą, która prowadziła do innej części parku. Biegłem naprawdę szybko, kiedy nagle ŁUP! Uderzyłem w coś i upadłem na trawę.

Powoli wstałem i spojrzałem zdziwiony, bo na drodze niczego nie było. Ruszyłem ostrożnie do przodu. ŁUP! Znowu w coś uderzyłem. To coś było niewidzialne!

Wysunąłem rękę i zacząłem tego dotykać. Miało gładką i jakby śliską powierzchnię i było zupełnie niewidoczne! Pomyślałem, że to może być kosmiczny pojazd! Obszedłem go, dotykając niewidzialnych ścian. Konstrukcja miała rozmiar kiosku z gazetami i kształt stożka.

Usłyszałem cichy pisk, jakby otwierały się drzwi. Odłoniło się wnętrze pojazdu. Ono nie było niewidzialne! Było doskonale widoczne i ogromne jak sala gimnastyczna albo jeszcze większe! Nie miałem pojęcia, skąd wzięło się tam tyle przestrzeni, bo pojazd był mały.

W tym momencie ktoś stanął w drzwiach. Wyglądał jak zrobiony z mgły i fioletowego światła.

Usłyszałem ciche dźwięki, jakby brzęczenie pszczoły... Zdawało mi się, że ta istota do mnie mówi, ale niczego nie rozumiałem. Nagle tam, gdzie kosmiczny przybysz miał chyba głowę, pojawił się laserowy promień. Skierował się w moją stronę. Był tak jasny, że musiałem zmrużyć oczy. Światło dotknęło mojego czoła i poczułem coś dziwnego. Jakby łaskotanie w środku głowy! Minęła sekunda i zacząłem pojmować, co ten stwór mówi. Miał sposób, żeby przesyłać słowa prosto do mojej głowy!

– Źle... Awaria – mruczał głos. – Potrzebna energia... Pallad...

Nie wiedziałem, co to jest pallad, i w ogóle nie miałem pojęcia, co robić. I wtedy wykonałem coś głupiego. Wyjąłem komórkę, żeby zrobić fotkę!

Laserowe światło zaraz zamigotało. Przybysz zaczął szeptać:

– Pallad... Pallad...

I nagle telefon wyrwał się z mojej ręki i pofrunął w jego stronę. Unosił się w powietrzu jak balonik. Laserowa smuga oświetliła komórkę. Gwałtownie się rozjaśniła, a wtedy mój telefon zaczął się topić!

Mimo woli jęknąłem, bo komórka była prawie nowa. Po sekundzie wyparowała i została z niej tylko maleńka srebrzysta kropla.

– Pallad!

Kulka pofrunęła do wnętrza pojazdu, a stwór podążył za nią. I wtedy ziemia zaczęła drżeć. Chyba w niewidzialnym pojeździe włączyły się silniki albo jakaś supermoc. To znaczyło, że zaraz odleci...

Poczułem dziwny żal. Trochę z powodu straconego telefonu, ale bardziej dlatego, że to się już kończy. Że już nie dowiem się, kim jest ta istota ani czemu tu przyleciała. Nie miałem nawet żadnego zdjęcia, więc nikt nie uwierzy, że ją spotkałem. Jak zwykle powiedzą, że Pomył jest głupi i wszystko pomylił...

Nagle kosmiczny przybysz znowu się pojawił w drzwiach i usłyszałem w głowie jego słowa:

– Pomogłeś. Wdzięczność. Powiedz, czego potrzebujesz?

Nie odpowiedziałem. Nie potrafiłem wykrztusić słowa.

A ten stwór patrzył na mnie, jakby mnie badał superskanerem. A potem powiedział:

– Tak. To będzie dla ciebie najlepsze.

Rozległ się dziwny dźwięk. I poczułem, jak w moich rękach ląduje jakiś niewidzialny przedmiot.

– Co to jest? – spytałem niepewnie.

– Nie ma u was słowa, by to nazwać – szepnął przybysz.

Drzwi pojazdu się zamknęły. Zahuczało. Zerwał się wiatr, tak mocny, że prawie mnie przewrócił, a potem wszystko ucichło. Kosmiczny przybysz odleciał. Został tylko krąg wypalonej trawy.

Wracałem do domu bardzo powoli. W głowie kłębiły mi się różne myśli:

Że jestem chyba jedynym człowiekiem, który spotkał kosmitę...

Że mama się wkurzy, bo straciłem komórkę.

I że może to wszystko tylko mi się zdawało. Pomył znowu się pomylił...

Ale przecież miałem ten przedmiot. Trzymałem go w rękach. Bałem się, że go upuszczę i nie znajdę, bo był niewidzialny. I niesamowicie lekki. Sprawdziłem ręką jego kształt. Był półokrągły i w środku pusty, jak hełm albo rowerowy kask. Miałem straszną ochotę włożyć go na głowę. Jakaś siła wręcz mnie do tego zmuszała. Podniosłem ręce i wcisnąłem niewidzialny hełm.

Poczułem coś dziwnego. Jakby w mojej głowie co sekundę włączała się lampa błyskowa. TRACH! TRACH! A każdy błysk to była dziwna myśl.

Spojrzałem na latarnię i zaraz myśl: SKŁAD ALUMINIUM WOLFRAM TLENEK MIEDZI... Spojrzałem na pająka i znów w głowie błysnęło: STAWONOGI GROMADA PAJĘCZAKI RODZINA KRZYŻAKOWATE... Jak tylko na coś patrzyłem, od razu wiedziałem o tym wszystko. Byłem jak superkomputer podłączony superszybkim łączem do internetu. Albo raczej jak supermądry człowiek, który nie potrzebuje komputera, bo sam wszystko wie! Moje myśli płynęły tak szybko, że aż się wystraszyłem. Już chciałem zdjąć ten hełm, kiedy usłyszałem: „Cześć, Kuba! ”.

Ulicą jechała na rowerze Majka.

– Wybieram się do kuzynki! – zawołała. – Ale nie wiem, czy nie będzie padać...

Spojrzałem w niebo i powiedziałem:

– Będzie padać za trzydzieści sekund. Ciepłe i wilgotne powietrze formuje chmury burzowe, bo silne prądy pionowe wznoszą je w górę.

– Co ty gadasz? – spytała zdumiona Majka. Patrzyła na mnie niepewnie. – Masz dziwną minę... Stało się coś czy...?

Nie skończyła, bo rozległ się grzmot. A potem lunął deszcz. Zerknąłem na zegarek. Minęło dokładnie trzydzieści sekund.

Ulewa była niesamowita. Majka pognąła na rowerze, a ja pobiegłem do domu.

Mama na mój widok zawołała:

– Gdzieś ty był? Dzwoniłam do ciebie! Czemu nie odbierasz?

– Ja... zgubiłem telefon.

– Co!?! On tyle kosztował! Nie dam ci pieniędzy na nowy! W dodatku pralka się zepsuła... Tyle mamy wydatków i jeszcze to...

W łazience stał gruby facet, chyba monter, i trzymał jakąś część od pralki. Spojrzałem na nią i od razu wiedziałem, co jest zepsute.

– Uszkodzony termostat! – zawołałem. – Prąd błądzący na styku...

– Co ty gadasz, młody? – burknął monter.

Zamiast odpowiedzieć, wyrwałem mu urządzenie. Oczyszczyłem styki i wcisnąłem mikroprzełącznik.

– Co robisz, smarkaczu!?! – wrzeszczał monter.

Włożyłem moduł do pralki. Włączyłem start. Pralka się uruchomiła.

– Działa – powiedziałem.

Mężczyzna patrzył na mnie chwilę jak na ducha, a potem złapał torbę z narzędziami i uciekł.

Poszedłem do swojego pokoju. Zdjąłem niewidzialny hełm i schowałem go ostrożnie do szafki. Błyski przestały się pojawiać. Myśli przestały wirować. Wszystko było jak dawniej, tylko bolała mnie głowa.

Próbowałem pojąć, co się dzieje. Ten dziwny hełm powodował, że wiedziałem wszystko! To znaczy chyba wszystko, bo przecież nie wiemy, czego nie wiemy, a człowiek nie może pojąć wszystkiego... Majka tak kiedyś powiedziała...

Nie miałem siły o tym myśleć. Byłem potwornie zmęczony. Położyłem się spać wcześniej niż zwykle.

– Jesteś chory, Kuba? – spytała wystraszona mama.

– Nie jestem – mruknąłem i zakryłem się kołdrą.

Rano przypomniałem sobie, że mamy dzisiaj test z matematyki. Pobiegnąłem do szafki i wyciągnąłem niewidzialny hełm. Wcisnąłem go na głowę i poszedłem do szkoły.

Test był na pierwszej lekcji. Kostuch rozdał kartki z zadaniami. Spojrzałem, błysk i zaraz w mojej głowie pojawiły się odpowiedzi. Chwyciłem długopis i zacząłem rozwiązywać. Pisałem tak szybko, że wszyscy się na mnie gapili. Wypełniałem rubryki z szybkością światła. Trach, trach! B, D, A, A, C... Minęło dziesięć sekund i test był napisany.

– Skończyłem – powiedziałem.

– Co!? Zwariowałeś, Pomył? – zawołał Kostuch.

– Skończyłem. – Podałem test nauczycielowi.

Ten rzucił na niego okiem. Potem krzyknął:

– Jak to zrobiłeś? Miałeś ściągę?

– Nie.

Poszliśmy razem do dyrektora szkoły.

– Panie dyrektorze! – zawołał Kostuch. – On wypełnił test w dziesięć sekund. I nie zrobił żadnego błędu! To musi być jakieś oszustwo. Pomył zawsze dostaje same jedynki.

– Jak to zrobiłeś? – spytał dyrektor.

– Po prostu wszystko wiedziałem i rozwiązałem...

– Siadaj i pisz jeszcze raz – zdecydował dyrektor. – Będziemy patrzeć.

Kostuch podał mi nową kartkę. Wcześniej sprawdził, czy nie mam w uszach schowanych słuchawek.

Spojrzałem na test. Zadania były inne, ale to nie miało znaczenia. Zacząłem je rozwiązywać. Trach! Trach! Skończyłem w siedem sekund.

– Gotowe.

Nauczyciel chwycił kartkę.

– Ile błędów? – spytał dyrektor.

– Żadnego – jęknął Kostuch. A potem wrzasnął: – Jest jeden błąd! Siedem do potęgi siedem to nie jest 823 543!

– Jest – powiedziałem.

Dyrektor szybko policzył na kalkulatorze.

– Chłopak ma rację. Pan się pomylił.

No i wtedy się zaczęło.

Najpierw zrobili mi inne testy, z polskiego, przyrody i fizyki. Każdy wypełniałem błyskawicznie. I bez żadnego błędu! Potem wysyłali mnie na różne olimpiady. Zwyciężyłem we wszystkich. Później wygrałem konkursy w telewizji: *Mam talent*, *Młody Einstein*, *Pojedynek Geniuszów* i inne.

Stałem się sławny. Robili ze mną wywiady.

– Jesteś najmądrzejszym uczniem w Polsce. Czemu nazywają cię Pomył? – pytali dziennikarze.

– Bo kiedyś się myliłem.

– A co zrobiłeś, żeby zmądrzeć?

– Nooo... Tajemnica.

Oczywiście nie powiedziałem nikomu o hełmie. Nawet Mai ani rodzicom. Choć strasznie chciałem z kimś o tym pogadać.

W szkole niektórzy mi zazdrościli, a inni chcieli się ze mną przyjaźnić. Głównie dziewczyny. Kłóciły się, która ma ze mną wracać po szkole albo iść do kina. Miałem tej popularności już dosyć i chowałem się, najczęściej w bibliotece. Czytałem książki, bo teraz wystarczało mi parę minut, żeby przeczytać tysiąc stron. Tylko przewróciłem kartki i już wszystko wiedziałem. W godzinę nauczyłem się mówić po chińsku. A potem w różnych innych językach.

Ciocia Munia nic nie mówiła, ale chyba się o mnie martwiła.

Kiedy wracałem do domu, to zdejmowałem hełm i zaraz kładłem się do łóżka. Bo potwornie bolała mnie głowa. Wciąż łykałem tabletki przeciwbólowe i inne świństwa. Albo polewalem głowę zimną wodą. Nic nie pomagało. Głowa wciąż bolała.

– Kuba, co się z tobą dzieje? – niepokoili się rodzice.

– Nic.

A Majka pytała:

– Kuba, jak to się stało, że zrobiłeś się taki genialny? Albo mi powiesz prawdę, albo nie będę się z tobą przyjaźnić.

Milczałem. I Majka przestała ze mną rozmawiać. A to był dopiero początek kłopotów.

Wysłali mnie na TARGI NOWYCH TECHNOLOGII do Barcelony. Pokazują tam najnowsze smartfony, elektryczne samochody i drony. Zapraszają także supermądre dzieci, czyli na przykład mnie. Pojechała też Maja, która była druga w olimpiadzie matematycznej. Opiekowali się nami Kostuch i Ciocia Munia.

Polecieliśmy samolotem. Maja siedziała obok mnie, ale przez całą drogę się nie odzywała. Zresztą ja miałem teraz problem, bo kiedy włożyłem hełm, to nie widziałem prawdziwej Majki, tylko aminokwasy, chromosomy, mitochondria i skład jej skóry. To wcale nie było miłe.

W Barcelonie zamieszkaliśmy w eleganckim hotelu z basenem.

Zaraz po przyjeździe poszliśmy na wykład profesora, który dostał Nagrodę Nobla. Pokazywał różne doświadczenia i mówił, że potrzebna jest nowa mądrość, bo świat przestał się rozwijać. Na przykład nikt nie umie wynaleźć małej baterii, która mogłaby zasilać samochody i spowodować, by telefon działał rok bez ładowania.

W mojej głowie zaraz zaczęły błyskać myśli. Zerwałem się.

– Ja zrobię taką baterię! – zawołałem.

Pobiegłem do stołu, przy którym profesor wykonywał doświadczenia.

– Pomył, siadaj na miejsce! – warknął Kostuch.

Ale ja nie usiadłem. Zacząłem tworzyć superbaterię. Użyłem różnych preparatów, które były na stole. Brakowało mi tylko odrobiny złota, więc ściągnąłem profesorowi obrączkę i wrzuciłem do kwasu. Po chwili miałem już tę baterię. Błyszczała jak diament i miała wielkość tik-taka. Podałem ją profesorowi.

Ten przyłożył do baterii jakiś miernik i zbladł. Prawie zemdłał. A potem zaczął krzyczeć:

– W niej jest tyle energii, że można zasilać miasto przez cały rok... Jak to osiągnąłeś?

Nie odpowiedziałem.

– Potrafiłbyś to zrobić jeszcze raz?

– Tak.

Wyszliśmy z budynku i wsiedliśmy do elektrycznego samochodu Tesla. Profesor podłączył moją baterię do silnika i jechaliśmy jak szaleni aż do hotelu. Miernik pokazywał, że na mojej baterii samochód może przejechać milion kilometrów. Bez ładowania!

W hotelu profesor oddał mi baterię i usiadł obok mnie. Był wystraszony. Wyglądało, jakby się nagle zestarzał.

– Posłuchaj – szepnął. – To jest niebezpieczne. Świat jest zagrożony i ty także.

– Dlaczego? – spytałem.

– Kto ma taką energię, może wszystko. Można z nią robić dobre rzeczy i złe. Straszliwie złe! Na przykład zbudować bombę milion razy mocniejszą niż atomowa...

– Ale można też zbudować samochody elektryczne! I dużo dobrych urządzeń – powiedziała nagle Maja. – Sam pan mówił, że przez brak pomysłów świat się nie rozwija.

– Tak – powiedział profesor. – Tylko widzisz... Wiedza potrafi być wspaniała, ale potrafi też być niebezpieczna... My, mądrzy ludzie, nigdy nie wiemy, co zrobią z naszymi pomysłami. I z nami... – Rozejrzał się i szepnął: – Jesteś w niebezpieczeństwie, chłopcze. Wszyscy już o tobie wiedzą... O tym, co potrafisz. Także źli ludzie... Już krążą wokół ciebie. Nie wychodź z hotelu.

Odwrócił się do Kostucha i Cioci Muni.

– Pilnujcie go, proszę...

Poszedł. Kostuch kazał mi siedzieć w pokoju. Nawet nie mogłem iść na basen. Zdjąłem hełm, bo głowa bolała mnie bardziej niż zwykle, a nie miałem żadnych tabletek. Po godzinie nie mogłem już wytrzymać i poszedłem do Mai. Hełm zabrałem ze sobą.

– Masz tabletki na ból głowy? – spytałem.

– Nie... – powiedziała Maja.

– Okej – westchnąłem. – No to pójdę.

– Czekaj... Znam jeden sposób na ból głowy. Wejdz. No wejdz!

Wszedłem do jej pokoju.

– Siadaj.

Usiadłem, a Maja zaczęła mi masować skronie. To naprawdę pomogło. Po raz pierwszy od dawna głowa przestała mnie boleć.

– Powiedz mi wreszcie, co się dzieje? – spytała Majka. – Proszę.

– Dobrze – szepnąłem.

I opowiedziałem jej o hełmie. Po prostu nie miałem już siły tego ukrywać.

– I naprawdę rozumiesz wszystko, kiedy go założysz!?! – zawołała Maja.

– I możesz wszystko wymyślić?

– Tak. Zresztą sama spróbuj.

Chciałem podać Mai niewidzialny hełm, ale ona powiedziała:

– Nie chcę. Nie teraz.

– Maja...

– Co?

– Może powinienem go zniszczyć. To znaczy ten hełm.

– Dlaczego?

– Bo on jest niebezpieczny.

Majka się zamyśliła.

– Nie. To byłoby głupie zniszczyć coś tak niesamowitego. Przecież dzięki niemu możemy wymyślić różne dobre wynalazki. Na przykład zdrowe jedzenie. Albo jeszcze lepszą baterię, żeby wszyscy mieli światło za darmo. Albo wymyślimy sposób, żeby błyskawicznie podróżować! Można zrobić mnóstwo dobrych rzeczy! Byłoby głupio stracić takie możliwości.

– A jeżeli zrobimy coś, co wysadzi całą Ziemię w powietrze? – spytałem.

– Po co mielibyśmy to robić?

– Nie wiem. Ze złości albo przypadkiem...

Majka zastanowiła się.

– Zanim coś zrobimy, to ustalimy, czy to jest dobre. I wiesz co? To my musimy być mądrzy. Bo od nas zależy, jakie wynalazki stworzymy. Ten hełm może nam tylko pomóc. Nie niszczy go... Ale trzeba uważać, żeby ktoś zły go nie zdobył.

– Masz rację.

Założyłem hełm na głowę i chciałem wrócić do swojego pokoju.

W tej chwili ktoś zapukał. Myśleliśmy, że to Kostuch albo Ciocia Munia.

Maja otworzyła drzwi. Zobaczyliśmy trzech mężczyzn w czarnych płaszczach. Jeden trzymał jakiś sprej. Podniósł rękę, trysnął gaz.

Poczuliśmy duszący zapach. Zakręciło nam się w głowie i oboje upadliśmy na podłogę.

Potem tylko pamiętam, że ci faceci nieśli nas korytarzem. Z pokoiów wyjrzeli Kostuch i Ciocia Munia. Kostuch zaraz uciekł, ale bibliotekarka

rzuciła się nas bronić. Walnęła jednego z porywaczy grubą książką. Padł na ziemię. Ale inni Munię odepchnęli. Próbowałem coś zrobić, ale ten gaz tak mnie osłabił, że nawet w hełmie nie mogłem niczego wymyślić. Zanieśli nas na dach hotelu. Tam czekał czarny helikopter. Huczał silnik, a wichura, jaką robiło śmigło, prawie nas zrzuciła z dachu.

Wsadzili nas do helikoptera. Zacząłem się szarpać. Wtedy znowu puścili ten gaz i straciłem przytomność.

Obudziłem się na podłodze w jakimś pokoju. Była zimna, z kamienia. Maja siedziała obok, oparta o ścianę.

Usłyszałem głos:

– Odwróć się.

Z trudem obróciłem głowę. Za nami stał mężczyzna w czarnym płaszczu.

– Słuchaj uważnie – powiedział.

Nawet nie wiem, po jakiemu mówił, bo rozumiałem prawie wszystkie języki. Ale jego głos budził strach.

– Twoja mądrość jest nam potrzebna – mówił. – Będziesz wymyślać dla nas różne rzeczy. Najpierw chcemy wiedzieć, jak zrobić to źródło energii.

– Po co?

– To nie twoja sprawa. Nie myśl o tym. Po prostu powiedz, z czego się składa i jak je zbudować. Mów.

– Nie! – zawołałem. – Nie powiem.

Porywacz popatrzył na mnie tak, że przeszły mnie ciarki.

– Będziecie tu zamknięci tak długo, aż powiesz wszystko – szepnął. – Dzień albo rok. Albo całe życie.

Wyszedł, zatraskując stalowe drzwi. Zostaliśmy sami.

– Maja... Nic ci się nie stało?

– Nie... Tylko w głowie mi się kręci.

– Co my teraz zrobimy?

– Czy masz hełm? – spytała cicho Maja.

Dotknąłem głowy.

– Tak – szepnąłem. – Mam go.

– A tę baterię?

– Pewnie mi ją zabrali.

Sięgnąłem do kieszeni. Bateria tam była! Nie znaleźli jej! Chyba dlatego, że mam dziurawą kieszeń i wszystko wpada głębiej, za podszewkę.

Wyciągnąłem baterię. Już wiedziałem, co trzeba zrobić.

– Chodź! – powiedziałem.

Podeszliśmy do drzwi. Był tam elektroniczny zamek, bardzo duży. Dotknąłem go stykami baterii. Strzeliło, jakby uderzył piorun. Poleciały iskry. Zamek się rozleciał, a drzwi się otworzyły. Wybiegliśmy na korytarz. W tej chwili zaczął wyc alarm.

Popędziliśmy korytarzem. Słyszałem, jak jacyś ludzie krzyczą i nas gonią, ale my zdążyliśmy już wybiec na wielki taras. Dalej było widać morze.

Na tarasie stał czarny helikopter, chyba ten sam, którym nas przywieźli. Wskoczyliśmy do niego. Miałem na głowie hełm, więc tylko spojrzałem na konsolę sterującą i już wiedziałem, co robić. Nacisnąłem start. Zaczął wyc silnik. Zawirowało śmigło. Pociągnąłem joystick i unieśliśmy się w górę. Kiedy na taras wbiegli porywacze, byliśmy już wysoko.

Lecieliśmy nad oceanem, wzdłuż brzegu, ale nie wiedzieliśmy dokąd. No bo gdzie mogliśmy się ukryć? Zanim coś wymyśliłem, zapalił się czerwony wskaźnik na konsoli helikoptera.

– Nie ma paliwa! – zawołałem.

– A twoja bateria? Nie można jej podłączyć?

– To jest silnik spalinowy!

W głowie błyskały mi różne pomysły, ale żadnego rozwiązania nie znalazłem.

– Musimy lądować.

Pociągnąłem joystick i helikopter wylądował na plaży. Śmigło przestało wirować. Wysiedliśmy. Daleko, za wydmi, było widać domy, ale plaża była pusta. Zdjąłem hełm, odłożyłem go na wielki kamień i położyliśmy się na piasku.

Nie odzywaliśmy się długo, bo kręciło nam się w głowach od tych wszystkich zdarzeń. Wreszcie Majka szepnęła:

– Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie. Musimy, rozumiesz?

– Wiem.

– Posłuchaj. Mamy przedmiot, który pozwala wymyślać niezwykle rzeczy. Pozwala zrozumieć to, czego najlepsi naukowcy nie pojmują. I robić wynalazki, które mogą ocalić świat od różnych nieszczęść. Możemy go zniszczyć. Wtedy będziemy pewni, że ktoś zły nie zbuduje czegoś

straszego. Ale jak go zniszczymy, nie będzie szansy na stworzenie czegoś cudownego.

Majka wstała.

– Musimy zdecydować, co robić, bo oni na pewno zaraz tu przylecą. Dopadną nas!

Spoglądałem na morze i próbowałem coś wymyślić. Fale powoli przyływały i wracały. Kiedy patrzyłem na nie, moje myśli jakoś się uspokoiły. I nagle...

– Wiem! – krzyknąłem. – Wiem, co zrobić! Już wiem!!!

– Nie mów – szepnęła Majka. – Może oni nas podsłuchują! Napisz to.

Zerwałem się i pobiegłem nad brzeg morza. Zacząłem pisać na piasku. Jedno długie zdanie. Najważniejsze zdanie na świecie!

Po chwili przysłała fala i zmyła napis, ale Majka zdążyła go odczytać.

– Tak! – zawołała. – Tak!!! Dokładnie to trzeba zrobić! Niesamowity pomysł! Wymyśliłeś coś genialnego!

– To nie ja – powiedziałem. – To ten hełm.

Majka popatrzyła na mnie jakoś dziwnie. Pokręciła głową, a potem podeszła do kamienia. Podniosła coś.

– Hełm jest tutaj – powiedziała. – To był twój pomysł! Ty sam to wymyśliłeś...

Dotknąłem głowy. Naprawdę nie miałem hełmu!

– To jakim cudem ja...?

– Chyba jesteś mądry – szepnęła Maja. I nie wiem czemu, nagle podbiegła i mnie pocałowała.

W tej chwili usłyszeliśmy huk silników. Leciały czarne helikoptery, ale my wcale się nie baliśmy. Bo wiedzieliśmy już, co zrobić...

Codziennie podejmujemy tysiące decyzji. W coraz bardziej skomplikowanym świecie coraz trudniej jest podjąć te właściwe. Nie tylko dzieciom i nastolatkom, także dorosłym.

Dobrze jest mieć w życiu kompas, który pomaga nawigować bezpiecznie i skutecznie pośród naszych ludzkich spraw. Takim kompasem są wartości moralne. Nadają one życiu sens, ułatwiają podejmowanie słusznych decyzji, sprawiają, że stosunki między ludźmi stają się lepsze. W dzisiejszym świecie – nastawionym na dobra materialne i sukces – warto pamiętać, że każdego z nas określa nie to, co posiada, jak wygląda i jaką ma pozycję, ale przede wszystkim jakim jest człowiekiem, jaki ma system wartości.

Dlatego powstała ta książka.

Dziękujemy Fundacji EY za wsparcie w realizacji projektu.

Irena Koźmińska
Prezes Fundacji „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom”,
inicjatora projektu i współwydawcy książki

Spis treści

Wstęp

SZACUNEK. Barbara Kosmowska, Szacun i gorzka czekolada

ŻYCZLIWOŚĆ. Paweł Beręsewicz, System

UCZCIWOŚĆ. Katarzyna Ryrych, Niebieska kredka

ODPOWIEDZIALNOŚĆ. Wojciech Cesarz, Dolina jeleni

ODWAGA. Katarzyna Terechowicz, Kacper

SAMODYSCYPLINA. Katarzyna Ryrych, Szczęśliwego Nowego Roku

POKOJOWOŚĆ. Paweł Beręsewicz, Nędzny tchórz

SPRAWIEDLIWOŚĆ. Barbara Kosmowska, Koszulka z numerem sześć

WOLNOŚĆ. Wojciech Cesarz, Burza

PRYZWOITOŚĆ. Katarzyna Ryrych, Rajski ptak

OPTYMIZM. Paweł Beręsewicz, Pech

PRZYJAŹŃ. Wojciech Cesarz, Sztuka programowania

SOLIDARNOŚĆ. Katarzyna Ryrych, Złomek

PIĘKNO. Barbara Kosmowska, Fan-fatalne zauroczenie

MĄDROŚĆ. Andrzej Maleszka, Genialny Pomył

Podziękowania